PO KONFERENCYI PRASKIEJ.

Przebieg konferencyi przewyższył nasze nadzieje, i to znacznie. Przypuszczaliśmy, że nie wyda ona innego rezultatu, jak tylko stanowczy już rozbrat pomiędzy starym panslawizmem, a nowem słowianofilstwem, czyli po prostu pomiędzy przyjaciółmi a wrogami Polski. I taki rezultat uważalibyśmy za zysk, bo w polityce jasność, wyrazistość, ścisłość wiodą do organizacyi, a przez to samo stanowią postęp dla sprawy. Tem większy postęp, skoro się widzi, że w Pradze sprawiono pogrzeb „kazionnemu" kierunkowi, a Filewicz, Wiergun, Francew, Korablew nie mieli tam najmniejszego znaczenia. Nie zginie jeszcze w Rosyi ten dawny kierunek, ale poza Rosyą niema i nie będzie miał już nigdzie żadnej zorganizowanej reprezentacyi. „Kazionni" nie protestowali w Pradze, — ale nie trzeba z tego wnosić, że się nawrócili! Będą oni nadal mącić w stosunkach polsko-rosyjskich, będą jeszcze próbować, żeby „neoslawistów" odsunąć od pracy, wytężą siły, żeby odzyskać utracone stanowisko — ale będzie to robota epigonów i epilog komedyi. Ci panowie nie będą już mieli następców.

Konferencya przybrała cechy tak wręcz przeciwne kierunkowi *Nowego Wremieni*, że—ktoby nie znał psychologii „kazionnych" — dziwiłby się, jak mogli brać w niej udział aż do końca współpracownicy tego dziennika; według zwykłych pojęć powinni byli wykreślić się z listy uczestników, zgłosić votum separatum, lub opuścić ją z protestem. Pozostali, bo nieszczerość jest ich żywiołem, a lubią, żeby się wydawali innymi, niż są. Lubią też udawać, jakoby nie wiedzieli, o co chodzi i zwykli ignorować ducha, póki się można trzymać litery. Coś takiego zaszło właśnie na konferencyi praskiej: Uchwalono zasadę równouprawnienia, powiedziano, że należy dopomagać rozwojowi kultury polskiej, ściskano sobie wzajemnie ręce, p. Makłakow oświadczył, że „te słowa obowiązują", p. Krasowski nawet potępił niedwuznacznie system rusyfikacyjny, ale

to wszystko nie przeszkadzało współpracownikom *Now. Wremieni* brać w tem wszystkiem udział — bo tylko duch uchwały był im przeciwny, ale nie litera[1]).

Brak odwagi cywilnej bywa zawsze początkiem śmierci cywilnej; nie mamy zaś żadnego powodu martwić się, że konferencya praska wykazała ten defekt naszych nieprzyjaciół.

W całej Słowiańszczyźnie poza Rosyą — i prócz Ukraińców — jest już jedno tylko pismo, nie uznające „neoslawizmu", a mianowicie tryesteńska *Slavenska Misao*, trzymająca się i dziś jeszcze (koniec lipca) starego reakcyjnego kierunku. Prawdopodobnie nie potrwa i to długo i pismo to pójdzie za przykładem *Narodnich Listów*, które kręcąc się przez dwa tygodnie (jak Boruta w święconej wodzie) to w prawo, to w lewo, zdumione, oszołomione, rzuciły się w końcu na ...*Moskowskija Wiedomosti* w obronie Polaków!!

A więc kazionnego panslawizmu tak, jakby nie było; bo skoro go niema poza Rosyą, ograniczony na samych tylko rosyjskich wyznawców nie jest niczem, jak chyba tylko — śmiesznością.

Stwierdzono na konferencyi wobec reprezentantów wszystkich narodów słowiańskich i przez nich samych, bez naszej inicyatywy nawet, że niema Słowiańszczyzny bez Polski. Ta teza, w imię której powstał *Świat Słowiański*, jest już powszechnie przyjęta.

W przeszłym numerze stwierdziliśmy z przyjemnością, że możemy przestać się już zajmować wykazywaniem, że pożąda-

---

[1]) Inaczej byłoby, gdyby zamiast pięknie brzmiącej uchwały o równouprawnieniu i swobodnym rozwoju kulturalnym, uchwały „na wyrost", dającej się interpretować choćby nawet, jako uznanie w zasadzie postulatu autonomii politycznej, — powiedziano skromniej, ale za to wyraźniej, że dla dobra Słowiańszczyzny potrzeba, żeby w Królestwie Polskiem wprowadzić język polski urzędowy w sądzie, w szkole (publicznej!) i w urzędzie.

Na „równouprawnienie" może p. Wiergun przystać, bo... czyż go niema, skoro Polak może zostać w Rosyi generał-gubernatorem (na Sybirze)? Rozwój kultury w Polsce gotów popierać p. Filewicz z całych sił, a mianowicie przez wprowadzanie do Polski kultury rosyjskiej. Od dawna już ma p Korablew w *Sławianskich Izwiestijach* formułę równouprawnienia wszystkich ludów słowiańskich (a więc i Polski) wobec Rosyi, byle tylko nie sprzeciwiać się czynownictwu, a p. Francew podpisze sto formuł z komplementami dla kultury polskiej, byle tylko w Warszawie nie było polskiego uniwersytetu!

nem jest odrodzenie potęgi państwowej Rosyi, i że należy nam brać udział w prądzie słowiańskim. To bowiem już uznane, załatwione [1]), Miesiąc zaledwo mija, a mamy drugie ułatwienie. Możemy przestać zajmować się wykazywaniem pobratymcom, że idea słowiańska musi być polonofilską. Dwa, tak wielkie działy naszego miesięcznika, można jakby zamknąć. Zyskujemy przez to możność dalszego rozwijania naszego programu w szczegółach. Załatwiwszy rzecz zasadniczo, przejdziemy na grunt praktyczny. Wypadnie nam teraz zająć się bardziej stosunkiem naszym do Słowian austryackich. W Austryi powstał nowy prąd słowiański, tu musi się wzmódz i wyrobić sobie konkretny program — jeżeli konferencya praska niema pozostać jakiemś „idealnem“ wspomnieniem na kształt zjazdu słowiańskiego w Pradze w r. 1848.

Zdać sobie bowiem trzeba sprawę z tego, że na rosyjskim gruncie nie tak prędko będzie można zająć się praktycznem przeprowadzeniem idei słowiańskiej. Tam ograniczeni są zwolennicy nowego hasła do wytwarzania pewnego nastroju w opinii, w publicystyce, w korporacyach, w Dumie wreszcie, dążąc stopniowo a przezornie do tego, żeby Duma nie mogła być w większości swej antypolską. Dla tego nastroju zdziałała konferencya praska bez porównania więcej, niż się spodziewaliśmy. Największe nadzieje przechodzi fakt, że po konferencyi zjechało kilku rosyjskich delegatów do Krakowa i Lwowa (Bobrinskij, Lwow, Giżyckij, i — powtórnie — Wołodimirów), a nie kadet żaden, ale członek skrajnej prawicy, Giżyckij, powiedział tu publicznie, że nabrał przekonania, iż można i należy popierać ideę pogodzenia Rosyi z Polską. Nastrój znaczy niezmiernie wiele w polityce w naszych demokratycznych czasach, powołujących wszystkich do życia publicznego. Nie dla czego innego, jak dla wytworzenia nastroju, jechali nasi do Pragi i nie żałują tego.

W artykule wstępnym poprzedniego zeszytu określiliśmy, że spodziewamy się po konferencyi w każdym razie trzech skutków dobroczynnych, a mianowicie:

poinformowanie Czechów co do stosunków polsko-rosyjskich,

zacieśnienie węzłów roboty politycznej pomiędzy Polakami wszystkich trzech zaborów,

zakłopotanie Petersburga i Wiednia, nader dobroczynne.

---

[1]) O „frondzie“ warszawskiej *Gońca* zob. w Kronice.

Co do pierwszego punktu musimy podnieść pewne okoliczności:

Dziwolągiem byłby już teraz Czech, przypuszczający, że Rosya chce zgody z Polską, ale Polacy sami utrudniają porozumienie; dziwolągiem również byłby taki, któryby przypuszczał, że porozumienie może nastąpić bez zaprowadzenia w Królestwie Polskiem języka polskiego, jako urzędowego. Chociaż bowiem postulat ten — nasza conditio sine qua non — nie był traktowany oficyalnie na konferencyi, ale był pomimo to rozważany dostatecznie i nikomu nie jest tajny, a rezolucye konferencyi ułożone są w ten sposób, że byłyby one nonsensem bez uznania tego żądania za słuszne. Rozwój polskiej kultury, jako odrębnej narodowej, nie może się obejść bez przyznania językowi polskiemu wszystkich praw.

Niema jednak pewności, czy prasa czeska, a mianowicie *Narodni Listy*, pogodzą się z tym nieodzownym naszym warunkiem. Zachodzi tu bowiem w samem urządzeniu konferencyi pewien błąd, którego szczęśliwie ustrzegli się Polacy:

Inicyatorowie konferencyi posunęli się w zaproszeniach do udziału w niej za daleko, a mianowicie, nie poprzestali na zaproszeniu narodu pod adresem jakiej ogólnej korporacyi, mogącej uchodzić za jego reprezentacyę (której rzeczą byłoby już potem postarać się o delegatów, w sposób, jakiby sama uznała za stosowne), lecz posunęli się aż do zapraszania osób. Tej niezręczności, czy niepraktyczności inicyatorów zapobieżono u nas dzięki Klubowi Słowiańskiemu, który zawczasu skierował sprawę do Rady Narodowej, nie występując sam publicznie, pozostawiając to korporacyi ogólno-krajowej — i dzięki zasadzie, że w Pradze mają być reprezentowane stronnictwa, a przez kogo, to już ich rzecz, do której nikt nie ma prawa się mięszać. Dzięki temu, nasza delegacya była wybrana najformalniej i była najpoważniejszą. Każdy z naszych delegatów był naprawdę reprezentantem stronnictwa, umocowany do tego formalnie przez swoją organizacyę polityczną. Solidarność całej delegacyi na zewnątrz postanowiona była z góry, przed wyborem delegatów, tak, że ktoby nie chciał uznać tego prawidła taktyki, nie mógłby przyjąć mandatu. Skutkiem tego Czesi i Rosyanie i inni pobratymcy mają pewność, że co nasi w Pradze przyjęli, to jest przyjęte przez wszystkie stronnictwa polskie

i — obowiązuje całą prasę polską, o ile ona należy do organizacyj politycznych.

Podobnie, chociaż nie zupełnie tak samo, nie tak dokładnie, ściśle i formalnie, miała się rzecz z delegacyą rosyjską. Czeska kompletowała się dopiero w ostatniej chwili, pospiesznie, z wszystkiemi wadami pospiechu i niema pewności, czy czescy delegaci mogą ręczyć za swe stronnictwa i za ich prasę? Niewiemy, czy czeska delegacya mogłaby zaręczyć, że *Narodni Listy* (główny dziennik czeski) przestaną już ciągnąć raz do Sasa, to znowu do lasa, czy nie zechcą stać się po krótkiej pauzie na nowo czeskiem wydaniem *Now. Wremieni*, słowem: pismem antypolskiem? I tak może się zdarzyć, że z tej samej Pragi, gdzie nas tak wspaniale przyjmowano, będą padały nadal zatrute strzały przeciw nam, przyprawiane w redakcyi *Now. Wremieni*, a ekspedyowane na zachodnią Słowiańszczyznę przez *Narodni Listy?* Byłby to szczyt niekonsekwencyi politycznej ze strony czeskiej, a jednak nie jest to niemożliwe, bo niewiadomo, czy to, co przyjęli czescy delegaci, obowiązuje prasę czeską? czy delegacya bierze na siebie odpowiedzialność za tę prasę?

Niepraktyczność — czy inna jaka wada — inicyatorów, zapraszających na konferencyę wprost osoby, okazała się najjaskrawiej w delegacyach słowieńskiej i chorwacko-serbskiej, które (prócz jednego Stjepana Radića) składały się z osób wprost niejako mianowanych przez Pragę, które też skutkiem tego — biorąc rzeczy ściśle — właściwie nikogo nie reprezentowały i za nikogo odpowiedzialności brać na siebie nie mogą. Dzięki takiemu postępowaniu były też w reprezentacyi południowych Słowian luki straszliwe, a najgorzej u Słowieńców.

Przez takie niewłaściwe urządzenie doboru delegatów, my Polacy tracimy wiele. Mogliśmy byli mieć od razu clara pacta z prasą słowiańską, co przyczyniłoby się wielce do uproszczenia dalszych naszych stosunków. Trzebaby ten niedostatek konferencyi wynagrodzić i możeby dobrze było, żeby z Pragi wyszła inicyatywa, ażeby mający się we wrześniu w Lublanie odbyć zjazd dziennikarzy słowiańskich oświadczył, że przystępuje do rezolucyj konferencyi praskiej.

Jeżeli bowiem uznano, że w rezolucyach tych określono dobro Słowiańszczyzny, w takim razie — przez konsekwencyę — działa na szkodę Słowiańszczyzny każdy dziennik, pisujący

w duchu przeciwnym. Konferencya uznała, że pierwszym warunkiem powodzenia idei słowiańskiej jest pogodzenie Polski z Rosyą. Przeszkodą do tego jest kierunek, reprezentowany przez *Nowoje Wremia* [1]), jako główny jego organ. Jestto pismo najbardziej wrogie Polakom, pełne kłamstw i hypokryzyi. Dzienniki słowiańskie, czerpiące stamtąd informacye, źle przeto służą sprawie słowiańskiej, bo przyłączają się — pośrednio przynajmniej — do obozu antypolskiego w Rosyi. To sprzeciwia się stanowczo konferencyi praskiej i czeski związek dziennikarski powinien tę kwestyę postawić jasno. Nie można nikomu zakazać pisać, co mu się podoba; ale kto nie podziela rezolucyj praskich, nie powinien być członkiem słowiańskiego Związku dziennikarzy.

Nie jesteśmy pedantami, ale chcemy, żeby przedewszystkiem w samej Pradze znać było skutki konferencyi. Chcemy, żeby nasze stosunki z Czechami wyszły z pewnego istnego martwego punktu i żeby można było zrobić nareszcie jaki krok naprzód bez obawy, że co jeden Czech powie, to drugi odwoła! A dopóki się jest na to narażonym, jakżeż może Koło Polskie wchodzić w ściślejsze stosunki i zobowiązania z reprezentacyą czeską? Trzeba wpierw pewności, że co jedni Czesi zwiążą, drudzy Czesi tego nie rozwiążą.

Bądźcobądź konferencya praska stanowi wielkie plus w stosunkach polsko-czeskich. W sierpniu 1906 (po ankiecie praskiego tygodnika *Maj*) mieliśmy przyjemność stwierdzić, że myśl polityczna czeska zbliżyła się do polskiej. Z jeszcze większą przyjemnością stwierdzamy to teraz powtórnie i gdyby nie owa niepewność co do prasy, może moglibyśmy już uważać się za jedno w Słowiańszczyźnie. Oby to nastąpiło jak najprędzej!

Tyle co do oddziałania konferencyi na opinię czeską w sprawach polsko-rosyjskich i na stosunki polsko-czeskie.

Wyśmienicie spełniło się przewidywanie nasze, że przez udział w konferencyi praskiej zacieśnią się węzły roboty politycznej pomiędzy Polakami wszystkich trzech zaborów. Spostrzegli to już wszyscy i po konferencyi podniesiono tę okoliczność w wielu pismach. My zaś cieszymy się, że jest to pośrednio aprobatą naszego przekonania, które nas wiodło do założenia *Świata Słowiańskiego*, że służyć będziem przez to spra-

---

[1]) *Mosk. Wiedomosti* są pismem bez znaczenia.

wie polskiej, Polsce całej. Tem bardziej umacniamy się w przekonaniu, że przez ideę słowiańską będzie Polska.

Spełniło się też przewidywane zakłopotanie Petersburga i Wiednia. Niespodziany przyjazd redaktora urzędowej *Rossii* nie był też „bez kozery“. Jak zainteresowano się zjazdem w Wiedniu, wiadomo już powszechnie.

Mamy powody przypuszczać, że w Petersburgu, w sferach oficyalnych, wyobrażano sobie przebieg konferencyi całkiem inaczej. Mamy również powody twierdzić, że wyniki jej nie będą lekceważone, jakkolwiek niema tam ochoty do uwzględnienia ich. Ale w polityce nie zawsze robi się to, do czego się ma ochotę; miejmy więc nadzieję, że po pewnym czasie nietylko prusofilskie i antypolskie głosy będą słuchane w Gatczynie.

Zakłopotanie Wiednia jest największą naszą radością, bo — jak już pisaliśmy — po zakłopotaniu musi przyjść zastanowienie. I tu główne zadanie Polaków, żeby przekonać Wiedeń, że idea słowiańska może być największym atutem politycznym w jego ręku, największem szczęściem Austryi i dynastyi. Do sprawy tej wypadnie nam jeszcze wrócić, jako do głównego naszego obowiązku wobec Słowiańszczyzny.

A teraz — skoro jesteśmy już w prądzie słowiańskim — starajmyż się o nagromadzenie w Polsce jak największego znawstwa tych spraw, wśród których przyjdzie nam się obracać, żeby nie kroczyć po omacku, ale działać celowo.

Szerzyć to znawstwo i pogłębiać je coraz bardziej, to obowiązek naszego pisma. Popierać nas, żebyśmy to mogli robić jak najsnadniej, to obowiązek wszystkich zajmujących się w Polsce sprawami publicznemi [1]).

O ZMIANIE OBRZĄDKU NA RUSI.

Szkic historyczny.

Unia kościelna Rusi z Rzymem, zawarta na soborze florenckim 1439 r., nie zdołała głębszych zapuścić korzeni. Pomimo, że ją urzędowo ogłoszono i przyjęto, jednak w drugiej połowie XV wieku znaczna ilość Rusinów pozostawała jeszcze w schyz-

[1]) *Świat Słowiański* ma tyle materyału, że mógłby wychodzić w zeszytach dziesięcioarkuszowych, gdyby miał na to fundusze. Nie mając debitu w Rosyi, mamy zamknięty największy teren prenumeraty.

mie[1]), a chociaż w tym okresie kilku jeszcze metropolitów i władyków zachowywało jakąś łączność ze stolicą apostolską[2]), jednakże w XVI wieku zawiadowcy metropolii kijowskiej byli stanowczymi schyzmatykami, a wraz ze schyzmą krzewili bez przeszkody nienawiść przeciw Rzymowi i Kościołowi katolickiemu.

Ostygnięciu zapału do zachowania unii towarzyszyły obniżenie poziomu moralnego wyższego i niższego duchowieństwa i zaniedbanie ludu. Niepodejrzanej wiarogodności współczesni, — jak kniaź Konstanty Ostrogski[3]), bractwo Stauropigii lwowskiej[4]) i inni, — podają nam smutny zaiste obraz rozstroju cerkwi pod koniec XVI wieku. A podczas gdy cerkiew podupadała, w bezpośredniem sąsiedztwie rozwijał Kościół katolicki błogą czynność, nabierał z każdym dniem sił moralnych, znaczenia i wpływu na cały naród. Wobec takiego duchowego i moralnego wzmożenia się Kościoła musiała u lepiej usposobionych władyków i świeckich przodowników Rusi zrodzić się myśl, że gruntowna reforma cerkwi, tak strasznie spaczonej, da się przeprowadzić tylko przez unię z Rzymem. „Cerkiew znajduje się w wielkiem zasmuceniu“ — pisze stauropigia lwowska do patryarchy w r. 1592 o wewnętrznych stosunkach cerkwi — „mężowie na wysokich dostojeństwach popadli w rozmaite błędy, a ci, którzy chcieliby powrócić do wiary swych przodków, odmawiają tego obecnie, powołując się na zło w cerkwi. Wszyscy jednakże powiadają jednomyślnie: jeżeli się zła w cerkwi nie usunie, rozejdziemy się w końcu, poddamy się rzymskiemu Kościołowi i będziemy potem mieli niezmącony spokój“. A dnia 7 września tegoż roku zawiadamia to samo bractwo: „Wielu wybiera się poddać rzymskiemu papieżowi i żyć pod jego zwierzchnością, zachowując w zupełności obrządek grecki[5]).

Po kilkoletnich układach doszło do wyczekiwanej przez wielu unii, ogłoszonej uroczyście na synodzie brzeskim dnia 9 października 1595.

---

[1]) zob. list Pawła II. z roku 1468 do opata w Mogilnie. Treiner, Vetera monumenta Pol. et Lith. II. Nr. 196.

[2]) Likowski: Die ruthenisch-römische Kirchenvereinigung, genannt Union zu Brest. Deutsch von Jedziuk. Freiburg 1904, str. 22 i nast.

[3]) Akty otnosiaszczyjesia k'istorii zapadnoj Rossii, sobrannyje i izdannyje archeograficzeskoju komissijeju. Petersburg 1851, t. IV, Nr. 45.

[4]) ibid. IV, Nr. 33.

[5]) Akty t. IV. Nr. 33.

Zaledwie atoli unia odniosła zwycięstwo nad najgwałtowniejszymi przeciwnikami, zdawało się grozić niemałe niebezpieczeństwo dalszemu jej rozwojowi i to ze strony własnych dzieci. Biskupi uniccy musieli patrzeć ku wielkiemu swemu strapieniu i z obawą o przyszłe losy cerkwi, jak najszlachetniejsi właśnie i najzamożniejsi z ich dyecezyan porzucają grecki obrządek i przechodzą gromadnie na łaciński. W r. 1624 donosił metropolita Rudzki do Rzymu, że od przyjęcia unii około 200 synów szlacheckich zmieniło obrządek w szkołach łacinników i drugie tyle na dworach polskich panów i w wojsku, że rok rocznie przynajmniej 100 osób ze szlachty przechodzi z unii na łacińskie stwo [1]). Jeszcze niebezpieczniej dla cerkwi ułożyły się rzeczy, gdy od r. 1623 także wśród Bazylianów wszczął się ruch do dawania pierwszeństwa obrządkowi łacińskiemu i do przechodzenia na niego [2]).

Nie może być naszem zadaniem rozważanie powodów, które skłaniały licznych Rusinów do przechodzenia na obrządek łaciński i roztrząsanie słuszności i prawności tych powodów, ani też zajmowanie się pytaniem, o ile ze strony łacińskiego duchowieństwa właściwem było dopuszczanie takiej zmiany obrządku w samych zawiązkach unii. Nas tu obchodzi jedynie prawna strona faktu. A z prawnego punktu widzenia nie można nic zarzucić zachowaniu się duchowieństwa łacińskiego, albowiem ani na soborze florenckim, ani w piśmie władyków ruskich z 12 czerwca 1595, którem prosili o przyjęcie napowrót na łono Kościoła katolickiego, ani wreszcie w bulli o unii Klemensa VIII. nie wspomniano ani słówkiem o sprawie zmiany obrządku, a tem mniej nie zakazywano tego.

Kiedy w r. 1590 czterech władyków — Terlecki, Bałaban, Zbirujski i Pelczycki — zdecydowało się po raz pierwszy solidarnie poddać się Stolicy ap., żądali w piśmie datowanem z Brześcia tylko, „że obrzędy i wszelkie urządzenia, t. j. nabożeństwo i cały ustrój cerkiewny nie będą zmienione przez Ojca św. w Rzymie, ale pozostawione będą nienaruszone w tym samym stanie, jak istnieją z dawien dawna w naszej wschodniej cerkwi“ [3]). Podobnież w piśmie od synodu do Klemensa VIII z dnia 12 czerwca

[1]) Informatio Episcoporum Ruthenorum u Harasiewicza: Annales Ecclesiae Ruthenicae, Leopoli 1862, str. 274, 281.

[2]) Likowski, l. c., str. 287.

[3]) por. Likowski l. c. str. 96.

1595 oświadczyli władycy, że przystąpią do unii florenckiej, „o ile papież zapewni im dalsze zatrzymanie liturgii wschodniej i całego obrzędu cerkiewnego“ [1]). Po tem oświadczeniu ruskich władyków wydał Klemens VIII bullę o unii dnia 23 grudnia 1595 — Magnus Dominus — którą zatwierdził Rusinom obrządek ich w całej rozciągłości z tym jedynie wyjątkiem, o ileby w nim mogło być coś przeciwnego prawdzie i nauce wiary katolickiej [2]). Wynika z tego wprawdzie, że nie można nikogo zmuszać do wyrzekania się obrządku wschodniego, ale niema ani śladu formalnego zakazu zmiany obrządku ani w przytoczonych oświadczeniach władyków, ani Stolicy apostolskiej.

Nie z większą słusznością można przytaczać breve Pawła V. — Solet circumspecta — z dnia 10 grudnia 1615, jako dowód, jakoby istniał zakaz tego rodzaju — jak to czyni Likowski [3]). Wiadomo. że schyzmatycy nie wzgardzili żadnym środkiem, żeby tylko unię poniżyć i odwrócić od niej kler i lud. Pomiędzy innemi używali wobec ludu kłamstwa, jakoby unia była skierowana przeciw obrządkowi ruskiemu i miała służyć za pomost do zaprowadzania łacińśtwa [4]). Dla nieoświeconych

---

[1]) Mittimus ad Sanctitatem Vestram charissimos fratres nostros, Reverendos in Christo Hipatium Pociey, Episcopum Volodimiriensem Brestensemque, et Cyrillum Terlecki, Episcopum Luceoriensem Ostrogiensemque, quibus mandavimus, ut Sanctitatem Vestram adeant, ac, siquidem Sanctitas Vestra administrationem sacramentorum ritusque et ceremonias orientalis Ecclesiae integre, inviolabiliter atque eo modo, quo tempore unionis illis utebamur, nobis conservare confirmareque pro se et successoribus suis nihil in hac parte innovaturis unquam dignetur, suo et omnium nostrum Archiepiscopi et Episcoporum totiusque ecclesiastici nostri status et ovium commissarum nobis divinitus nomine, Sedi S. Petri et Sanctitati Vestrae uti Summo Pastori Ecclesiae Christi debitam obedientiam deferant.

Malinowski: Die Kirchen- und Staatssatzungen bezüglich des griechisch-katholischen Ritus der Ruthenen in Galizien. Lemberg 1861 str. 25.

[2]) ...ad maiorem charitatis nostrae erga ipsos significationem omnes sacros ritus et caeremonias, quibus Rutheni Episcopi et clerus iuxta Sanctorum Patrum graecorum instituta in Divinis Officiis ac Sacrosanctae Missae sacrificiis ceterorumque Sacramentorum administratione aliisve sacris functionibus utuntur, dummodo veritati et doctrinae Fidei Catholicae non adversentur et communionem cum Romana Ecclesia non excludant, eisdem Ruthenis Episcopis et Clero ex Apostolica beniguitate permittimus, concedimus et indulgemus (Malinowski l. c. str. 27).

[3]) l. c., str. 292, przyp. 3.

[4]) por. konstytucyę Benedykta XIV Allatae sunt z dnia 26 lipca 755, § 14.

wśród duchowieństwa i ludu, przywiązanych raczej do obrządku, niż do wiary, starczyło tego, żeby nietylko sami trzymali się z daleka od unii, ale też wystąpili ostro przeciw rozszerzaniu jej. Ażeby wykazać kłamliwość pogłosek, wydał Paweł V pod przytoczoną datą Rusinom oświadczenie, w którem zaznacza wyraźnie, że nie było nigdy i niema tego w zamiarach Stolicy ap., żeby zmieniać w czemkolwiek obrządek grecki, a cóż dopiero usuwać go i wprowadzać łaciński na jego miejsce; że rzecz ma się zupełnie przeciwnie, co widać tak z dekretów soboru florenckiego i Klemensa VIII, jakoteż z tego, że alumni kollegium greckiego w Rzymie muszą składać przysięgę, że bez pozwolenia Stolicy ap. nie przejdą na obrządek łaciński [1]). Papież tylko więc protestuje przeciw kłamliwym twierdzeniom schyzmatyków, jakoby zamiary Stolicy ap. zmierzały do latynizowania Rusinów. Ale z tego, że alumni kollegium greckiego w Rzymie musieli się zobowiązać przysięgą, że nie zmienią obrządku greckiego bez papieskiego pozwolenia, — nie można wnosić, że zobowiązanie takie tyczyło się w owym czasie wszystkich Rusinów.

Formalny zakaz przyjmowania obrządku łacińskiego przez Rusinów wydał po raz pierwszy papież Urban VIII. dekretem z 7 lutego 1624 r. [2]), w którym powiedziano między innemi:

---

[1]) Ritus universos, quibus Rutheni antiquitus usi fuerant, dummodo veritati et doctrinae catholicae non advensantur et communionem cum Ecclesia Romana non excludant, per unionem praemissam tollere aut extinguere Ecclesiae Romanae intentionem, mentem et voluntatem non fuisse nec esse nec id dici vel censere potuisse nec posse; quinimo dictos ritus eisdem Ruthenis Episcopis et Clero ex Apostolica beniguitate permissos, concessos et indultos esse, ex litteris Clementis Papae VIII. et Concilio Florentino et ex instituto collegii Graceorum urbis Romae, cuius alumni praestant iuramentum de non transeundo ad ritum latinum sine Apostolicae Sedis licentia, apparet. (Malinowski, l. c. p. 33).

[2]) Ad conservandam pacem et concordiam inter Ruthenos unitos et ob alias gravissimas causas SS. in Christo Pater et Dominus Noster, D. Urbanus div. prov. Papa VIII... decrevit, ne de cetero Ruthenis unitis, sive laicis sive ecclesiasticis, tam saecularibus quam regularibus et praesertim monachis S. Basilii M., ad latinum ritum quacunque de causa etiam urgentissima sine speciali Sedis Apost. licentia transire liceat, et proinde omnibus Archiepiscopis, Episcopis et officialibus Ruthenorum unitorum districte praecipiendo mandavit, ne deinceps licentias pro huiusmodi transitu subditis suis, cuiuscunque gradus et conditionis existant, concedere praesumant, et Archiepiscopis, Episcopis et aliis Praelatis latinis et eorum Officialibus, ne Ruthenos praedictos unitos ad latinum ritum transire volentes, quovis praetextu aut causa, etiam cum licentia Ruthenorum Prae-

„Nikomu, ani świeckiej ani duchownej osobie, a tem mniej Bazylianom, nie wolno, choćby dla najważniejszych powodów, zmieniać obrządku i przechodzić na łaciński bez umyślnego pozwolenia Stolicy apostolskiej".

Postanowienie papieskie napotkało na niemałe trudności na polskim dworze. Episkopat łaciński upatrywał w tym zakazie uszczuplenie i zagrożenie obrządku łacińskiego, i skutkiem tego odmówił Zygmunt III swego przyzwolenia na wykonanie tego przepisu i żądał, żeby papieski zakaz ograniczono do osób duchownych, zwłaszcza do Bazylianów. Urban VIII. był zmuszony ustąpić królowi i zmienił rzeczywiście już 7 lipca tegoż roku ów dekret w ten sposób, że tylko duchownym zakazywał zmienić obrządek grecki bez umyślnego pozwolenia Stolicy apostolskiej [1]).

Nie ulega wątpliwości, że ten dekret odebrał moc prawną rozporządzeniu z 7 lutego 1624. Wynika to z samego brzmienia dekretu z 7 lipca, mocą którego papież wyraźnie „kazał dekret tyczący zmiany obrządku ograniczyć do osób duchownych". Nawet w XVIII w. jeszcze, kiedy spór o możność zmiany obrządku zawrzał na nowo a gwałtownie, mógł się polski episkopat, podając królowi memoryał na sejmie grodzieńskim 20 października 1752 roku [2]), powołać słusznie na dekret z 7 lipca 1624 r. W odpowiedzi zaś danej nuncyuszowi apostolskiemu dnia 28 marca 1752 pisze biskup przemyski S i e r a k o w s k i [3]): Po wydaniu dekretu z 7 lipca 1624 prosiło wprawdzie kilku świeckich Stolicy apostolskiej o dyspensę na przejście z greckiego na łaciński obrządek, ale kongregacya dawała zawsze odpowiedź: Świeccy nie potrzebują żadnej dyspenzy, w myśl dekretu z 7 lipca 1624. Również w sprawie szlachcica Szczawińskiego uznano dyspenzę za zbyteczną, bo on, jako świecki, może przyjąć bez dyspenzy obrządek łaciński i być następnie wyświęconym na kapłana. Na-

---

latorum suorum recipere audeant, sub poena nullitatis actus et aliis arbitrio Sanctitatis Suae et Romanorum Pontificum, successorum suorum transgressoribis infligendis (Collectio Lacensis II 602 sq.).

[1]) In Congregatione habita die 7 Julii 1624 coram SSmo, referente Illmo D. card. Bandino rationes, quas Nuntius Poloniae significabat a rege opponi publicationi decreti de transitu Ruthenorum ad ritum latinum, de quibus latius in literis eiusdem Nuntii sub die 31 Maii 1624, SSums iussit decretum de transitu restringi ad ecclesiasticos... (Coll. Lac. II. 603).

[2]) Malinowski l. c., p. 76.

[3]) Malinowski l. c., p. 70.

wet Malinowski[1]) nie może zaprzeczyć, że jeszcze w pierwszej połowie XVIII w. Kongregacya Propagandy odpowiedziała kilku świeckim Rusinom, proszącym o przeniesienie do obrządku łacińskiego:

„Ipsos vigore decreti sub 7 Iulii 1624 editi non indigere dispensatione s. Sedis Romanae, commisitque Nuntio, ut huiusmodi responsum daret non publice, sed summa cum cautela“.

Jakkolwiek zmiana obrządku nie była zakazana formalnym przepisem, pozostawało to jednak w duchu Kościoła, żeby prosić o pozwolenie papieskie na zmianę obrządku. Powiedziano wyżej, jak Stolica ap. nie zdołała przeprzeć publikowania dekretu z 7 lutego 1624, co więcej, była zmuszoną ograniczyć go do osób duchownych, zwłaszcza Bazylianów. Pomimo to Rzym nie zaniechał przykazywać łacinnikom w Polsce napomnieniami i nakazami dotrzymywania tego dekretu. Tak np. oświadczyła Kongregacya Propagandy pod datą 29 lipca 1631 [1]), że w sprawie zmiany obrządku przez Rusinów nie należy odstępować od pierwszego dekretu Urbana VIII., skoro atoli król nie dopuścił i jeszcze nie dopuszcza publikacyi tego dekretu, poleciła Propaganda nuncyuszowi w Polsce porozumieć się z prowincyałami zakonów, zwłaszcza z jezuickim, i udzielić im wskazówki, żeby w imieniu Ojca św. i Kongregacyi Propagandy upomnieli podwładnych sobie spowiedników, ażeby na przyszłość wstrzymywali się od przywracania (reductio) unijackich Rusinów do obrządku łacińskiego. Podobne upomnienie powtórzył nuncyusz polski w piśmie datowanem 24 sierpnia 1707 do ruskiego biskupa przemyskiego, Winnickiego, w którem „upomina się przeora Dominikanów przemyskich, nie nakłaniać Rusinów do przyjmowania obrządku łacińskiego“. W drugiem piśmie z 5 października tegoż roku zapewniał nuncyusz, że „dba o to, żeby Rusini pozostali przy swoim obrządku“. I rzeczywiście, już pod datą 6 lutego 1708 wystosowano do nuncyusza polskiego od Kongregacyi Propagandy odpis dekretu Urbana VIII. z dnia 7 lutego 1624, ze wskazówką: „ut eo prudenter utatur obtutu antiquarum regiae aulae oppositionum“. Biskup Winnicki mniemał prawdopodobnie, że nuncyusz niepotrzebnie zabiera się do rzeczy z przesadną ostrożnością; ciągłemi bowiem prośbami uzyskał w Propagandzie postanowienie z 11. listopada 1710 r:

[1]) L. c., p. 50 sq.

[2]) Malinowski l. c., p. 37.

Scribatur fortiter Domino Nuntio, ut Decretum Urbani VIII ad amussim observetur, et ne Rutheni ab Episcopis et Religiosis r. l. ac in specie a missionariis Samboriensibus ad ritum latinum pertrahantur",

poczem taż Kongregacya, roztrząsnąwszy pytanie zadane przez Winnickiego, czy Rusinom wolno przechodzić na obrządek łaciński, zakomunikowała w r. 1712 nuncyuszowi polskiemu rozkaz: „Publicare primum Urbani VIII decretum".[1])

Z powodów łatwo zrozumiałych musiała nowa próba opublikowania wspomnionego dekretu napotkać na trudności podobne, jak w r. 1624. Toteż nuncyusz odstąpił od uroczystej promulgacyi dekretu, a tylko zakomunikował go biskupom i prowincyałom, którzy przyrzekli ze swej strony trzymać się ściśle jego przepisów.[2]) Z listów pasterskich, któremi biskupi łacińscy przykazali swym podwładnym trzymać się tego dekretu, wynika jasno, że przyrzeczenie dane było poważnie. Tak np. biskup wileński Konstanty Kazimierz Brzozowski wydał 14 stycznia 1712 taki list pasterski do swych dyecezyan:

„Gdy kłótnie wszelkie załatwiane, a nie pomnażane być powinny, Najś. Pan nasz słodkiego wspomnienia Urban VIII zostawszy uwiadomionym, iż pomiędzy łacińskiego i greckiego zjednoczonego obrządku ludźmi częste wszczynają się niechęci i niezgody z przyczyny przechodzenia z obrządku do obrządku, tym zaś niechęciom chcąc aby przez ojcowską Jego troskliwość i staranność zapobieżone zostało: wydał swoje Breve, którego treść jest następująca...., które Breve, ponieważ dla burzliwych czasów dostatecznie nie zostało ogłoszone, a przeto niewiadomych nie obowiązywało, J. W. Nuncyusz Apostolski w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim na żądanie J. W. Metropolity Ruskiego i innych ziednoczoney Rusi Prałatów toż Breve z cieniów starożytności wydobyte do nas przesłał, aby ogłoszone zostało. Czemu czyniąc zadosyć, niniejszym listem naszym wzmiankowane Breve ogłaszamy, upominając wszystkich i każdego z osobna duchownych tak świeckich jako i zakon-

---

[1]) Malinowski l. c. p. 41.

[2]) Quod praedictum decretum Polonis fuerit ignotum, quodque illo Episcopis ordinumque regularium capitibus communicato acceptaque istorum sponsione super observantia Pontificii decreti, abstinuerit ab eius publicatione (conf. Malinowski l. c. p. 41).

nych, aby Greków Unitów z swego obrządku do łacińskiego przeyść żądających, odtąd pod żadnym pretekstem nie przyimowali, a bardziey onychże sposobami zakazanemi do przeyścia z swego obrządku namawiać, nakłaniać nie ważyli się, owszem iżby nauczali, iż obrządek od obrządku tylko w niektórych ceremoniach różny jest.“[1])

Również łaciński arcybiskup lwowski, Jan Skarbek, wystosował 14 czerwca 1714 do swego duchowieństwa w porozumieniu z arcybiskupem ruskim Warłamem Szeptyckim rozporządzenie, regulujące pod kilku względami stosunki wzajemne łacinników i Rusinów, a w szczególności § 7-mym zakazujące dopuszczanie Rusinów do obrządku łacińskiego.[2])

Dnia 15 lutego 1728 oświadczył biskup łaciński łucko-brzeski, Bogusław Rupnicki:

„Jak niedozwalaliśmy nigdy dotychczas Rusinom przejścia na obrządek łaciński, podobnież i na przyszłość będziemy odmawiać naszego na to zezwolenia, bo dobrze nam wiadomo, że nam to jest zakazane brewem św. p. Urbana VIII. Ilekroć kogoś przekonanoby o to, że przeszedł na obrządek łaciński, przez innych namówiony, zasadzimy na żądanie greckiego metropolity kijowskiego całą powagę naszą, żeby taki powrócił do swego dawnego obrządku, o ile ten (metropolita) nie odmówi nam tego samego względem takich, którzy w dyecezyi naszej przeszli z obrządku łacińskiego na ruski.“[3])

Ale Rusini nie dotrzymywali przenigdy pożądanej wzajemności. Chociażby skargi władyków ruskich na kler łaciński były niewiedzieć jak usprawiedliwione, takie samo postępowanie duchowieństwa ruskiego względem łacińskiego musiało utwierdzić księży łacińskich w ich praktyce i zatkać im uszy na wszelkie upomnienia przełożonych, skoro widzieli, jak Rusini skarżą się wciąż na nich w Rzymie, ale bez ceremonii sami robią to, co ganią u łacinników. Już na synodzie 12 kwietnia 1644 w Krasnymstawie użala się biskup chełmski Paweł Piasecki na to, że uniccy Rusini sprawiają łacińskiemu duchowieństwu i katolickiemu Kościołowi o wiele więcej zmartwień i kłopotów, niż wówczas, kiedy stali jeszcze daleko od Kościoła katolickiego, gdyż psują młodzież łacinnicką, nakłaniają ją do przyjęcia obrzą-

---

[1]) Malinowski l. c. p. 41 sq.

[2]) ibidem, p. 4 i sq.

[3]) Malinowski l, c., p. 44.

dku ruskiego i zakazują spowiedzi u księży łacińskich.[1]) Pod pozorem chrztu z konieczności — pisze biskup przemyski Sierakowski 28 marca 1752 — chrzczą nieraz księża ruscy dzieci łacinników, które potem, gdy podrosną, zagarniają procesami dla swego obrządku.[2]) Te same skargi zanoszą polscy biskupi w piśmie wystosowanem do króla 20 października 1752 i dodają: „verius et iustius contra Reverendissimos Episcopos ritus graeci in eo conqueri possumus, quod ipsi iniuriose nobis obiciunt“[3]). Kiedy 3 czerwca 1757 biskup ruski chełmski zwrócił się do nuncyusza polskiego z prośbą o opiekę nad Rusinami, krzywdzonymi rzekomo przez łacinników, znalazł nuncyusz taką tylko odpowiedź: „Księży ruskich należy upomnieć, żeby nie robili tego, co polskim zarzucają“.[4])

Za Benedykta XIV zabrała się kurya rzymska no nowo do uregulowania stosunku między łacinnikami a unitami. Dnia 24 listopada, względnie 10 grudnia 1748 wydała dekret prowizoryczny, zakazujący świeckim przechodzić na obrządek łaciński bez zezwolenia kompetentnego biskupa łacińskiego, a całą sprawę sporną przekazała referentowi do sprawozdania. Z powodów, których dojść niesposób, utknęły jednak wkrótce te prace Kuryi. Ale już 18 września 1751 wydał Benedykt XIV brewe do biskupów ruskich, w którem zapowiadał bliskie podjęcie rokowań na nowo i zapewniał ich, że użyje wszelkich sposobów, żeby Rusinom nietylko było zakazane przechodzić na obrządek łaciński, ale żeby zapewniona też była egzekucya zakazu.[5]) Potoczyły się znowu układy pomiędzy Rzymem z jednej, a z drugiej strony dworem królewskim i episkopatem obojga obrządków. Przewlekały się kilka lat, nie mogąc dojść do jakiegoś pozytywnego wyniku.[6]) Wobec gwałtowności walki a różnicy interesów pomiędzy Polakami a Rusinami, było to poprostu niemożliwością oddać w równej mierze sprawiedliwość obydwom stronom i rozstrzygnąć spór w ten sposób, żeby Rusinom dogodzić, nie narażając zarazem istotnych czy też rzekomych interesów łacinników.

---

[1]) Malinowski l. c. p. 38.

[2])ibidem p. 68.

[3]) ibidem p. 80.

[4]) ...commonendosque esse presbyteros Ruthenos, ne idem agant, quod latinis improbant. (Malinowski l. c. p. 177).

[5]) Malinowski l. c. p. 65.

[6]) ibid. p. 644 sqq.

Dopiero po pierwszym rozbiorze Polski znalazła Stolica ap. możność załatwić ostatecznie spór blisko dwuwiekowy przynajmniej w jednej części Rzplitej. Papież Klemens XIV wydał 16. kwietnia 1774 brewe zatwierdzające dekret Urbana VIII z 7 lutego 1624 dla wszystkich prowincyj zaboru rosyjskiego i przykazał najsurowsze przestrzeganie go [1]).

Inaczej zgoła rozwinął się spór w zaborze austryackim. Tu wdała się w to władza świecka, próbując rozwiązać kwestyę we własnym zakresie. Po wysłuchaniu gubernatora Galicyi wyszło do niego rozporządzenie nadworne (Hofentschliessung) z 3 sierpnia 1776 następującej treści:

„Zatwierdza się niniejszem w zupełności jego (tj. gubernatora) wniosek doradczy, żeby na przyszłość, gdzie powstanie spór o transitum ab uno ritu ad alterum, proboszczowie miejscowi utriusqe ritus donosili o tem za każdym razem de casu ad casum swojemu ordynaryuszowi wraz z motywami, a ces. gubernium przesłuchawszy władze obydwóch stron, prześle nakoniec sprawozdanie ze swą opinią tudotąd“ [2]). W ten sposób uznano za zbyteczne uzyskanie pozwolenia papieskiego na zmianę obrządku, — któryto środek tłumaczy się pojęciami o prawie państwowem w okresie „oświeconego absolutyzmu“. Tę z poręki państwa zaprowadzoną procedurę przy zmianie obrządku utwierdził Józef II. na nowo dekretem nadwornym z 19 czerwca 1787, a zażalenie wniesione 23 października 1787 przez konsystorz lwowski grecko-katolicki [3]) nie znalazło w gubernium uwzględnienia.

W następnych latach zdarzało się, że łacińskie ordynaryaty w Galicyi przyjmowały nieraz bez uprzedniego zezwolenia Stolicy ap. przechodzących na obrządek łaciński grecko-katolickich świeckich i zbiegających z Rosyi Bazylianów polskiego pochodzenia. Uskarżali się na to w Rzymie kilka razy i przełożeni klasztorów bazyliańskich i biskupi ruscy z Galicyi. Pius VIII chciał więc raz już skończyć z tym niebudującym sporem dwóch obrządków. Dekretem z 13 czerwca 1802 potwierdził zakazy Urbana VIII z 7 lutego 1624 i Klemensa XIV z 16 kwietnia 1774 i kazał to zakomunikować metropolicie Antoniemu Angełłowiczowi za pośrednictwem nuncyusza wiedeńskiego. Metropolita starał się o placet państwowe do wykonywania papieskiego rozporządzenia

[1]) Collectio Lac. II. col. 607.
[2]) Malinowski l. c. p. 649.
[3]) ibidem, p. 652.

— ale napróżno. Rozporządzeniem gubernialnem z 11 marca 1808 do l. 10504 intymowano mu dekret nadworny z 11 lutego 1808, postanawiający, że w sprawie zmiany obrządku należy się trzymać wydanych dotychczas rozporządzeń i nie trzeba zatem przyjmować do wiadomości nowego dekretu Stolicy apostolskiej. A potem w r. 1818 podało gubernium dnia 20 lutego 1818 do l. 7897 do wiadomości biskupów ruskich, że cesarz rezolucyą z 25 stycznia 1818 wydał na przyszłość wskazówkę, że do zmiany obrządku zezwolenie papieskie z natury rzeczy (?) nie jest potrzebne; cesarz oczekuje od grecko-katolickich ordynaryatów, że nie będą odmawiały pozwolenia tym świeckim greko-katolikom, którzy chcą się poświęcić stanowi kapłańskiemu w łacińskim obrządku; w mieszanych zaś małżeństwach ma być pozostawione do woli małżonków pozostać przy swych obrządkach, a dzieci chrzcić i wychowywać w obrządku rodzicielskim według płci.

Kwestya sporna przybrała tedy kształty konkretne przez wdanie się władzy państwowej. Chodziło przedewszystkiem o to, czy do Rusinów galicyjskich ma zastosowanie konstytucya Benedykta XIV z 26 maja 1742 Etsi pastoralis, wydana dla Italogreków [1]), a pozostająca na stanowisku dekretu Urbana VIII z 7 lipca 1624, — czy też tylko i wyłącznie dekret z 7 lutego 1624. Podczas gdy łaciński episkopat, a na ogół także rząd, stawał na stanowisku konstytucyi Etsi pastoralis, uznawali biskupi ruscy — i mieli słuszność — tylko dekret Urbana VIII za jedyną normę do osądzania stosunku obydwóch obrządków w Galicyi. Obydwa obozy upierały się twardo przy raz zajętem stanowisku, zapewne nie bardzo na dobro Kościoła, ani też nie ku zbudowaniu ludu.

---

[1]) Konstytucya Etsi pastoralis orzekała w § 2 n. 14 co do zmiany obrządku: „Quodsi infans graecum ritum in baptismate susceperit, tunc requirendus est primum patris graeci consensus, deinde episcopi latini licentia, ut possit mater latina filium suum graece baptisatum ad latinas caeremonias traducere. Adultis autem si quidem sunt ecclesiastici in quocunque ordine minori vel etiam maiori constituti, saeculares vel regulares, a ritu graeco ad latinum sine expressa Sedis Apostolicae licentia transire non liceat; si laici, ut ad ritum latinum transire possint, episcopus dioecesanus pro sua prudentia permittere valeat; nontamem communitati Graecorum sive Albanensium huiusmodi, sine Sedis Ap. licentia, ad solum privatis personis, attenta uniuscuiusque necessitate“ (Bull. Bened. XIV. ed. Romae 1760, t. I. p. 76).

Spory bez końca skłoniły wreszcie ministerstwo wyznań postarać się o zjazd biskupów obydwóch obrządków celem uregulowania wzajemnego stosunku kościelno-prawnego. Zrobiono to rozporządzeniem (Erlass) z 18 maja 1852 do l. 1048 921, intymowanem pismem prezydyalnem z 9 marca 1853 do l. 4956. Wynikiem konferencyi biskupów była umowa książąt Kościoła co do szczegółowych punktów spornych, przedstawiona Stolicy ap. do zatwierdzenia pod datą 23 grudnia 1853. Z powodów nieznanych bliżej musiano w Rzymie odroczyć roztrząśnięcie wniesionego przez biskupów podania [1]). Tymczasem arcybiskup ruski zwrócił się 5 września 1862 za pośrednictwem namiestnictwa do ministerstwa Stanu (Staatsministerium) z prośbą, żeby na podstawie artykułu 35 austryackiego konkordatu „odjąć prawomocność c. k. dekretowi kancelaryi nadwornej z 25 stycznia 1818 (intymat gubernium z 20 lutego 1818 do l. 7897) co do postanowień zasadzających się na konstytucyi E t s i p a s t o r a l i s, żeby tym sposobem odebrać duchowieństwu łacińskiemu w Galicyi pozór do ucisku i ukracania (zu bedrängen und zu schmaelern) obrządku grecko-katolickiego przez powoływanie się na ów dekret c. k. kancelaryi nadwornej“. Ale namiestnictwo odpowiedziało pod datą 5 września 1862 do l. 410: „stosownie do oświadczenia J. Excellencyi p. ministra Stanu (Staatsminister) z 23 sierpnia rb. do l. 3880 St.- Mr. I, uregulowanie wzajemnego stosunku pomiędzy katolikami łacińskiego a greckiego obrządku w Galicyi jest przedewszystkiem rzeczą władzy kościelnej. Z tego stanowiska rozpatrywano i zajmowano się tą sprawą w nowszym czasie, a zatem Wysokie Ministerstwo może przyczynić się do załatwienia sporu tylko w ten sposób, że za pośrednictwem ministerstwa spraw zewnętrznych wzywa się interwencyi cesarskiego posła przy Stolicy ap., — co też równocześnie się zarządza — ażeby uregulowanie stosunku obrządków katolickich w Galicyi, zapowiedziane już w r. 1855(?), jako bliskie uskutecznienia, dokonane zostało nareszcie kościelną powagą“. Przydałoby się atoli, żeby też episkopat katolicki galicyjski poczynił ze swej strony stosowne kroki u Stolicy ap., ale aż do ostatecznego sprawy załatwienia nie można znieść postanowień powołanego dekretu kancelaryi nadwornej[2]).

---

[1]) Dekret Kongregacyi Propagandy z 6 października 1863 (Coll. Lac. II. col. 561).

[2]) Malinowski l. c., p. 684—690.

Zanim jeszcze mógł się wdać w sprawę cesarski poseł przy Stolicy ap., rozpoczęła już Kongregacya Propagandy swe prace nad tą rzeczą 4 i 12 sierpnia 1862, a dla wyjaśnienia kilku punktów wniesionej w r. 1853 umowy poleciła nuncyuszowi wiedeńskiemu, żeby poprosił biskupów galicyjskich o wydanie opinii. Napróżno czekano w Rzymie na to oświadczenie się galicyjskiego episkopatu obojga obrządków. Skutkiem tego wyszło do niego od Stolicy ap. ponowne wezwanie dnia 2 marca 1863, żeby zaproponować wreszcie jakieś środki właściwe do usunięcia jaskrawych niewłaściwości i wysłać w niedługim czasie kogoś zaufanego do Rzymu, któryby złożył Stolicy ap. wyczerpujące sprawozdanie o stanie rzeczy.

Nieszczęsna rozterka obrządków wzmogła się znacznie w owym właśnie roku, i ostateczne porozumienie się stron stało się nieodzowną koniecznością. Biskupi lwowskiej prowincyi kościelnej nabrali przekonania, że nie można już dłużej zwlekać z wykończeniem dzieła pokoju. Stawili się osobiście w Rzymie i po licznych naradach udało im się ułożyć dnia 17 lipca porozumienie w najważniejszych punktach spornych. Ugoda, rozpatrzona następnie na pełnem posiedzeniu Kongregacyi Propagandy dnia 30 września, otrzymała najwyższe potwierdzenie papieskie dnia 6. października 1863 i pod tą samą datą wydana jest, jako dekret własny Propagandy, żeby jej nadać większą powagę i większą trwałość.

Obok kilku innych punktów spornych, tyczących się szczegółów liturgicznych, udzielania sakramentów i wzajemnego stosunku kapłanów i wiernych obojga obrządków, załatwiono w doszłej w ten sposób do skutku umowie—znanej powszechnie pod nazwą: Concordia — na pierwszem miejscu kwestyę sporną o zmianę obrządku, w sposób, który musiał zadowolnić najzupełniej obie strony.

Postanowiono mianowicie, że każdy jest obowiązany pozostać przy swym pierwotnym obrządku. Przejście samowolne na drugi obrządek zakazane jest jak najsurowiej, i jest nieważne, w jakikolwiek dokonanoby go sposób (Concordia A. a.). Ani chrzest, udzielony przez kapłana drugiego obrządku z konieczności, w razie niebezpieczeństwa śmierci dziecięcia lub też z powodu, że właściwy proboszcz miał przeszkody, — ani komunia św., przyjęta w obrządku obcym, czy to przez nieuwagę, czy też w zamiarze zmiany obrządku, — ani ostatnie nama-

szczenie otrzymane w niebezpieczeństwie śmierci od kapłana drugiego obrządku, — nie stanowią uzasadnienia do przejścia na drugi obrządek, ani go też za sobą nie pociągają. (Concordia C.).

Jeżeli zaś czy to pilna potrzeba wymaga przejścia na drugi obrządek, czy też zalecają je rozumne jakie powody, natenczas do udzielenia potrzebnego na to zezwolenia kompetentną jest jedynie sama tylko Stolica apostolska. Starając się o jej zezwolenie należy zachować sumiennie następujące postępowanie:

Kto pragnie przejść z jednego obrządku na drugi, musi wnieść prośbę o to u swego biskupa z dokładnem i wiernem (accurate et fideliter) podaniem powodów. Ordynaryusz podającego przyłącza swą opinię o prośbie i powodach do podania na piśmie i odsyła to do biskupa tego obrządku, na który petent pragnie przejść. Ten dodaje swoje uwagi, za lub przeciw, i odsyła to wszystko do Stolicy apostolskiej. Dopiero papież rozstrzyga albo sam, albo przez swego delegata, czy pozwolić na przejście, czy nie. W nagłych tylko wypadkach, nie cierpiących zwłoki, udziela biskup — z zachowaniem zresztą przepisanego postępowania, prowizorycznie pozwolenia i pod tym warunkiem, jeżeli Stolica ap. na zmianę obrządku przystanie (Concordia A. a.).

Przyjęcie do kościoła odmiennego obrządku, dokonane bez prawnego zezwolenia, jest nieważne, jeżeli kapłan przyłączył kogoś świadomie i umyślnie do swego własnego obrządku. Podobnież, jak już była o tem mowa, prawnie nieważną jest zmiana obrządku dokonana tajnie. Przyjęcie św. sakramentów u dowolnie wybranego kapłana nie stanowi tytułu dostatecznego do umotywowania pretensyi do przynależności do tego obrządku ani nawet natenczas, gdyby podejście odkryto dopiero po upływie kilku lat (Concordia A. a., c.).

Ażeby osięgnąć należyte przestrzeganie omówionych tu przepisów Concordii przez duchowieństwo, wyznaczono równocześnie kary na takich księży, którzyby się ośmielili przyjąć kogoś nieprawnie do swego obrządku. A mianowicie: zakonnicy, którzyby świadomie i umyślnie przyjęli do swego obrządku kogoś, kto zmienia go wbrew powyższym przepisom, mają podlegać karom, które Benedykt XIV ustanawia w konstytucyi De-

mandatam nobis z 24 grudnia 1743 § 19. [1]) W myśl tej konstytucyi tracą zakonnicy ipso facto prawo wyborcze czynne i bierne i stają się niesposobnymi do piastowania jakichkolwiek urzędów i stopni w zakonie. Jeżeli zaś zawini kapłan świecki, proboszcz czy wikary, idzie za pierwszym razem na pokutę na 8 dni rekollekcyj, za drugim razem na 14 dni, a za trzecim razem podlega ipso facto suspenzie a divinis; w wypadkach cięższych może być skazany nawet na odjęcie beneficium, jeżeli kapłan taki jest proboszczem, — a na niesposobność do otrzymania probostwa w ciągu najbliższych trzech lat, jeżeli chodzi o kapłana zajętego w inny sposób przy cura animarum (Concordia A. c.). Tym samym karom podlega taki ksiądz, który nabędzie niewątpliwej pewności, że ktoś przyłączył się nieprawnie do powierzonej sobie owczarni, a pomimo to nie odprawi go stosownie do jego obowiązku do jego własnego obrządku, lecz udziela mu nadal łask Kościoła. Jeżeli jednak przyłączył się ktoś nieprawnie bez wiedzy proboszcza do jego gminy, nie naraża się oczywiście niewinny proboszcz na żadną karę, o ile przybysza po nabyciu pewnej wiadomości o jego obrządku tam odprawi (Concordia A. c.).

Kto rozważy bezstronnie powyższe postanowienia Concordii o zmianie obrządku, nie może oprzeć się wrażeniu, że są one godnym wyrazem wyrażonej w prawodawstwie kościelnem po wielekroć zasady równouprawnienia łacińskiego i greckiego obrządku. W zupełnem równouprawnieniu łacinników i unitów w dziedzinie kościelnej upatrywał Kościół zawsze podstawę i rękojmię jednolitego współdziałania na chwałę Bożą i zbawienie dusz. Jeżeli jednak to prawne równouprawnienie ma wydawać też pożądane owoce, musi być przeniesione w praktykę tak przez łacinników, jakoteż przez Rusinów. Nie dbać o nie w praktyce — to przestępstwo przeciw wielkiemu dziełu pokoju, obmyślanemu przez Kościół z tak dużym trudem, to rozwiązanie związku, łączącego wiernych obojga obrządków w jedną wielką rodzinę.[2])

Ks. Dr. J. Roth.

---

[1]) Bull. Bened. XIV. ed. Romae 1760, t. I. p. 131.

[2]) Kwestya zmiany obrządku stała się znowu aktualną, a tem ważniejszą, że łączy się pośrednio ze skomplikowanem zagadnieniem o

WSPÓŁCZESNA CHORWACYA WOBEC WĘGIER I AUSTRYI.

(Z odczytu w Klubie Słowiańskim w Krakowie d. 8 lipca b. r.).

Chorwacya jest jednem z tych nielicznych państw europejskich, które zachowało w ciągu wieków zawsze niepodległość. Główną przyczyną tego faktu było niewątpliwie jej położenie geograficzne. Rozglądając się w tem położeniu spostrzegamy, że Pobrzeże Chorwackie odznacza się przedewszystkiem tem, że poczynając od Istryi aż do Albanii góry ciągną się pasmem, przylegającem przeważnie bezpośrednio do morza, a z drugiej strony ich aż po Dunaj ciągnie się jednolita masa osiadłości Słowian południowych. Z powodu takiego położenia pasma gór, wpływ Wenecyi na te strony nigdy nie mógł silnie się utrwalić.

---

przywrócenie unii pod panowaniem rosyjskiem. Zdania są podzielone. *Świat Słowiański* — jak zawsze — wychodzi z tego założenia, że rozstrzygnąć jakąś kwestyę dobrze można tylko wtenczas, gdy się ją dobrze zna, a uważając za swój pierwszy obowiązek szerzenie znawstwa rzeczy w społeczeństwie, pragnie i w tym wypadku przysłużyć się. Uprosiliśmy więc wybitnego znawcę przedmiotu, ks. Dr. J. Rotha, — którego zdanie cenione jest w kołach specyalistów — o łaskawe pouczenie, jak się przedstawia sprawa ze stanowiska kanonicznego i za spełnienie naszej prośby wielce mu jesteśmy zobowiązani. Sprawę kościelną dobrze jest poznać najpierw z kościelnego stanowiska.

Z artykułu dadzą się snuć rozmaite wnioski i przypuszczamy, że publicystyka polska zajmie się tą sprawą, mając w objektywnem ks. Dra Rotha przedstawieniu zabrany potrzebny do tego materyał autentyczny.

Mojem osobistem zdaniem — z którem zresztą nieraz już wystąpiłem publicznie — była unia brzeska błędem nietylko politycznym, ale też kościelnym — i to grubym — bo ona zatamowała rozwój katolicyzmu. Ale wydawałoby mi się śmieszną pretensyonalnością odmawiać z tego powodu głosu zwolennikom unii. Zdaje mi się, że oni się łudzą — ale ostatecznie każdy z nas pragnąłby gorąco, żeby się pokazało, że mają słuszność. My wszyscy wogóle mamy w sprawach Rusi dotyczących marzenia jednakie; tylko dzielimy się w zapatrywaniach na ich wykonalność lub niewykonalność, a rzecz prosta, że usuwa się z programu to, co się uważa za niewykonalne.

Czy wykonalną jest w praktyce Concordia, jak w teoryi niewątpliwie wykonywaną być winna? Czy kler ruski krępował się nią choćby dzień jeden? Czy nie należałoby dążyć do rewizyi Concordii, skoro nie spełnia swego celu, bo stosunki praktycznego życia tak się układają, że zamiast zamierzonego równouprawnienia daje ona uprzywilejowanie Cerkwi, a upośledzenie Kościołowi? *F. K.*

Państwo weneckie ciągnęło się dosyć długim, a nieproporcyonalnie wąskim pasem, który ustawicznie był przerywany naporem słowiańskim. I dzisiaj dalmacka Chorwacya ma zaledwie 3% ludności włoskiej; nawet wyspy, przylegające do Dalmacyi, mają najczystszą ludność chorwacką. Fakt ten wielokrotnie zwracał uwagę różnych cudzoziemców, a zwłaszcza Francuzów, z łona których w r. 1897 była wyprawa uczonych w te strony. Później jeden z uczestników tej wyprawy, znany autor dzieła „Manuel de histoire diplomatique de l'Europe", Leon Bourgeois, szczery przyjaciel Polaków, powitał mię w szkole nauk politycznych w Paryżu słowami: „Gratuluję Wam, panie Chorwacie; gdybyście Chorwaci nie mieli nic więcej, niż Dalmacyę i jej wyspy z ich najczystszym żywiołem chorwackim, bylibyście zawsze jednym z najważniejszych czynników polityki europejskiej co do morza Śródziemnego!"

My Chorwaci nie mamy tedy powodu narzekać na Kras, Velebit i inne góry; ochroniły nas bowiem od wdarcia się Włochów, a w dzisiejszych czasach postępów techniki nie mogą być dla nas stałą przeszkodą naszego rozwoju ekonomicznego. Podobnie zaś od strony północno-zachodniej całe pasmo Alp stawiało tamę naporowi niemieckiemu na Chorwacyę, a przytem był od tej strony i jest, chwała Bogu ciągle, żywy wał narodu słowieńskiego.

Z tych względów, oprócz jeszcze innych przyczyn, nie mógł Wiedeń utrzymać Pogranicza wojennego chorwackiego, które wykroił na żywem ciele państwa chorwackiego, nosząc się z zamiarem utworzenia z niego głównego środowiska germanizacyi na południu monarchii[1]). Ostatecznie w r. 1881 „Pogranicze wojskowe" zniesiono także formalnie i przyłączono jako część nierozdzielną do królestwa chorwackiego.

Zwracając się ku wschodowi, na pierwszy rzut oka otrzymujemy wrażenie, że Chorwacya jest otwarta dla każdego naporu z tej strony, ale po bliższem przypatrzeniu się spostrzegamy tutaj dwie naturalne twierdze: tak zwany kraj górski (Gorski Kotar) od Karłowca do Rjeki, oraz chorwackie Zagórze (Hrvatsko Zagorje), ciągnące się od Zagrzebia do Waraždynu. Dwie te twierdze nasze wraz z sąsiedniemi dzielnicami nigdy nie znajdowały się pod panowaniem tureckiem.

[1]) „Pogranicze wojskowe", osobny „kraj", zorganizowany po wojskowemu, długi pas chorwackiej ziemi od granicy tureckiej.

Najsłabiej przedstawia się naturalna granica Chorwacyi od strony północno-wschodniej, ale co do tego przypomnieć należy fakt, że w r. 1848 ban Jelačić z łatwością mógł przejść Drawę, gdy tymczasem madiarscy dziejopisarze z wielkim wysiłkiem, a małem powodzeniem chcą udowodnić, że tą samą drogą była Chorwacya zawojowana przed 800 latami.

Jeszcze donioślejsze znaczenie ma położenie Chorwacyi z punktu ekonomicznego. Zachodnia Rumunia, zachodnio-północna Bułgarya, północna Serbia i całe średnie i południowe Węgry ciążą do Pobrzeża Adryatyckiego, skutkiem czego cały ich handel zwraca się ku Tryestowi i Rjece przez terytoryum chorwackie. Z drugiej znów strony najkrótsza droga z Brukseli, Drezna, Warszawy, Wiednia i Pragi do najbliższego Wschodu, zwłaszcza do Aleksandryi nie jest przez Brindisi w południowych Włoszech, lecz przez Split (Spalato), główną przystań morską w Dalmacyi. Wreszcie po przebiciu tunelu Simplońskiego najkrótsza droga z Holandyi, Paryża, Szwajcaryi oraz Włoch północnych do Carogrodu i Indyj angielskich nie jest przez Wiedeń i Budapeszt, lecz przez Medyolan, Wenecyę, Lublanę i Zagrzeb.

Słowem Chorwacya jest węzłem dróg ekonomicznych nietylko europejskich, ale i wszechświatowych.

Z kulturalnego punktu przyznać trzeba, że Chorwacya niema bezpośredniego zetknięcia się z rzeczywistą Europą, tj. Francyą i Anglią, ale zato prawicą swoją sięga do Lublany, a lewicą do Belgradu i przez to samo łączy największy obszar południowej Słowiańszczyzny. Oprócz tego znaczna część Chorwatów mówi narzeczem kajkawskiem (a nawet żupania (komitat) zagrzebska z samym Zagrzebiem), które to narzecze Słowieniec uważa za swoje. Z tego powodu Słowieniec każdy czuje się w Zagrzebiu, jak u siebie w Lublanie. Ponieważ zaś jednocześnie wschodnia Chorwacya (Slawonia) oraz Chorwacya południowa mówi językiem literackim, który jest wspólny z Serbami, a którego używa cała inteligencya chorwacka, więc też i Serb czuje się w Zagrzebiu, jak w Belgradzie.

Wskutek tego w Chorwacyi w początkach XIX stulecia spotykamy niezwykłe zjawisko: gdy w całej Słowiańszczyźnie mają przewagę prądy, dążące do wyodrębnień — w Chorwacyi najpierw zjawia się i zwycięża illiryzm Gaja, a następnie idea południowo-słowiańska Strossmayera. Ale co jeszcze ciekaw-

sze, jednocześnie z tym prądem koncentracyjnym rozwijał się chorwacki indywidualizm prawno-państwowy tak silnie, że przedewszystkiem doszło do walki z Madiarami — r. 1848, a następnie w r. 1868 do takiej ugody chorwacko-węgierskiej, która Chorwacyi pozostawia nietylko formalne uznanie, ale i faktyczne istnienie autonomii prawno-państwowej.

Ugoda bowiem nazywa Chorwacyę „odrębnym politycznym narodem“ (§ 59) tj. państwem; na terytoryum chorwackiem ma być wywieszany tylko (§ 61) sztandar (czerwono-biały-niebieski) chorwacki, oraz takiż herb (czerwono-biała szachownica, trzy złote koronowane głowy, dwie linie oznaczające Drawę i Sawę, a między niemi kula z gwiazdą). Język urzędowy na terytoryum chorwackiem ma być wyłącznie chorwacki (§§ 56 i 57); we wspólnych ministerstwach w Peszcie winny być osobne chorwackie oddziały, a wszyscy urzędnicy krajowcami (§ 46). Lasy w Chorwacyi uznaje się za państwowy majątek chorwacki (§ 8), a z wszystkich chorwackich dochodów powinien być prowadzony oddzielny rachunek (§ 29), ale najdonioślejszą rzeczą jest to, że centralny rząd w Budapeszcie nie może rozporządzać niczem na terytoryum chorwackiem bez zezwolenia rządu chorwackiego w Zagrzebiu, który jest zupełnie niezależny w sprawach administracyjnych, szkolnych i sądowych, i wogóle we wszystkich, które nie są umyślnie wyszczególnione w ugodzie (§§ 9—10).

Prawda, że Węgry szczególniej w kwestyach ekonomicznych ugody nie dotrzymują; prawda, że rząd centralny bez zezwolenia sejmu chorwackiego sprzedaje rocznie lasów chorwackich za sumę do 20 milionów i więcej koron, a nawet dotąd wykaz ogólnych dochodów chorwackich nie był jeszcze ani razu przedstawiony; prawda, że do Chorwacyi wprowadzono tysiące urzędników madiarskich (tylko kolejowych), a w całem urzędowaniu zaprowadzono język madiarski; prawda, że nie istnieje taki paragraf ugody, który nie byłby naruszony, ale prawda też i to, że całym wynikiem tej polityki stało się zupełne zgładzenie dawnego madiarofilskiego stronnictwa, tak, że dzisiaj rząd budapeszteński i jego mąż zaufania baron Rauch nie ma ani jednego posła za sobą w sejmie chorwackim.

Aby należycie ocenić doniosłość tego faktu, trzeba przypomnieć, że pozytywna dzisiejsza konstytucya chorwacka ze szczególną konsekwencyą przeprowadziła te dwie zasady: zupełną

odrębność Chorwacyi od Węgier, oraz rzeczywistą odpowiedzialność bana, tj. głowy rządu przed sejmem.

W dążeniu do odrębności Chorwacya w swych ustawach (np. ustawa XIV z roku 1870) stanęła na stanowisku cesarstwa (carevine), a w tem cesarstwie określiła prawnie stosunek swój tak do „królestwa węgierskiego“, jak i do pozostałych królestw i krajów do związku cesarstwa należących.

W dążeniu zaś do rzeczywistej odpowiedzialności bana ustanowiła wszystkie szczegóły procesualnie w razie naruszenia narodowych praw oraz interesów. (Ustawa z 10 stycznia 1874 r.).

Kiedy rozważymy, że finansowy, a nawet wogóle prawnopaństwowy stosunek Chorwacyi do Węgier ulega rewizyi co 10 lat z zachowaniem zasady równouprawnienia (komisya odpowiednia składa się z 12 „deputatów królestwa“, wybranych przez sejm Chorwacyi i z 12 przez sejm węgierski), to łatwo możemy sobie przedstawić taki wypadek, kiedy chorwacka deputacya zamiast dzisiejszego stosunku do Węgier postawi wniosek ustanowienia podobnego stosunku z Austryą.

Żeby przeszkodzić temu, rząd węgierski zniósł faktycznie konstytucyę chorwacką, ale przez to rozerwał jedyny związek z Chorwacyą; kulturalnego bowiem związku nie było nigdy, a interesy ekonomiczne są nawet na pierwszy rzut oka zupełnie sprzeczne.

Walka rozpoczęta potrwa tedy do chwili zupełnego zwycięstwa strony silniejszej. Za silniejszą stronę uważają się naturalnie Madiarzy, zapominając, że tu nie chodzi o siłę absolutną, lecz o to, kto jest silniejszym na gruncie chorwackim: Madiarzy czy Chorwaci. Austrya, naprzykład, absolutnie o wiele razy silniejsza jest od Węgier, ale nie posiadając na gruncie węgierskim skutkiem swej „przemądrej“ polityki żadnych zwolenników, w każdem starciu ustępuje ustawicznie.

Kiedy jest mowa o stosunku sił chorwackich i węgierskich, trzeba wziąć pod uwagę, że masy ludu madiarskiego są zupełnie socyalistyczne, albo skłaniają się ku socyalizmowi, gdy tymczasem lud rumuński i słowacki (bez mała połowa mieszkańców Węgier) coraz bardziej się nacyonalizuje; następnie średniego stanu madiarskiego niema, gdyż ten, jaki jest, składa się z Żydów i Niemców; dalej drobna szlachta zupełnie się zbiurokratyzowała, a tak przytem skorupcyonowała, iż pod tym względem przypomina biurokracyę rosyjską; wreszcie, najwyższa arysto-

kracya, skutkiem swego złączenia się z żydostwem, straciła zupełnie swój blask wobec ludu, z powodu zaś swej nienawiści do wszystkich wielkich narodów kulturalnych, wyzbywa się ciągle swego dawnego wykształcenia ogólnego.

Chorwacya — przeciwnie: ma lud nietylko narodowo uświadomiony, ale i politycznie tak dojrzały, że żadne gwałty nie są zdolne sprowadzić go z drogi legalnej; wszystkie stronnictwa chorwackie opierają się o masy ludowe, a wobec Węgier wszystkie idą zgodnie, z wyjątkiem „czystej“ frakcyi dra Franka, która z tego właśnie powodu straciła w ostatnich czasach połowę swoich posłów, a można powiedzieć, że zarazem dziewięć dziesiątych swych dawnych wpływów. W końcu poprzednio opisane położenie geograficzne i etnograficzne tak wzmacnia sytuacyę Chorwacyi, że obronna jej pozycya jest nie do zdobycia.

Swoją drogą zwycięstwo Chorwatów w obecnej walce nie zależy jednak, pomimo wszystkich przytoczonych faktów od nas samych, ale również w sporej mierze od ogólnego ułożenia się stosunków w monarchii, a pod tym względem kwestya chorwacka staje się zarazem kwestyą polską i czeską, czyli najaktualniejszą sprawą słowiańską.

Niespodziane zniszczenie stronnictwa madiarofilskiego w Chorwacyi, a jeszcze bardziej niespodziana zgoda chorwacko-serbska, jako też nigdy nie zamącone stosunki chorwacko-słowieńskie — sprawa Bośni, Hercegowiny, będących jakby w objęciu Chorwacyi, oraz kwestya Macedonii przy obecnych dążeniach Anglii, Rosyi i Austryi do rozstrzygnięcia różnych kwestyj na najbliższym Wschodzie — te wszystkie okoliczności zrobiły z Chorwacyi pierwszorzędny „atut dyplomatyczny“. Zręczna, chytra, a w swych środkach nieprzebierająca dyplomacya włoska zapragnęła i spróbowała dostać ten atut do swych rąk za pośrednictwem swego wychowanka Kossutha juniora, — co było właśnie ukrytym celem głośnej rezolucyi rjeckiej z dnia 3 października 1905 roku.

Gdyby dzisiaj istniały trzy samodzielne państwa: polskie, chorwackie i czeskie, to z pewnością wobec naporu niemieckiego szukałyby jakiegokolwiek sposobu do wzajemnego porozumienia się, ale podobne dążenia spotkałyby się jeszcze z większą opozycyą, niż podobne dążenia współczesne między Bułgaryą, Czarnogórą a Serbią. W granicach jednego państwa ma się sprawa zupełnie inaczej i w myśl przysłowia polskiego: „niema złego,

coby na dobre nie wyszło", możemy powiedzieć, że nasze dzieje nieszczęśliwe miały chociaż tę dobrą stronę, iż dzisiaj, wobec Niemiec zjednoczonych, trzy historyczne narody słowiańskie, złączone w centrum Europy granicami jednego państwa, mogą otwarcie powiedzieć: Jeżeli wy pod pozorem sprawy zewnętrznej możecie gnębić i dążyć do zgładzenia trzech milionów Polaków, to my, Polacy, Czesi i Chorwaci, postaramy się o to, żeby jak najprędzej monarchia Habsburgów przestała być niemiecką i ażeby na Podunaju oraz na Bałkanach zniknął nietylko niemiecki ucisk, ale i każdy nieuprawniony wpływ Niemiec.

Politycy polscy i czescy czuli zawsze w Wiedniu, że na obwodzie monarchii niema pewnego punktu słowiańskiego, na którym możnaby polegać, że wszystko tam jest albo wrogie, albo zanadto słabe i niezorganizowane, dlatego też zostawali w Wiedniu tylko z konieczności, gdyż tylko w sejmach krajowych widzieli jedyne miejsce do obrony interesów narodowych. Tymczasem zaś coraz większy napór pruski, oraz ogólne położenie międzynarodowe, zmuszało tak Czechów jak Polaków do jakiejkolwiek koncentracyi obopólnych sił narodowych.

Jeden tylko rzut oka na stosunki ekonomiczne państwa wskazuje, iż Czesi nietylko są zdolni do konkurencyi z Niemcami, ale w wielu gałęziach mogą ich przewyższyć.

Z drugiej strony dzieje polityczne epoki konstytucyjnej Austryi stwierdzają, że Polacy byli jedynym narodem słowiańskim, do którego polityków dynastya miała zaufanie.

Jeżeli Polacy, Czesi i Chorwaci, idąc dotąd oddzielnie, mogą się wykazać powodzeniami politycznemi, to sama przez się nasuwa się myśl: jaka potężna wytworzyłaby się siła z połączenia tych grup narodowych.

A w takim razie i sprawa całej reszty Słowiańszczyzny, a można śmiało powiedzieć, że i sprawa wielkich, trwałych interesów kulturalnych całej Europy, postąpi o wielki krok naprzód.

Tak więc emancypacya Chorwacyi do Węgier w chwili obecnej staje się nietylko pożądaną, ale wprost niezbędną, o ile wspólna działalność Słowian austryackich niema pozostać bez realnego podłoża.

Stjepan Radić.

MIKOŁAJ RIMSKIJ-KORSAKOW.
(1844—1908).

P. Sergiuszowi Buniatianowi.

Rosya poniosła ciężką stratę w muzyce: zmarł Rimskij-Korsakow, największy i najbardziej rosyjski kompozytor. Był to jeden z reformatorów rosyjskiej muzyki, który uwolnił ją od wpływów obcych (włoskich), jakkolwiek wprowadził do niej dorobek muzyczny Europy zachodniej, przez co zbliżył Rosyę i jej sztukę do kultury artystycznej europejskiej. Najważniejszą zasługą jego jest to, że wprowadził wogóle kulturę do rosyjskiej muzyki, dał jej symfoniczną literaturę, a twórczością swą i jej rodzajem zdziałał, że Rosya rozpoczęła swój muzyczny rozkwit właśnie w tej epoce, gdy Berlioz, Liszt, Wagner i Chopin dali muzyce nowe wartości. Rosya, bez tradycyj artystycznych, wydała nagle szereg kompozytorów, z których kilku odrazu zyskało sławę europejską. A jeśli ta tradycya istniała, to albo znajdowała się na złych drogach, albo była wysoce jednostronną. Jedno tylko nie wzbudza żadnych wątpliwości estetycznych w tej tradycyi t. j.: stosunek Glinki do Rimskiego i tendencya obydwóch do dania Rosyi bogatej operowej muzyki w duchu czysto rosyjskim. Aby więc poznać znaczenie Rimskiego, musimy rzucić okiem na to, co było przed nim w rosyjskiej muzyce.

Przed Rimskim żaden z talentów nie zasługuje na taką uwagę, jak Michał Glinka, który w r. 1836 dał Rosyi narodową operę w dziele „Życie za cara". Twórczość operowa kwitnęła w Rosyi o tyle, że teatry w Petersburgu i Moskwie mogły zaledwie dowieść, że coś się w Rosyi komponuje. Były to jednak same opery i dumki, muzyka kościelna i kantaty — nazwijmy je oficyalnemi, urzędowemi. Glinka dał pierwszy Rosyi nietylko narodową operę, ale i pierwsze utwory orkiestrowe („Kamarinskaja", „Jota Aragonese", „Noc w Madrycie") i gdyby był żył dłużej, dałby jej pierwszą symfonię — ale „Taras Bulba" nie przekroczył pierwszej swej części. Jeśli „Kamarinskaja" da się z czem porównać z polskiej muzyki, to chyba z mazurem z „Halki". Rzecz dziwna, że właśnie te dwie kompozycye mówią nam wiele o ich twórcach. Glinka zdradza silny zmysł orkiestrowy, kolorystyczny, wykształcony na Liszcie i Berliozie, Moniuszko woli bardzo neutralne barwy niemieckich pseudoklasyków i opery włoskiej. Pisze na fortepian,

a później instrumentuje, gdy tymczasem Glinka myśli orkiestrowo: mazur z „Halki“ i „Kamarinskaja“ — to jakby przepowiednie tego, jak muzyka polska, a jak rosyjska pójdą naprzód, jak się rozwiną; pierwsza będzie spóźnioną, druga przyswoi sobie środki zachodnie i przetopi je we własnym tyglu, w którym znajdzie się bardziej niż przeciętna kultura artystyczna i — nacyonalizm. Pierwsza będzie się do lat ośmdziesiątych rozwijała tak, że wzbudzi żal i litość, druga systematycznie a zarazem szybko będzie szła naprzód i zdobędzie świat, na co pierwsza może długo czekać będzie. O ile w Rosyi muzyka rosyjska będzie popierana przez instytucye muzyczne i przez krytykę, o ile w Rosyi starsi artyści będą z całej siły popierali młodsze talenty, o tyle w Polsce jedyna instytucya koncertowa, rozporządzająca orkiestrą, połączy się ze wsteczną krytyką, dyrekcyami oper i prywatą oraz zachłannością starszych talentów, aby gnębić młodsze talenty, ponieważ te ostatnie posiadają wyższą kulturę i wiedzę. Przyszłe pokolenia poznają się na tem i przekonają się, ile zwłaszcza po r. 1900 uczyniono, aby swobodny bieg polskiej muzyki gnębić.

Glinka dał rosyjskiej muzyce narodowe tendencye, wskazał na reformy Berlioza i Liszta, na znaczenie muzyki programowej, na zadania instrumentalnej twórczości w Rosyi i — rzecz dziwna — jego następcy poszli temi drogami, tworząc szeregi wybitnych dzieł we wszelkich dziedzinach muzyki. Obok Glinki ważne stanowisko zajął Aleksander Dargomyżski, propagator Wagnera i jego reform, oraz w tymże duchu działający Aleksander Serow. Wiedzieli oni dobrze, iż muzyka rosyjska z natury rzeczy, gdyby szła osobno bez kontaktu z Zachodem, odkryłaby zapewne na własną rękę niejedną wartość, czy techniczną, czy muzyczno - estetyczną, lecz to zanadto opóźniałoby jej rozwój, gdyż w najlepszym razie na własną rękę odkryłaby to, co już dawno odkryto na Zachodzie, zwłaszcza że w tym czasie nie ustawano w doskonaleniu środków muzycznej ekspresyi. Prócz tego Rosya nie posiadała muzyki symfonicznej i kameralnej, pieśni artystycznej i wielu, wielu rodzajów, oddawna na Zachodzie przyjętych, przez Czechów więcej, a przez Polaków znacznie mniej pielęgnowanych. W domu Dargomyżskiego zbierało się grono pięciu muzyków, którzy w niedalekiej przyszłości mieli niedostatki muzyki rosyjskiej usunąć, a równocześnie dać jej szereg dzieł o mniej więcej trwałej

wartości. Byli to: Bałakirew, Kiuj, Mussorgski, Borodin i Rimskij-Korsakow; obok nich niezależnie tworzył Piotr Czajkowski, zwalczany z początku przez tych nowatorów, zwłaszcza przez Stassowa i dyletanta Kiuja (ucznia Moniuszki), w końcu jednak zwycięzca w Rosyi i poza nią.

Czajkowski nie mylił się, gdy uznał Rimskiego za najwybitniejszego z pomiędzy pięciu „nowatorów“, z pomiędzy tej „wszechmocnej gromady“, która dzięki niezawsze kompetentnym, lecz za to zawsze efektownym artykułom Kiuja zdołała, zwłaszcza w Petersburgu, przygotować swoim doktrynom grunt. Wprawdzie nie długo cieszyli się nowatorowie zwycięstwami, gdyż Czajkowski swym talentem rozbił ich kruche doktrynerskie przesądy; wszak to, co do lat siedmdziesiątych „nowatorowie“ stworzyli, było i mało osobiste i mało dojrzałe, ponieważ oparte na słabem wykształceniu teoretycznem, w czem wyjątek stanowił właśnie Rimskij-Korsakow, ale ten Rimskij późniejszy. Wysoce interesującym jest jeden z listów Piotra Czajkowskiego, dotyczący „nowatorów“. Piotr Iliicz nie znosił wszelkich radykalnych środków w wywalczaniu praw dla pewnego kierunku; dlatego nie mógł sympatyzować z „nowatorami“, obalającymi Haydna, Mozarta, Händla, Bacha i klasyków, a wznoszącymi pomniki dla Liszta, Berlioza i Wagnera, których również i Czajkowski wielbił, nie zapominając o klasykach. Twórca „Symfonii patetycznej“ tylko zwolna zaczął odczuwać sympatyę dla nowatorów, zależnie od tego, jak wzbogacali swą wiedzę. Żądali oni nieograniczonej swobody dla kompozytora, wskutek czego solidne dzieła Czajkowskiego były dla nich „pedanteryą, rutyną i zacofaniem“. Rzecz dziwna, że gdy Rimskij-Korsakow dojrzał, zaczął być takim pedantem, iż Czajkowski obawiał się o jego przyszłość. Co jednak jest najciekawszem: „nowatorowie“ uważali się za geniuszów i lekceważyli Europę, w której szukali — wzorów dla siebie. Chcieli dać coś odrębnego, „niebywałego“, „wielkiego“, a ciągle oglądali się poza siebie, nachodzili Liszta, spraszali Berlioza i odbywali wędrówki do Bayreuthu i Monachium, aby potem imponować niesłychanemi odkryciami — w Rosyi, a wobec Europy udawać kompanię absolutnie „niezależną“, t. j. posługującą się rosyjskiemi melodyami, rosyjską treścią swych oper, rosyjskim „programem“ swych sym-

fonii i poematów symfonicznych. Pan generał Kiuj nie szczędził tymczasem Czajkowskiemu wyrzutów, że jest „za mało rosyjski“, zanadto kosmopolitą. Gdyby był szczerym, musiałby o swym koledze p. Bałakirewie powiedzieć, że jest najmniej rosyjskim, gdyż niewolniczo trzyma się Chopina i Liszta. W istocie najbardziej rosyjskimi byli: Rimskij i Czajkowski, najmniej Kiuj, słodki, salonowy generał-meloman, nie umiejący różróżnić szczerej kultury od poloru zewnętrznego.

Czajkowski tak wyraża się o tej miłej kompanii (w liście pisanym z San-Remo 1877 do pani Nadieżdy Filaretówny de Meck): „Wszyscy młodzi petersburscy kompozytorowie są bardzo utalentowani, lecz niestety także zarażeni najpotworniejszą megalomanią i prawdziwie dyletanckiem przekonaniem, że stoją ponad wszystkimi innymi muzykami świata. Wyjątek stanowi Rimskij-Korsakow (dopiero w ostatnich czasach). Jest on wprawdzie autodydaktą, jak wszyscy inni, ale od pewnego czasu nastąpił w nim stanowczy zwrot. Ten człowiek jest z natury bardzo poważny, bardzo solidny i sumienny. Jako młody człowiek wpadł w towarzystwo, które go przedewszystkiem zapewniło, że jest geniuszem, a po drugie wyrobiło w nim przekonanie, że nie potrzebuje się wcale uczyć, ponieważ szkoła zabija wszelką inspiracyę, niszczy wszelką siłę twórczą i t. d. Zrazu uwierzył temu. Jego pierwsze kompozycye zdradzają bardzo silny, ale pozbawiony wszelkiego teoretycznego wykształcenia talent. W kole, w którem się obracał, każdy był w sobie i innych zakochany. Każdy starał się naśladować jedno lub drugie dzieło, które pochodziło z tego towarzystwa, lub które zostało przez nie uznane za coś niezwykłego. Wskutek tego cała kompania popadła w jednostronność, nieosobistość i zmanierowanie. Korsakow jest jedynym z nich (Czajkowski pisze to w r. 1877! Uwaga autora), który mniej więcej przed 5 laty doszedł do przekonania, że idee głoszone przez jego kompanię wcale nie mają uzasadnienia, że potępianie szkoły i klasycznej muzyki, zaprzeczanie autorytetom i negowanie wartości dzieł mistrzów nie jest niczem innem, jak dowodem niewiedzy. Posiadam jeszcze z tej epoki list, który mnie wzruszył do głębi. Rimskij-Korsakow wpadł w zwątpienie, gdy spostrzegł, że wiele lat minęło bez pożytku, i że znajdował się na drodze, która do żadnego celu nie prowadzi. Zapytał się wówczas, co ma czynić? Naturalnie—

musiał się uczyć. I rozpoczął uczyć się z taką gorliwością, że szkolarska technika stała się wkrótce dla niego czemś niezbędnem. W jednem lecie zrobił mnóstwo kontrapunktów i 64 fugi... Te ostatnie były nienaganne, ale zauważyłem odrazu, że reakcya była za silna. Z pogardy szkoły wpadł Rimskij-Korsakow w radykalny kult muzycznej techniki. Wkrótce pojawiła się jego symfonia i kwartet. Obydwa dzieła są pełne sztuczek i noszą na sobie piętno suchej pedanteryi. Prawdopodobnie znajduje się on obecnie w fazie przesilenia, tak, że trudno jest przepowiedzieć, jak ona się zakończy. Albo będzie wielkim mistrzem, albo zginie od kontrapunktycznych wybryków!“ — Nie o wszystkich t. zw. młodorosyjskich kompozytorach da się coś podobnego powiedzieć. Kiuj został dyletantem — i jenerałem, oraz profesorem fortyfikacyi. Słowa Czajkowskiego: „Kiuj jest utalentowanym dyletantem, jego muzyka nie ma żadnej cechy odrębnej, a że jest elegancką i kokieteryjną, a raczej... wylizaną, więc naprzód „podoba się“, potem staje się przykrą“ — te słowa są i dziś ważne. „Technika Borodina jest tak słabą, że nie może napisać ani taktu bez obcej pomocy“ — pisze dalej Czajkowski. Ale później Borodin rozwinął się i nauczył nie bez mozołu nieco więcej, i to raczej w instrumentacyi, niż w innych ważniejszych gałęziach techniki kompozytorskiej. To samo dotyczy Bałakirewa.

Musimy dokładniej zbadać, jakimi ideałami żyła kompania „reformatorów“, „nowatorów“, gdyż w całym świecie muzycznym istnieje nazwa: „młodorosyjska szkoła“, z której wielu nie zdaje sobie sprawy, a — jak miałem sposobność przekonać się — wielu np. Niemców-muzyków, nie znających poza Czajkowskim niczego, co w Rosyi stworzono, wyobraża sobie egzotyzmy i coś niesłychanie nowego.

Wiemy, że już Glinka zawiązał bliższe stosunki z Berliozem i Lisztem, od których doczekał się pochwał. Następcy Glinki przejęli się jeszcze bardziej reformami Berlioza i Liszta, zwłaszcza na polu techniki orkiestrowej i związanej z nią idei programowości w muzyce. Rewolucyjne tendencye tych dwóch kompozytorów przypadły do gustu pierwszym nowatorom rosyjskim. Przyczyniło się do tego przybycie Liszta do Petersburga w r. 1842 i koncerty Berlioza w Petersburgu i Moskwie w r. 1847, później zaś poznanie dzieł Wagnera przez zachętę Liszta i Bülowa (który utrzymywał z elitą umysłową Rosyi stałe

stosunki), wreszcie własne koncerty Wagnera w r. 1862. Pierwsi nowatorzy rosyjscy posiadali bez wątpienia umysły wrażliwe, ale brak im było wiedzy i wykształcenia. Porównując nieokiełznaną, a przynajmniej wolną formę dzieł Berlioza i Liszta z dziełami klasyków, widzieli, że nietrudno im będzie z wady zrobić cnotę. Stąd chwycili się oburącz dzieł tych dwóch programistów, „nie wymagających“ sumiennego studyum nad polifonią i formą. Te dwa warunki zdawały się im być podrzędne, jeśli ktoś mógł rozporządzać talentem harmonicznym i instrumentacyjnym, rozmaitością rytmiczną i t. zw. poetyczną melodyką. Zerwali wszelki kontakt z klasyczną muzyką, podstawą wszelkiego wykształcenia muzycznego i pragnęli połączyć idee programowości z narodowym pierwiastkiem, mającym dać noworosyjskiej szkole indywidualny charakter. Mimo to nie gardzili i nie gardzą odległymi tematami, nawet egzotycznymi, pisząc opery i fantazye oraz symfonie oryentalne, serbskie, polskie, włoskie, a nadewszystko hiszpańskie, które rozpoczął Glinka, a które powstawały pod wpływem... francuskiej (Bizet, Lalo, Chabrier) oraz Liszta.

Ten zapał dla hiszpańskiego genre'u łączy rosyjską muzykę z francuską; jak nowsi Francuzi (Debussy, Ravel) nie przestali zajmować się nim, tak i Rosyanie. Ale szczególnie (z natury rzeczy) zajmują się Rosyanie oryentalistyką muzyczną: illustrują baśnie, a nawet epizody historyczne. To bowiem nadaje się bardzo dobrze do kierunku Liszta i Berlioza. Tylko różnica polega na tem, że o ile tych dwóch mistrzów zajmowały problemy psychologicznie pogłębione, niemal filozoficzne, Rosyanie (z wyjątkiem Czajkowskiego i jego bezpośrednich i pośrednich uczniów) wybierają „programy“ realistyczne. W takich razach kompozytor ma mało do powiedzenia o sobie samym (co leży w istocie muzyki, najsubjektywniejszej ze sztuk), lecz woli przemawiać w imieniu charakteryzowanych i illustrowanych osób. Ta jednostronność poglądu na istotę muzyki ma jednak tę dobrą stronę, że kompozytor uczy się plastyki muzycznej, kształtuje swą mowę muzyczną i doskonali środki, zdobywa możność celowego użycia orkiestrowych barw, harmonii i nadawania tematowi i motywowi wyrazu przez kształtowanie go w miarę potrzeby wyrażenia tej lub owej sytuacyi bądź zewnętrznej, bądź wewnętrznej. W poematach symfonicznych Czajkowskiego znajdujemy dzieje duszy bohatera, w poematach Rimskiego, Borodina, Głazunowa i tych wszystkich,

którzy należą do t. zw. „petersburskiej szkoły“ (zwłaszcza z przed r. 1880) śledzimy dzieje bohatera wogóle, dowiadujemy się więcej, co się z nim samym dzieje, mniej zaś, co się odbywa w jego duszy. Ten objektywizm muzyczny i realizm poetyczny należy już w samej Rosyi do epoki minionej, ale mówiąc o Rimskim niepodobna go zostawić na uboczu. W każdym razie musimy zaznaczyć z całym naciskiem, że do pogłębienia rosyjskiej muzyki, do zamiany poetycznego objektywizmu na subjektywną poezyę muzyki, do wyzwolenia muzyki rosyjskiej z ciasnych formuł jednostronnie interpretowanych tendencyi Liszta i Berlioza przyczynił się nietylko duchowy uczeń Schumanna, Piotr Czajkowski, ale i Chopin. Kto poznał ostatn ie dzieła „petersburskiej szkoły“ i „nowatorów“ (np. sonatę fortepianową Bałakirewa, twórcy młodorosyjskich haseł), kto poznał dzieła Liapunowa, Skrjabina, Gliera, Blumenfeldów, Szczerbaczewa, Medtnera i t. d., ten bez trudu i nie bez zadowolenia przekona się, czem dla Rosyi jest Chopin! Taka „aneksya“ może nam schlebiać. Nie bez racyi pisze Antoni Rubinstein: „Gdyby Rosya przy zdobyciu Polski niczego więcej nie zyskała ponad prawo uważania Chopina za swego, mogłaby być już dostatecznie dumną z tego“. My zaś jesteśmy świadkami aneksyi rosyjskiej muzyki przez naszego wieszcza. Na szczęście nie znajdzie się w rosyjskiej muzyce drugi Puriszkiewicz, zaprzeczający temu niezbitemu faktowi.

* * *

Mikołaj Andrzejewicz Rimskij-Korsakow urodził się 18 marca 1844 w Tychwinie (gub. nowgorodzka). Od r. 1856—62 był uczniem szkoły marynarskiej w Petersburgu, przyczem kształcił się w grze na fortepianie i wiolonczeli. Równocześnie przyjaźnił się z Bałakirewem, Borodinem, Kiujem i Mussorgskim. Żaden z tych kompozytorów nie był na tyle wykształconym, aby go mógł nauczyć teoryi kompozycyi. Najwięcej jeszcze umiał Milij Bałakirew, ale mimo to każdy z tych „nowatorów“ był autodydaktą. Bałakirew głosił wprawdzie „oryginalne“ (w nienajlepszem tego słowa znaczeniu) idee, mimo to jednak był szkodliwym, gdyż w gruncie rzeczy popierał dyletantyzm. W powyżej wspomnianym liście Czajkowskiego do pani Meck czytamy o nim następujące słowa: „Bałakirew jest najwybitniejszą osobistością z tego towarzystwa. Ale zamilknął (1877), nie zrobiwszy niemal nic przedtem. Ten

posiada nadzwyczajny talent, który z powodu różnych fatalnych okoliczności został zduszony“. „Mimo swych niezwykłych zdolności wiele złego zdziałał; on to właśnie był tym, który młode lata Korsakowa zmarnował, wmawiając weń, że nie potrzebuje się wcale uczyć. Wogóle jest on właściwym twórcą doktryn tego osobliwego towarzystwa, które składa się z wielu niedorozwiniętych, albo fałszywie rozwiniętych, albo z przedwcześnie zgubionych sił. Jakież smutne zjawisko! Tyle talentów, od których — z wyjątkiem Rimskiego-Korsakowa — trudno spodziewać się czegoś poważnego! I tak we wszystkiem wiedzie się Rosyi: potężne siły, którym jednakże coś w rodzaju „Plewny“ stoi w drodze, jakby fatum“.

Nareszcie „Plewnę“ zdobył Rimskij-Korsakow.

Wśród jakich okoliczności i kiedy, o tem czytaliśmy powyżej w liście Czajkowskiego, dającym pogląd na rozwój Rimskiego. Twórca „Szeherezady“ bynajmniej nie był z początku muzykiem z profesyi. Po skończeniu szkoły marynarskiej został oficerem floty, z którą w r. 1864—65 objechał świat, jako miczman. W tym czasie powstał jego op. 1, symfonia es-moll (później jako e-moll), rzecz nad wyraz słaba, ale mająca historyczne znaczenie, jako pierwsza rosyjska symfonia. Na kim zresztą miał się Rimskij wzorować? Klasyków odrzucał według „poruczenia“ swego muzycznego batiuszki, p. Bałakirewa. Symonie zaś Liszta i Berlioza nie były najwyższym wzorem dla symfonisty, gdyż nie dawały mu najwyższych i najlepszych wzorów formy, a zresztą wtedy Rimskij jeszcze nie wiele umiał. Zwolna przychodziła refleksya, a pierwszym jej owocem było porzucenie służby marynarskiej w r. 1873; dwa lata przedtem został Rimskij... profesorem instrumentacyi i „wolnej“ kompozycyi w konserwatoryum petersburskiem. Do r. 1883 zajmował dość egzotyczne stanowisko generalnego inspektora wszystkich orkiestr marynarskich w Rosyi. Od r. 1883—94 dyrygował zastępczo nadwornym chórem w Petersburgu, 1879—81 był dyrygentem i dyrektorem „wolnej szkoły muzycznej“, 1886—90 kapelmistrzem „roskich koncertów symfonicznych“ w Petersburgu, w r. 1898 w Moskwie. Przed kilku laty został dyrektorem konserwatoryum petersburskiego, lecz zpowodu przekonań politycznych ustąpił, odrzucając niejedno „zaszczytne“ stanowisko. Był nadzwyczajnie prawym charakterem, czego dowodem jest choćby to, że wbrew swej klice żył w przyjaźni z Czajkowskim. Posiadamy cha-

rakterystyczny list Czajkowskiego, w którym Rimskiemu proponuje dyrektorstwo konserwatoryum w Moskwie i dodaje: „Pański prosty i idealnie szlachetny charakter i Pańskie znakomite artystyczne i pedagogiczne zdolności są rękojmią, że Pan będziesz zdaniem mojem niezrównanym dyrektorem“. Rimskij odrzucił. A było to w r. 1885, gdy po przezwyciężeniu trudności artystycznych, po odbyciu na własną rękę wielkich i gruntownych studyów i wydoskonaleniu się w technice kompozytorskiej, wreszcie po uwolnieniu się z opresyi dyletancko-radykalnych doktryn kliki Bałakirewa, Kiuja et cons., stał się mistrzem, a przynajmniej dojrzałym twórcą, rozporządzającym wielką techniką kontrapunktyczną, niezrównanym kolorytem orkiestrowym i wrodzonym zmysłem do niezwykłych harmonii. Jednego tylko — zdaniem mojem — nie mógł Rimskij należycie zgruntować: tego, co zazwyczaj brakuje słowiańskim i w znacznej części romańskim kompozytorom, czego nie można zastąpić fantazyą ani piramidalnymi efektami, — t. j. logiki konstrukcyi w t. zw. wolnych formach. To dane było tylko największym mistrzom słowiańskim: Chopinowi, Czajkowskiemu, Dvořakowi, Smetanie, Fibichowi, — z młodszych kompozytorów polskich Fitelbergowi i Karłowiczowi, z młodszych rosyjskich Sergiuszowi Taniejewowi, A. Areńskiemu, P. Juanowi, S. Liapunowowi, R. Glierowi. Powód jest ten, że Rimskij zbyt długo tkwił w konwenansach wiadomej kliki, a zbyt późno poznał gruntownie formę. Mimo to i pod tym względem wyżej stoi, niż wszyscy „nowatorowie“, niż nawet Borodin. Żaden też z kompozytorów żyjących nie przerabiał tyle razy swych młodzieńczych dzieł, ile Rimskij. Że ogromny talent Rimskiego pozwala mu często uzupełnić instynktem to, co inni przez żmudne studya zyskują, rozumie się samo przez się.

Głównem polem twórczości Rimskiego są opery i utwory symfoniczne. Zaznaczam, iż mnogość dzieł Rimskiego nie pozwala na to, aby je poznać dokładnie w całości. Sąd swój opieram na tych utworach, które znam lub które słyszałem, a więc na operach: „Sadko“ (1897), „Mozart i Salieri“ (1898), — na dziełach symfonicznych: „Antar“ (symfonia, op. 9), „Sadko“ (poemat symf., op. 5), „Hiszpańskie capriccio“ (op. 34), „Szeherezada“ (suita op. 35), „Car Saltan“ (suita), „Fantazya na tematy ruskie“ (op. 33), — na koncercie fortepianowym (op. 30, cis

moll), i kilku pieśniach, oraz chórach wykonywanych przez chór Sławiańskiego, rozpowszechniający wokalną muzykę rosyjską w swych corocznych podróżach po Europie. [1])

Powszechnie utrzymuje się zdanie, że Rimskij stworzył ludową rosyjską operę. Nic fałszywszego! Istniała ona już przed nim, a najbardziej typowym (o wiele typowszym, niż Rimskij) jej przedstawicielem był M. Mussorgski, jako dramaturg silniejszy, niż Glinka i Rimskij, bardziej szorstki, nieraz ordynarny, ale też i bardziej bezpośredni, przedewszystkiem jako stylista, bardziej jednolity, niż wszyscy jego poprzednicy i następcy. Nie umiejąc zbyt wiele, nie mógł stworzyć wielkich dzieł; jedno tylko pozostanie niezaprzeczoną jego zasługą: stworzenie melodyjnego recytatywu, mającego zastąpić wszelkie zamknięte i ścisłe formy operowe. Do tego samego doszedł w ostatnich dniach francuski kompozytor Claude Debussy, potępiający — podobnie jak „nowatorowie“ (prócz Rimskiego) — wszelką „rutynę“. Dodać musimy, że Mussorgski nie używał „leitmotywów“, lecz i bez tego zdołał osięgnąć „wyraz dramatyczny„ i znaleźć skuteczne środki muzyczne dla wyczerpania sytuacyi dramatycznej. Czerpał też tematy z ludowej rosyjskiej muzyki i z rosyjskiego życia, dochodząc do realistycznych efektów. Otóż Rimskij uszlachetnił ludową operę, odjął jej szorstki realizm i wlał w nią poetyczny pierwiastek, wygładził formę muzyczną i dodał jej wiele wdzięku przez efektowne zastosowanie faktury instrumentacyjnej i harmonicznej. Dał Rosyi przedewszystkiem baśń muzyczną, wyprzedzając Humperdincka i w tem, że posługiwał się melodyami ludowemi, zręcznie je przekształcając. Brakuje jednak Rimskiemu poglądu na stosunek szczegółów do całości. Cyzeluje szczegóły dramatyczne, opracowuje scenę za sceną, nieraz zdumiewająco subtelnie, lecz niestety niema u niego wielkiego stylu dramatycznego, ani symfonicznego.

---

[1]) Rimskij napisał ogółem 13—14 oper (prócz dwóch wymienionych zasługują na wzmiankę: „Śnieżyczka“, „Mlada“, „Narzeczona cara“, „Baśń o carze Sałtanie“ i „Wojewoda“ [grany w Warszawie]), 3 symfonie, symfonietta, 2 uwertury, „Serbską fantazyę“, „Baśń“, sekstet, kwartet, kilka kompozycyi fortepianowych, kantaty na chóry żeńskie, męskie i mięszane z tow. lub bez tow. orkiestry, około 100 pieśni, wydał 150 pieśni ludowych rosyjskich i podręcznik do nauki harmonii (niezbyt zresztą znakomity — zdaniem Czajkowskiego), wreszcie opracowywał i instrumentował kilka niedokończonych dzieł innych kompozytorów rosyjskich.

Wogóle nie widzę u Rimskiego jednolitości indywidualnej, stylowej. Nie można sobie wyobrazić większych przeciwieństw, jak w dwóch wymienionych operach: „Sadko“ i „Mozart i Salieri“. Rimskij umiał przyswoić sobie różne style i władać niemi szczęśliwie, lecz własnego stylu nie stworzył. Powód leży w tem, że Rimskij nie widzi w muzyce innego żądania, prócz illustrowania i opisowości. Ile oper napisał, tyle stylów „dramatycznych“ użył. „Sadko“ jest idealnym typem opery ludowej, „Mozart i Salieri“ wolną interpretacyą idei Wagnera z jednej, a Mussorgskiego z drugiej strony; w daleko większym stopniu wagnerowska technika dramatyczno-muzyczna („motywy przewodnie“, przekształcanie tematów i t. d.) znajduje zastosowanie w „Baśni o carze Sałtanie“. Inne opery należą do mało uprawianych „wielkich oper“ lub „operowych baletów“. Te ostatnie lepiej się udawały Rimskiemu („Mlada“!), jednak daleko im do baletowego genre'u Czajkowskiego. Mimo to niektóre baletowe reformy Rimskiego wyprzedziły znacznie te, które na Zachodzie uważano za oryginalne pomysły. Żałować należy, że Rimskij nie rozwinął na tem polu tak obfitej działalności, jak Czajkowski, zwłaszcza, że rozporządza wielką zdolnością muzycznej charakterystyki. Najbardziej interesujące w operach Rimskiego są te partye, które mają muzyczną interpretacyę pierwiastka poetycznego, albo raczej powiedzmy: nastrojowego, fantastycznego, nawet malarskiego. Na ogół opery i wszystko, co Rimskij-Korsakow tworzy, nie dowodzą silnej inwencyi. Stąd podobie, jak u nas Noskowski, posługuje się Rimskij motywami zaczerpniętymi z melodyi ludowych. Dzięki zaś zdolnościom do waryacyi i do przedziwnego nieraz opracowywania motywów umie Rimskij z najniepozorniejszego motywu wysnuć tematy przedziwnej piękności. Tworzy zaś te tematy z ludowej muzyki nie dlatego, aby akcentować ludowo-narodowy pierwiastek, lecz z tego powodu, że nie mając własnej silnej i oryginalnej inwencyi, sięga do źródeł sobie najbliższych. Umie każdemu w ten sposób otrzymanemu tematowi nadać wyraz odpowiadający danej sytuacyi dramatycznej, a zarazem dać mu taki wygląd, że nie robi wrażenia sztuczności. Pod tym względem Rimskij jest wzorem. Niema u niego tendencyi folklorystycznych, niema specyalnie ludowego tonu, a jednak każdy takt jego kompozycyi jest typowo rosyjskim wytworem.

To samo dotyczy utworów symfonicznych. Wobec tego, żeśmy szczegółowo określili tendencye młodorosyjskiej szkoły, której Rimskij jest wybitnym przedstawicielem, nie wymagają one zbyt wielu słów. Z trzech symfonii najlepszą jest druga p. t. „Antar“. Jest w niej wiele pierwiastków oryentalnych, lecz mimo to kompozytor trzyma się zdala od lokalnej etnografii. We wszystkich częściach pojawia się jeden i tensam motyw „przewodni“, co wskazuje na wyraźny wpływ „Fantastycznej“ Berlioza. Tegosamego wzoru i poetycznego pokroju jest również oryentalna baśń „Szeherezada“, jeden z najpopularniejszych utworów Rimskiego, będący w swej formie suitą. Oczywiście bez gruntownej znajomości programu trudno jest zrozumieć te dwa utwory, a zwłaszcza „Szeherezadę“; zaledwie pojedyncze ustępy są zrozumiałe także, jako muzyka absolutna. Niemniej jednakże pod względem przeprowadzenia charakterystyki „bohaterów“ i pod względem instrumentacyjnym są obydwa dzieła Rimskiego niepospolite. Oczywiście kto zna dzieła takich mistrzów instrumentacyi, jak Strauss, Debussy, Delius i t. d., dla tego nie będą one czemś niezwykłem. Mimo tych zalet żadne z dzieł symfonicznych Rimskiego nie dorównuje „Francesce da Rimini“ lub „Patetycznej“ Czajkowskiego, choć nie można pominąć i tej uwagi, że na ogół Rimskij był bardziej wybrednym w estetycznym wyglądzie swych tematów, niż tworzący bezwzględnie szczerze i spontanicznie Piotr Iliicz Czajkowski. Jeszcze jedno porównanie z Czajkowskim posiada znaczenie: mianowicie także w charakterystyce obcych idyomów Czajkowski nie ustępował Rimskiemu. Porównując „Włoskie Capriccio“ (op. 45 na orkiestrę) i „Souvenir de Florence“ (op. 70, sekstet sm.) Czajkowskiego z „Hiszpańskiem Capriccio“ (op. 34 na ork.) Rimskiego, spostrzeżemy, że Czajkowski jest bardziej włoskim, niż Rimskij hiszpańskim. Mimo to w instrumentacyi Rimskij stoi wyżej (jeśli chodzi o efekty barwne) od swego genialnego rywala, czego ten ostatni bynajmniej mu nie odmawiał, nazywając „Hiszpańskie Capriccio“: „arcydziełem instrumentacyi“. I Rimskiego i Chabriera („Espagne“) przewyższyli w illustrowaniu lokalnego kolorytu hiszpańskiego Debussy i Ravel — i Biget. Mimo tych instrumentacyjnych zalet musimy skonstatować, że przewaga ich nie daje dziełom Rimskiego tej wspaniałej artystycznej formy, miary, harmonii i równowagi, jakie są prawdziwie niebiańskim darem

Czajkowskiego. Przytem wszystkiem jeszcze zawsze u Rimskiego ma przewagę natura cyzelerska, skłonność do t. zw. „kleinarbeit“. Toteż angielska krytyczka muzyczna, p. Rosa Newmarch, czyni bardzo słuszną zdaniem mojem uwagę:

„With a nature to which the objective world makes so strong an appeal, impassioned self-revelation is not a primary and urgent necessity. In this respect he is the antithesis of Tchaikovsky. The characteristic vein of realism found in all Roussian composers, and most strongly marked in Moussorgsky, exist also in Korsakov; but in his case it is controlled by an almost fastidious taste, and a love of beautiful details which sometimes stifle the fundamental idea of his work“. „This want of balance between the essential and accessory is quite a characteristic of his music. Some of his songs and their accompaniments remind me of those sixteenth century portraits in which some slim, colourless, but distinguished, Infanta is gowned in a robe of brocade rich enough to stand by itself, without the negative aid of the wearer“. Tesame cechy spotkamy w dziełach uczniów Rimskiego (Głazunow, Arenskij, Ljadow, Wihtoł i t. d.) Odrębność dążeń Czajkowskiego i Rimskiego widzimy w znakomitych koncertach fortepiano wych tychże: Czajkowski zachowuje trzy- względnie czteroczęściowy podział, Rimskij na wzór Liszta redukuje je do jednej dłuższej, wewnętrznie tylko podzielonej całości. I pod tym względem jest Rimskij reformatorem rosyjskiej muzyki, jakkolwiek naśladowców nie znalazł. Koncert cis-moll jest bardzo wartościowy, jakkolwiek brak mu silnych kontrastów, niezbędnych w tego rodzaju utworze. W pieśniach epoki nie stworzył, jakkolwiek i tu należy zaznaczyć, że niejeden szczegół uznany za oryginalną reformę Hugona Wolfa, słynnego pieśniarza niemieckiego, znajdziemy u Rimskiego (może to wpływ pieśni Liszta i muzyki Wagnera?).

W Polsce bardzo mało zajmowano się Rimskim — zupełnie niesłusznie go zaniedbując na rzecz Czajkowskiego. Z polskich muzyków uczniem Rimskiego jest młody, uzdolniony kompozytor Adolf Gużewski i prawdopodobnie pod wpływem Rimskiego obrał za temat swej opery baśń („Królowa śniegu“, według Andersena).

Adolf Chybiński.

ŚMIERĆ DUBROWNIKA.

W stuletnią rocznicę upadku Rzeczypospolitej Dubrownickiej.
(Ivo conte Vojnović: *„Dubrovačka Trilogija“).*

Straszny, z woli niezbadanych sił przyrody, rok 1667, i nie mniej straszny, wskutek srogiego wyroku losu, rok 1806—to dwa epokowe w dziejach Dubrownika momenty, co zmieniły nie do poznania zewnętrzny wygląd, jak i treść wewnętrzną epidaurowego grodu [1]). Oba też odezwały się w poezyi rodzimej głośnem echem.

Straszne zniszczenie Dubrownika z powodu trzęsienia ziemi 1667 r. opiewało wielu współczesnych pisarzy. a przedewszystkiem Niko Bunić, poseł dubrownicki na dworze Kara-Mustafy, okrutną śmiercią ukarany za swój patryotyzm i poświęcenie. Choć bez wybitniejszych zalet, znalazła pieśń jego, „Grad Dubrownik vlastelom u trešnji [2]), wielką popularność; była pociechą i ukojeniem dla nieszczęśliwych bezdomnych, co już myśleli o szukaniu nowej ojczyzny na sąsiednich wyspach Dalmacyi. Za nim poszli i inni śpiewacy, a odezwał się i głos z ludu, „pučanina“ Bartola Bettery, w wolnych od kupiectwa chwilach poświęcającego swe niewymowne natchnienia domowej pieśni [3]). Ruiny zburzonego grodu znalazły też piewcę w autorze większego dzieła Jakecie Palmotiću, mianowicie w wielkim, choć niezùpełnym poemacie p. t. „Dubrovnik ponovljen“, gdzie obraz zniszczenia republiki, tylko epizodycznie wtrącony (p. XIII.), męsza się z tłem historyczno-politycznem, stosunkami z Turcyą, Bośną, Serbią, jak i nie mniej z wewnętrznem, ekonomicznem położeniem Raguzy [4]).

Wreszcie najlepszą — jak twierdzi jeden z najstarszych bibliografów chorwackich, Appendini [5]),—elegię na zniszczenie Du-

---

[1]) Porównaj artykuł tegoż autora: „Dubrownik w poezyi i historyi“ w zeszycie z kwietnia 1908.

[2]) Drukowane współcześnie i następnie przedrukowane w „Danicy illirskiej“ Gaja w r. 1841 br. 14.

[3]) Tytuł pieśni brzmi: Pjesan o trešnji Dubrovnika, wydane w Jakinie w r. 1667.

[4]) Autor poematu, krewniak starego Palmoty, twórcy Pavlimira, stracił całą rodzinę podczas katastrofy dubrownickiej, sam szczęśliwie uszedł zagładzie, gdyż posłował do Turcyi. Poemat jego ukazał się w Dubrowniku, u Pretnera, w „narodowej bibliotece“; wydanie z objaśnieniami Stj. Skurli 1878. Str. 478.

[5]) Frano Marija Appendini, autor cennych bardzo, najstarszych bibliografii i dzieł o języku chorwackim, jak Fasti literario-

brownika wyśpiewał Korczulanin, Petar Kanavelović, wychowany prawdopodobnie pod wpływami dubrownickimi, autor wielu bardzo ciekawych dla owych czasów poezyi lirycznych i poematów historycznych, ważny i dla nas, Polaków, przez cykl pieśni o walce z Turkami, pełnych uwielbienia dla jej bohatera, króla Jana Sobieskiego [1]).

Cicha elegia starych pisarzy dubrownickich (XVII w.) wypływała jednak raczej z żalu za utraconem bogactwem i przepychem; to była skarga wzbogaconych kupców - patrycyuszów, dla których pojęcie narodowo-politycznej wolności jednoczyło się z pojęciem swobody handlu i gromadzenia skarbów, stawiających ich, w epoce najwyższej świetności Dubrownika, na równi z licznym patrycyatem Wenecyi. To była skarga nieuświadomionego zmateryalizowanego niejako patryotyzmu, który pod blaskami zewnętrznej świetności nie zawsze umiał szukać mocy ducha. Tu i ówdzie tylko padają jakieś silniejsze tony, w głąb duszy idące.

W tem właśnie tkwi różnica pomiędzy poezyą klęski żywiołowej roku 1667, a Vojnovića krwawą wizyą roku 1806.

Moment ostatecznego rozsypania się w gruzy złotej kolumny wolności Dubrownika uchwycił Vojnović w swej trylogii, a dokonał tego w sposób oryginalny. W stosunkowo bogatej literaturze obrazów upadku różnych społeczeństw, trylogia Vojnovića dałaby się porównać jedynie z głośną w swoim czasie pieśnią belgijskiego poety, Rodenbacha, który w swojej „Bruges-la morte“ opiewa dzieje śmierci flamandzkiego grodu, — albo też z jednem z najnowszych dzieł literatury naszej, o wybitnej wartości: z Ignacego Grabowskiego dramatem „Król Stanisław August“, z którym, dziwnym zbiegiem okoliczności, nie jeden ma rys wspólny [2]).

---

ragusini (Wenecya 1764), De illyricae linguae vetustate et amplitudine (tamże 1754), Notizie istorico-critiche sulle antichità, storia e letteratura dè Ragusei (2 vol.) Ragusa 1802—3.

[1]) Elegia nosi tytuł: Pjesan vrhu trešnje Dubrovnika (druk. w Jakinie, wraz z utworem Bunića w r. 1667). Cykl pieśni p. n. „Ivan Sobijeski, kralj poljski i osvoboditelj Beča“ (Dubronik 1850).

[2]) W samej literaturze chorwackiej jest kilka utworów tego rodzaju, lecz o bardzo przeciętnej wartości. Najlepszym jeszcze jest wielki obraz pierwszorzędnego dramaturga chorwackiego, Tresića-Pavičića, tetralogia p. n. „Finis Reipublicae“, w której autor, pełen klasycznego

Trylogię poprzedza Vojnović rodzajem preludyum o dziwnie smętnym nastroju, a tchnącem gorącą miłością i przywiązaniem do ojczystego grodu. Mimo bolesnej świadomości błędów i grzechów jego, poeta występuje tu, jako najwdzięczniejszy syn,—tem wdzięczniejszy, tem droższy, że nieszczęśliwy, że ostatni, że patrzeć zmuszony na śmierć ojczyzny, a nie widział złotych chwil jej szczęścia i rozkwitu;—tem wdzięczniejszy, że na zawsze smutny, w przeszłość zapatrzony,—postumus wolnej republiki. Słowa bolesnej skargi ciska w tajemnicze odmęty morza, co wiecznie miasto rodzinne poety pieśnią swą czarują i od wieku nieszczęsne mu niosą na swych falach losy:

Kad te ja gledam, kako skromno ližeš
Raspetom Gradu prebijene grudi,
Bojnu pak pjenu kako s usta dižeš,
Pučino bludna, da te b'jeg ne stidi,
Onda se sjećam, Mandaljeno, tebe,
Svete kad noge ničice si prala,
Topeć ih suzam, e da spasiš sebe.
Mir bje tad s tobom, jer je pred Njim spála
Oluja strasti, s kē si čast otara.
Al gr'ješnica vječna, što je Valom zovu,
I sada hini, lažīvica stara!
Čuj!... dok na hridi njezin cjelov pljuska,
Zeleni ponor buči pr'jetnju novu!...
. . . .
Vrh Grada mjesec pluta kano ljuska [1]).

W „Trylogii dubrownickiej“ przedstawione są trzy etapy, przez jakie przechodził arystokratyzm Dubrownika w przeszłym, XIX wieku. Pierwsza część trylogii nosi imię i motto francuskiej rewolucyi: „Allons enfants“!... i jest obrazem wewnętrznego stanu Dubrownika i zachowania się patrycyatu

patosu i koturnowości, kreśli moment upadku starej republiki rzymskiej. W najnowszym historycznym dramacie p. t. „Ciceronovo progonstvo“, w szczęśliwy dla utworu sposób wyzbył się autor patetycznego tonu zamieniając dotychczasowy wiersz na pełną realizmu prozę. Toteż dzieło znalazło uznanie nawet poza Chorwacyą i obecnie ma się ukazać w Medyolanie w przekładzie włoskim, z przedmową głośnego historyka włoskiego, G. Ferrero.

[1]) Poprawny przekład niniejszego sonetu znajdzie ciekawy czytelnik przy tłumaczeniu I. części trylogii Pny Heleny d' Abancourt de Franqueville w *Przeglądzie polskim* (R. 1907).

w chwili, kiedy żołnierze generała Lauristona weszli do miasta i tem zadali śmiertelny cios Raguzie, t. j. dnia 27. maja 1806 r. Druga część, nazwana Zmierzchem, („Suton") przedstawia drugi etap upadania Dubrownika, w 26 lat po francuskiej okupacyi, a więc w r. 1832. Część trzecia p. n. Na tarasie („Na taraci") — to piękny, jesienny dzień roku 1900, kiedy Dubrownik, nowoczesny „kurort" austryacki, roi się od tłumów cudzoziemców, a stary „gospar Lukša" po raz pierwszy słyszy z ust swego nieprawego syna, wieśniaka konawelskiego[1]) zdumiewające go, śmiałe poglądy demokratyczne nowego wieku.

Cały dramat pisany dyalektem dubrownickim ze wszystkiemi jego charakterystycznemi właściwościami, w części samodzielnie i niezawiśle powstałemi, w części zapożyczonemi z włoszczyzny.

Tłem dekoracyjnem części I-szej „Allons enfants" jest starożytna sala dubrownickiego patrycyusza, Orsata Wielkiego.

„Gorące, majowe słońce wpada przez okno, a z jego promieniami drży w powietrzu i ćwierkot czarnych jaskółek. Z za okien słychać to zgiełk ludu, to gruchanie gołębi w otworach gzymsów starego pałacu, to gwar rozmów, śmiechów, krzyku, co przytłumionem, głuchem echem szeleszczy za zamkniętemi, wielkiemi, białemi drzwiami".

Tam — za niemi, odbywa się teraz ciężka walka patrycyatu wolnej republiki. Orsat pozwał całą szlachtę do siebie, aby nakłonić ją do wytrwania w wolności, aby powstrzymać tę upadającą w upadku, aby zaświecić po raz ostatni przejasnym blaskiem wolności przed oczyma tych, co się już w mrok niewoli zasnuwali.

Dochodzą zewsząd wiadomości, że Francuzi już idą. Wreszcie wiadomość wpada do ponurych sal Orsata, w których odbywają się narady; — spada tu nagle, — przynosi ją w zwyczajnych, prostych słowach służba, nie rozumiejąca nawet dobrze sytuacyi. Proste słowa prostego wieśniaka, rzucone gwałtownie, niespodzianie, urywanie, bez efektów scenicznych, wśród ogólnego milczenia, wywołują potężne wrażenie. Coś podobnego spotykamy i u nas, w „Warszawiance" St. Wyspiańskiego, gdzie również prosty żołnierz staje się punktem kulminacyjnym napięcia całego obrazu dramatycznego, przynosząc wiadomość z pola walki.

---

[1]) Konavlje, wieś niedaleko Dubrownika, miejsce letniego pobytu patrycyuszów dubrownickich, słynne z niezwykle urodziwych wieśniaków, wedle powszechnej tradycyi nieprawych potomków szlachty raguzańskiej, która, po upadku republiki żyjąc w bezżeństwie, wchodziła w nielegalne związki z pięknemi konawljankami. Stąd też do dziś u tamtejszego ludu niezwykła duma, wyniosłość i wyższość kulturalna.

Francuzi tedy już w drodze do Dubrownika, a senat burzliwe jeszcze toczy obrady. Większość jest za Francyą, a jedyny Orsat walczy przeciw większości. Siedzi nieprzytomny, bez ruchu, zacisnąwszy oczy i pięści, „jak gdyby go kłuli nożami pod żebra". Lecz gdy się dźwignie tylko i przemówi, w jednej chwili wyrasta ponad wszystkich. Wolałby, by razem pomarli, aniżeli pochylić głowy pod cudze jarzmo. Umarliby przynajmniej w zgodzie i w swobodzie! — On czuje, że tu zginie na zawsze i wolność i wielkość rzeczypospolitej, zginą dawne tradycye, zginie różnica między szlachetną krwią gosparów, a prostą krwią ludu. Dlatego pada na kolana przed kniaziem [1]) ku wielkiemu oburzeniu innych, dumnych vlasteli i błaga go, by ratował republikę i wolność i nie wpuszczał obcych do miasta. A jeśli już Dubrownik musi ugiąć kolana, — toć nie musi wolność dubrownicka. Jest jeszcze jedno wyjście! Niech wsiądą na okręty, niech podniosą swój sztandar i barjak sv. Vlaha [2]) i odpłyną szukać, jak ich ojcowie niegdyś, pustej skały, gdzieby skryli swą wolność.

Cudowna i przesmutna jakaś poezya leży w tym rozpaczliwym planie Orsata, jak i w całej tej scenie. Orsat, porwany szałem swej wymowy i bolem szarpany, widzi tę okropną chwilę przed oczyma, widzi długi sznur okrętów, emigrujących rodaków, — pragnie ich porwać obrazem i rzuca te przepiękne, te przesmutne słowa:

Gołębie i obłoki będą was pytały: ktoście, kogo szukacie? A żagle im odpowiedzą: Dubrownik płynie! Dubrownik szuka znowu pustej skały, gdzieby skrył swą swobodę... Pokażcie nam ją gołębie! pokażcie nam obłoki! Prowadźcie nas do szczęśliwej, greckiej ziemi, do ziemi bogów..."

Napróżno Orsat błaga, zaklina, wyzywa z ich serc odwagę i dumę i siłę poświęcenia, napróżno wreszcie urąga ich tchórzostwu i zniewieściałości.

Jednych opanowała bezgraniczna trwoga i płacz niemal dziecinny, drugich zaślepiła sława i urok imienia Napoleona, innych znowu ogarnęła rozpacz i melancholijna rezygnacya, innych wreszcie uniosły marzycielskie nadzieje i wiara w Ale-

---

[1]) Patrycyusze dubrowniccy wybierali co miesiąc z pomiędzy siebie jednego, zwanego knezem. Była to godność bez władzy, a tak krępująca, też kniaź taki n. p. nie śmiał wychodzić przez cały miesiąc ze swego pałacu.

[2]) Sztandar św. Błażeja, który jest patronem Dubrownika i wolności dubrownickiej.

ksandra rosyjskiego, — nie znalazł się jednak ni jeden, któryby jak Orsat, jak w święty, zaklęty obraz, wpatrzył się całą siłą ducha w potężne widmo wolności i przy niem tylko stać pragnął. Rozgorączkowani, drżący, z wypiekami na twarzy i pianą na ustach, rzucali się na siebie gospari, jakby w śmiertelnych podrzutach, — złamani, zrozpaczeni, nieświadomi drogi swej, ni celu, ni środków. Niedołężny, zdziecinniały kniaź, nie umiał silną ręką uchwycić rozlatujących się wiązadeł potarganej sieci, nie umiał zapanować nad wytrąconymi z równowagi umysłami, słowy swemi i postępowaniem pogorszając jeszcze sytuacyę.

Niespodziewane zjawienie się Francuzów w mieście kładzie koniec męczącemu szamotaniu: panowie idą przyjąć przybyszów. Zostaje sam tylko Orsat ze swym strasznym bolem w piersi. — Oto, jak opisuje sam poeta nastrój tej chwili:

„Sala na wpół ciemna zostaje pusta i głucha, straszna swą ciszą krzyczącą, straszniejsza jeszcze swemi poroztwieranemi drzwiami, za któremi znikli wszyscy, którzy tu przed chwilą byli, za któremi dzieją się jakieś okropne, nieznane rzeczy; z za których dochodzą tylko niezrozumiałe echa okrzyków i gwaru ulicznego; — one same jednak nieporuszone stoją, straszne swą niemą, roztwartą czarną paszczą, wiejącą niepokojem i zagadkową niepewnością... Przez chwilę słychać jeszcze ciężkie, bezwładne kroki Orsata, bolesny jęk jego: „Ajmeh meni! majko moja!“... chrzęst fotelu, na który padł nieprzytomny i — wszystko milknie, wszystko głuchnie w ciszy, której akompaniuje tylko bolesny, ciężki, szarpiący piersi oddech Orsata...“

Temi ostatniemi słowami Orsata ugodził Vojnović w sam szczyt prawdziwej dramatycznej sztuki. „Są to słowa tak szczere, tak proste, a wielkie, jak proste i wielkie są one słowa: „Stabat mater“ w jednej ze starych chrześcijańskich modlitw. Temi słowy jęknie w Dubrowniku każde dziecko, gdy je kto uderzy kamieniem w głowę“... tak komentuje ten ważny moment sceniczny Dr. Lisičar.

Wtem — dreszcz przechodzi po ciele widza... w ciemnych, roztwartych drzwiach, jak śmierć biała, ukazuje się nagle — narzeczona Orsata, Desza Palmotićewna.

Przyszła, by po raz ostatni pozdrowić słońce (wolność), które krwawem, czerwonem światłem ginie na zachodzie... Blada jest i bez ruchu, jak alabastrowa rzeźba, gdyż widziała... śmierć. Wśród uścisku patrzą oboje za ostatnim promieniem słońca, co już tonie, a gdy się jutro znów w górę dźwignie, — nie pozna już Dubrownika, ni jego dzieci...

Dreszcz znowu przechodzi widza... „Allons enfants de la patrie!“ — dają się słyszeć wśród tej zaklętej ciszy porywające, a w tej chwili tak przerażające słowa pieśni. Orsat słyszał tę pieśń w Paryżu, kiedy pod gilotyną padała głowa króla Ludwika, jak i w tej chwili pada głowa niepodległości Dubrownika.

— — — — — — — — — — — — — — —

Orsat i Desza składają ślub: Wyznali sobie miłość, mogliby teraz wstąpić w nowy, jasny, szczęśliwy świat miłości. Lecz Desza nie chce... Nie chce rodzić dzieci, któreby musiały być niewolnikami. Wielkie uczucie miłości pali w płomieniach nieugaszonej miłości swobody.

Ta idea, która rzeczywiście opanowała resztki starych dubrownickich patrycyuszów, a która nie kazała im się żenić tylko dlatego, by ich potomkowie nie musieli żyć w poddaństwie, jest jedną z najbardziej imponujących idei, jakie nowy wiek widział. Vojnović pierwszy wniósł ją na scenę, a w tej formie i do literatury.

„Pieśń rewolucyi drży jeszcze natchniona — brzmią uwagi poety w utworze — tryumfalna wśród zmroku. Całe wojsko ją śpiewa. — Wszystkie gołębie i jaskółki pobudziły się i latają przestraszone ponad miastem. Tych dwoje nieszczęśliwych obejmowało się ramionami coraz silniej i bezwiedniej, — jakby ich przecudowny dźwięk oczarował i ubezwładnił; podnieśli się oboje i pozostali tak w uściśnieniu, jak jedna kamienna rzeźba. Gorące łzy sączyły się powoli, bezwiednie po licu Deszy. Pieśń ginie coraz pomalej, jak gdyby wojsko skręcało w inną ulicę. Orsat oczarowany sławną pieśnią, opuściwszy na piersi zbolałą głowę, szepce: Oh!... jaka ona piękna!“

Cisza zapada wśród wieczornego mroku. Echa niezwykłego wypadku giną gdzieś w oddali... Wolność umarła niepowrotnie — cicho, bez walki, — a tymczasem życie powszednie wraca do dawnego trybu, — pod oknami opustoszałego dworu rozlega się, jak zwykle, głos wieśniaczki: „Mlijeka! żene!...“

— — — — — — — — — — — — — — —

Scen takich, prześlicznych w kompozycyi i obrazowości, działających wrażeniem, potężnych symbolizmem i allegoryami, wstrząsających tragiką jest wiele w tej części trylogii. Jedne za drugiemi płyną prosto z serca poety, gorące, świeże, potężne.

Tło, dekoracya, postacie drugorzędne, cały nastrój i ton tego obrazu — trzymane są w jak największej harmonii, przedstawione z jak największą wiernością i prawdą zarówno histo-

ryczną, jak i psychiczną. Zwłaszcza charaktery postaci, typy oryginalne i Dubrownikowi tylko właściwe, skreślić umiał Vojnović z całą siłą, prawdziwością i życiem.

Główną postacią, około której dramat cały się obraca, jest Orsąt Wielki. Jest to skończony typ dubrownickiego, dumnego vlastelina, jeden z tych, którzy stanowili w swoim czasie właściwą rzeczpospolitą, a z których dziś już tylko niedobitki pozostały. Tensam to typ, żywy, naturalny, prawdziwy, owiany tylko aureolą romantyzmu i bohaterstwa, szlachetności i bezgranicznej miłości ojczyzny. Prawda! — jest nieco odmienny od swoich ojców, a i współczesnych sobie: obok wszystkich złych, zepsutych stron zgniłego i przeżytego konserwatyzmu i arystokratycznej kastowości, nadał mu autor już i pewne inne rysy, — rysy, które przyniósł ze sobą wiek nowy, wiek XIX. Oto dodał mu nieco światła, padającego ze słońca nowych idei, które uczyniły go, jako bohatera, jaśniejszym i wypuklejszym, nadały więcej siły i wartości. Moc i kierunek tych nowych idei pozwoliły na to, że ten reprezentant starego, arystokratycznego rodu i jego przestarzałych pojęć, odważył się na paktowanie z przedstawicielem partyi ludowej — z jakobinem i framasonem — jak go nazywa stara ciotka bohatera, Ane. Ta siła idei sprawiła, że się odważył Orsat na ten czyn, tajemny jeszcze, ale stanowczy, mimo obawy przed wyrzutami, oburzeniem całego senatu i gniewem starej matrony dubrownickiej, Ane Menze-Bobali.

Ten stanowczy, dyktatorski, na własną rękę uczyniony krok, choćby nie zbawił Dubrownika (ze względu na potęgę Napoleona), przynajmniej byłby poprowadził do chlubnej śmierci na polu walki, z orężem w ręku. Niestety zapóźno! — Francuzi już byli w mieście...

Rzucenie tych nowych świateł na ciemne rysy dubrownickiego pana podniosło go o całe niebo wyżej od jego rodaków, uszlachetniło go. „Przeciw wolteryanizmowi szlachty — charakteryzuje go Lisičar — występuje Orsat z chateaubriandowskim spirytualizmem, przeciw jej tchórzliwości powstaje z byronowską odwagą, ich klasowemu egoizmowi przeciwstawia miłość ojczyzny. Orsat chciałby pogodzić w Dubrowniku przeszłość z nowemi ideami i sam osiągnąć w nim to, do czego dążyła rewolucya francuska, — a zarazem i zbawić rzeczpospolitę. To jest bohater, który pada z powodu słabości środków, których

pragnie użyć do urzeczywistnienia zamiarów, tudzież z powodu spóźnionej pory do przeprowadzenia ich. Jego słowa są wielkie, a jego piętnowanie patrycyatu posiada siłę sofoklesowego chóruw „E l e k t r z e“, kiedy się rzuca (Klitemnestrę“.

Orsat ma wszelkie rysy i cechy bohatera dramatów i tragedyi z epoki romantyzmu. Szlachetność i duma, poświęcenie bez granic i zapał serdeczny, nieco patosu i monologowania, — to wszystko jest w nim. Ponad wszystkiem zaś unosi się jakaś dziwna, czarująca woń idealizmu i poetyczności, otacza go jakiś niezwykły, nadziemski blask wyższości i czarowna mgła tragizmu.

Ta niezwykła, natchniona, a przesmutna poezya łuną czarowną bije z całego szeregu scen, a zwłaszcza z tych potężnych chwil widzeń i uniesień Orsata, kiedy np. kreśli obraz zbliżających się wojsk francuskich, lub opuszczających Dubrownik okrętów patrycyatu, lub zwłaszcza ostatnia scena z Deszą przy oknie, w krwawych promieniach ginącego słońca, wśród zdala dolatujących ech pieśni rewolucyi.

— — — — — — — — — — — — — — —

Postać Orsata wywołuje potężne wrażenie dramatyczne przez to zwłaszcza, że jest wśród tła całego i otoczenia tak odosobnioną, samotną, odbijając blaskiem idei od szarych ram powszedniości lub nędzy moralnego upadku tłumu. Orsat — to wielki, natchniony samotnik, niepojęty i niedostępny dla mas; wyższy od nich, a jednak przez osamotnienie swoje zmuszony do ustąpienia, niezrozumiany, odepchnięty — i przez to właśnie tak tragiczny, jak K o n r a d u nas na posadzkach spodlonych zdradą salonów, jak R e j t a n na haniebnym sejmie, jak B e n i o w s k i przed tłumem roznamiętnionej szlachty[1]). Jest w nim wiele szczególnie z tej ostatniej, tajemniczej postaci.

Jest jeszcze w O r s a c i e i to, czego wieki szlachetczyzny w Polsce, jak i patrycyatu dubrownickiego, zrozumieć nie mogły, a co w tym B e n i o w s k i m najczystsze znajduje odbicie, — ukochanie i zrozumienie d u s z y l u d u, zrozumienie jego roli w chwili dziejowego przełomu i w przyszłości.

Niestety duch raguzańskiego patrycyusza ugina się pod ogromem nieszczęścia, które przyszło szybciej, niż sam przewidywał, — łamie się w strasznej boleści, wśród której nawet na

---

[1]) W najnowszym dramacie, obrazującym upadek Polski, „K r ó l S t a n i s ł a w A u g u s t“ I g n a c e g o G r a b o w s k i e g o. (Warszawa 1908).

gniew, na przekleństwo zdobyć się nie może. W wysoce artystycznie i psychologicznie głęboko pojętej scenie popada bohater nieszczęśliwy w płacz gwałtowny, niepowstrzymany, dziecięcy niemal, skarżąc się, wśród łez, jak dziecko matce: „Ajmeh meni! majko moja!...“ Wśród ogromu bolu i cierpienia niesie wreszcie w ofierze to ostatnie, co mu jeszcze pozostało, marzenie swego własnego szczęścia, — jakby dla ironii okrutnej, — już u samych drzwi stojące...

* * *

Postać Orsata Wielkiego z innego jeszcze względu zasługuje na bliższe zajęcie się nią i poznanie, a mianowicie ze względu na historyczne znaczenie. Vojnović postaci tej nie stworzył z fantazyi, ale znalazł jej wzór w historyi i z historyi wprost przeniósł ją do swego dramatu. Lisičar — nie wiadomo dlaczego, — nie wpomina wcale o tem w pracy swojej i nie zastanawia się wcale nad historyczną rolą Orsata. Tymczasem faktem jest, którego dowodzą i same słowa Vojnovića w Trylogii, charakterystyka Orsata, polityka jego i stosunek do reszty patrycyatu dubrownickiego, — że Orsatem jest nie kto inny, tylko głośny w swoim czasie w całej Dalmacyi, a i w Chorwacyi i Serbii, w epoce odrodzenia i później, knez Medo Orsat Pucić, poeta i polityk, podróżnik i ekonomista dubrownicki, a przedewszystkiem niezmordowany obrońca wolności i swobody, gorący, zapamiętały głosiciel haseł słowiańskich.

Knez Medo Orsat Pucić albo Pocić (także Škatić, z włoska Orsato conte Pozza) pochodził z prastarej rodziny patrycyuszowskiej, która z Kotoru w wieku IX przybyła do Dubrownika. [1]) Przodkowie jego nosili często godność kniaziów republiki dubrownickiej, należeli do najbardziej szanowanych, głośnych i patryotycznych rodów Raguzy, w ostatnich zaś chwilach życia rzeczypospolitej okazali prawdziwie fanatyczne przywiązanie do dawnej wolności, broniąc jej prawie jedyni do ostatniej chwili i popierając — gdy już wszystko było stracone,— ów rozpaczliwy, bohaterski plan przesiedlenia się na którąś z wolnych wysp Dalmacyi lub Grecyi.

---

[1]) por. Friedr. Heyer v. Rosenfeld — „Wappenbuch des Königreichs Dalmatien“ w wydaniu J. Siebenmachera „Wappenbuch“ Nürnberg. 1873 Str. 10 i 27.

To bezgraniczne przywiązanie do wolności przejął i Medo Orsat Pucić od swych przodków i choć ojczyznę swą, rodząc się, zastał już w kajdanach, (żyje od r. 1821 do 1882), to jednak od pierwszej młodości, od pierwszego wystąpienia w świat, myślał o jej oswobodzeniu. W latach czterdziestych owładnęła nim gorączka czynu, nerwowe, gwałtowne, ropaczliwe chwytanie się najróżnolitszych środków i dróg, przerzucanie się z polityki jednej w drugą, od dworu jednego do drugiego, szukanie nerwowe pomocy wszędzie, gdzie tylko jakiś ślad sympatyi dla Dubrownika, jakiś błysk wolnościowych idei się ukazał, by tylko ratować upadłą ojczyznę, by tylko co prędzej, póki jeszcze wróg nie ubezwładnił jej zupełnie, odbić ją, wyrwać z rąk przemocy. Orsat-Pucić jest to jedna z tych dziwnych postaci, jakie wydają tylko straszne, wielkie katastrofy dziejowe, jakie i myśmy mieli po rozbiorze Polski, kiedy całe masy rozpaczą i nadzieją zarazem wiedzionych patryotów, spieszyły w szeregi to Napoleona, to Turcyi, to wreszcie pod sztandary węgierskie, — stamtąd wyczekując naiwnie pomocy i tam albo ginąc śmiercią bohaterską, albo też, co gorsze, wracając z krwawą, nieuleczalną raną w sercu, z gorzkiem rozczarowaniem, a bez żadnej nadziei, której różowe sny rozwiały się niepowrotnie.

Takim zrozpaczonym, a niezmordowanym obrońcą wolności swej ojczyzny był Orsat; tylko nie szukał on, jak ci bohaterzy walki, zapomnienia w boju, ale szedł, jak i wielu naszych emigrantów, na dwory europejskie; tam działał i paktował, jako polityk i ekonomista, zawierał znajomości, nawiązywał stosunki w sferach dyplomatycznych, układał szerokie plany na przyszłość, ciągle tylko tą jedną myślą wiedziony, że przecież, wśród burz politycznych, znajdzie się chwila szczęśliwa do odzyskania utraconej swobody.

Jak nasi emigranci, i on przenosił się z jednego dworu na drugi; działał w Szwajcaryi, gromadził emigracyę w Paryżu, w ścisłych i przyjaznych stosunkach był z dworem austryackim i arcyksięciem Karolem Ludwikiem; jak Mickiewicz, myślał o legionach powstańczych we Włoszech i szukał pomocy w Rzymie; jak Czajkowski, chwilami nadzieje budował na Wschodzie, a ostatnie lata spędził na dworze serbskim. Życie całe jego było jednem pasmem tułaczki po dworach europejskich, spieszenia tam, gdzie tylko posłyszał hasło wolności i tak „karyerę swoją — jak sam powiada — rozpoczął z najstarszą dy-

nastyą europejską, z Bourbonami, a skończył z najmłodszą, z Obrenowiczami“ [1]), na dworze Milana serbskiego. — To szczere, gorące umiłowanie wolności, a także i idei słowiańskiej, sprawiło, że Pucić potrafił przełamać uprzedzenia i stronnicze sądy, jakie zawsze istniały między Chorwatami i Serbami i w dobie już późnej, — bo w r. 1868, kiedy hasła illiryzmu i panslawizmu już przebrzmiały, a walka chorwacko-serbska z całą siłą wystąpiła, — ku wielkiemu niektórych rodaków oburzeniu udał się na dwór serbski i tam pracował, tam działał, tam spędził ostatnie lata życia, bo tam znalazł wolność i niepodległość.

Toteż nic dziwnego, że wśród takich najróżnorodniejszych wpływów i otoczenia, warunków bytu i polityki, przekonania Pucića zmieniają się szybko i gwałtownie postępują naprzód. Z zatwardziałego, ciasno zamkniętego w swej tradycyi i przekonaniach kastowych patrycyusza dubrownickiego z XVIII w., przeobraża się on w typowego syna wieku XIX i epoki napoleońskiej. Wolnomyślny, zapalony, gorącego serca, w środkach postępowania nieraz gwałtowny, skrajny, rewolucyjny niemal, mimo nieustannej zawsze czci i przywiązania do swej przeszłości, mimo wierności dla tradycyi, mimo niezwykłej pobożności i ducha wiary, jaki w nim gorzał przez życie całe. W obejściu z ludźmi przyjazny, miły, przystępny, w myśleniu zawsze górny, czysty, pełen poezyi i życiem swojem dał dowody nieskazitelnej prawości i szlachetnego charakteru, dobroci i serca. Ciężkie tylko przejścia życiowe, niepowodzenie ojczyzny i osobiste zawody i cierpienia, a także pewnie i wpływ ówczesnej kultury Zachodu, zabarwiły cały sposób jego myślenia pewną dozą pessymizmu, nadały usposobieniu jego nieco pierwiastka satyrycznego i ostrego krytycyzmu, który zwłaszcza w stosunku do otoczenia jego, do upadłego patrycyatu dubrownickiego często bardzo zbawiennie działał.

To wszystko czytamy, jak z życiorysu, z pism Pucića, których pozostawił wiele: Są to utwory prozaiczne i poetyczne, rozprawy historyczne, literackie i polityczne. Przepełnione niemi ówczesne dalmatyńskie czasopisma, głównie *Danica illirska* i *Pozor*, także włoskie *La Favilla* i *Gazetta di Zara* w latach

---

[1]) F. Marković: Rad jugoslov. akademije. Knj. LXVII. Zagreb, 1883. Str. 201.

od r. 1840 do 48. Czytamy to ze zbiorów i wydań pieśni ludowych, zebranych przez niego, a zwłaszcza z jego własnych romantycznych pieśni, przeważnie lirycznych, nie tyle znakomitych i skończonych w formie i artyzmie, ile gorących i pełnych szczerego uczucia. Oryginalne one i niezwykłe, jak i niezwykłym był i dziwnym duch, który je stworzył. Bez planu, bez kompozycyi, bez łączności i harmonii, ale ileż w nich silnego uczucia, zapału, ile rysów charakterystycznych i oryginalnych. Rzucona ta poezya na papier tak, jak wyrywała się z gwałtownej duszy poety, — tak, jak się w niej zmieniała nieustannie i wiecznie przekształcała.

Kniaź Medo Orsat Pucić (Pozza) odbywał studya we Włoszech: gimnazyum w Wenecyi, a prawa w Padwie (1840-2), gdzie się poznał z autorem „Córy sławy" Kollárem — i we Wiedniu (1843). Tu nawiązuje stosunki z arcyksięciem Karolem Ludwikiem i zostaje jego szambelanem. — Już w Padwie poczyna karyerę literacką ulotnemi poezyami i artykułami literackimi. W r. 1844 wydaje we Wiedniu „Antologiju starih dubrovačkih pjesnika." W Padwie tłumaczy i drukuje po czasopismach tłumaczenie włoskie części „Królodworskiego rękopisu" i Gundulića „Osmana"; w r. 1848 wydaje pierwszy zbiór poezyj p. t. „Taljanki". Od r. 1849—51 wydaje w Dubrowniku wraz z Aug. Kaznačićem i Mat. Banem tygodnik, najlepszy podówczas na słowiańskiem południu, *Dubrovnik, cviet narodnega knjižtva,* gdzie umieszcza przekłady swoje z Mickiewicza, Zaleskiego, Puszkina, Omira, Berangera i i. Od r. 1851 poczyna swe podróże, które z kilkakrotnemi przerwami trwają do końca życia. (Francya, Austrya, Rosya, Włochy.) W r. 1856 wydaje w Zadarze przekład Platona „Symposion", w r. 1858 zaś w Belgradzie „Srbske spomenike od g. 1395—1433". Tłumaczy też wiele na włoskie. W r. 1860 wydaje włoski przekład Mickiewicza wykładów o serbskiej poezyi ludowej w Collège de France p. t. „Dei canti popolari illirici" ze wstępem o Mickiewiczu (Zara 1860) i rozprawę prof. moskiewskiego uniwersytetu Józefa Bodiańskiego o słowiańskiej poezyi ludowej p. t. „Della poesia popolare slava". W r. 1862 wydaje w Karlovcu zbiór poezyi swoich pt. „Piesni", a w r. 1863 epiczno-liryczną powieść, natchnioną poezyą Mickiewicza i Byrona p. t. „Cvijete", z ostatniej doby dubrownickiej

republiki. W r. 1870 przenosi się na dwór Milana serbskiego; po kilku latach znowu spotykamy go w Paryżu, i odtąd naprzemian przebywa to we Francyi, to w Dubrowniku, to w Serbii do końca życia — r. 1882. W ostatnich latach największą pracą jego jest przekład niektórych części Odyssei dziesięcio-zgłoskowym wierszem pieśni ludowych serbo-chorwackich. [1])

Medo Orsat Pucić — to jeden z tych nielicznych patrycyuszów dubrownickich, którzy mimo zepsucia się i przeżycia republikanizmu, mimo upadku moralnego i duchownego patrycyatu, zachowali dawną siłę i godność szlachecką, dawną czystość i świeżość uczucia, dawną wiarę patryotyzmu [2]). Jako taki — nic dziwnego — że uderzył Vojnovića szlachetnością swej postaci wśród brudnego, zgniłego otoczenia, że porwał go swoim zapałem i poetycznością, że natchnął go do uwiecznienia w piśmiennictwie tego schodzącego już z widowni dziejowej, ostatniego, pięknego typu arystokraty dubrownickiego w pierwszej połowie XIX w. [3]).

I uwiecznił ten typ ciekawy Vojnović w swej „Trylogii dubrownickiej“ w postaci Orsata w pierwszej i w postaci kniazia Lukszy w trzeciej części. Jednej i drugiej postaci dał

---

[1]) Patrz życiorys: Aug. Kaznačić „Orsato conte Pozza“ r. 1882., także artykuł w *Slawische Blätter* 1865 i *Vienac* 1875. O jego poezyi: С. В. Поповић — Наша новија лирика w Летопису Мат. срп. Кн. 129. Нови Сад. 1882., tudzież studyum prof. F. Markovića „Rad Jugosl. Akad“. Kn. LXVII. Zagreb. 1883. Str. 125—206.

[2]) Szczególnie owa starodawna pobożność i patryarchalny stosunek do służby domowej jest charakterystyczną cechą dla szlachty dubrownickiej, a zwłaszcza dla Orsata Pucića, który je jedyny może w Dubrowniku zachował, a które go czynią tak podobnym do typu naszego dawnego szlachcica, dla którego „wiara i ojczyzna“ głównem hasłem w życiu były. Oto dla charakterystyki przytaczam ciekawe słowa historyka i poety Matija Bana, opisującego obyczaje i sposób życia w republice dubrownickiej: „Prije večere, na koju se je išlo ponajviše u ponoći, budući svi domaći sobrani u kući, kleklibi naokolo gospoda i sluge, stariji i mladji skupa, kakono svi jednaki pred nebeskim otcem, ter bi se začela molitva večernja, poslie koje domaćica, ostavši sama s djecom i slugami, uzelabi često svečenički ton i izgovorila kratko slovo o kakvom moralnom predmetu. Tu večernju molitvu i slovo ja sam slušao jošt lani v Dubrovniku u kući kneza Nika Pucića. Osobito molitva govori se jošt u mnogih kućah“ i t. d. (Matija Ban — „Zrcalo povjestnice dubrovačke“ *w Dubrovniku* za god 1849“).

[3]) „Wszechchorwaci“ rozumie się inaczej patrzą na tę postać, uważając go za odstępcę narodu.

poeta coś z nieuchwytnego charakteru Meda Pucića. Bogatą, różnorodną, niezwykłą naturę tego poety-polityka rozerwał on niejako na dwie połowy; oddzielił od siebie stare, pozostałe w nim z tradycyi i przeszłości, odziedziczone po przodkach rysy fanatycznego patrycyusza od nowych, nowymi prądami i nowym wiekiem naznaczonych rysów człowieka XIX w., skupiając pierwsze na dumnej postaci Orsata Wielkiego, drugie na bladym cieniu hr. Lukszy. W jednym i drugim jednak zostawił poeta pewne cechy wspólne, które mimo wielkiej już między nimi różnicy, czynią ich przecież tak podobnymi do siebie, od razu wskazują, że są to ludzie z jednej gliny, jednego pochodzenia i jednych idei. Hr. Luksza jest tylko dalszem ogniwem w łańcuchu pokoleń zamierającego patrycyatu; on przedstawia jeszcze jedno dalej, bodaj, czy nie ostatnie stadyum w upadku republiki dubrownickiej, przedstawia cień dawnego patrycyatu, którego już nawet ożywić nie mogą hasła i idee nowego wieku, przedstawia ostatniego vladara, którego zmieniły one i przekształciły, ale życia w niego, siły czynu, tchnąć już nie potrafią. Zabiła go tęsknota za swobodą ojczyzny. Orsat natomiast, chociaż żyje w kulminacyjnej chwili tragedyi swej ojczyzny, ma jeszcze siłę i moc, którą czerpie z dawnej jej swobody i wolności, z przeszłości i tradycyi, z wielkości jej, na którą jeszcze patrzył. Stąd ta moc ducha, stąd ta potęga uczucia rozświetlona już pierwszymi blaskami wschodzących nowych idei.

Orsat Medo Pucić i z innego jeszcze względu jest postacią dla nas niezwykle zajmującą i ciekawą, jedną z najwdzięczniejszych i najwięcej dostarczających materyału do badania, a mianowicie — ze względu na liczne i bliskie stosunki, w jakich pozostawał w Rzymie, a pewnie i w Paryżu i innych miejscowościach z emigracyą polską, a zwłaszcza z Mickiewiczem, ks. Adamem Czartoryskim, Bohdanem Zaleskim i i., a dalej na liczne związki, jakie zachodzą między działalnością jego literacką, a piśmiennictwem naszem w pierwszej połowie XIX w. Z tych wszystkich względów zasługiwałby Pucić na większe i specyalne studyum polskie, ważne dla naszej literatury, jak i dla piśmiennictwa chorwackiego. Byłoby ono nowem i jasnem światłem, rozświetlającem ciemne jeszcze strony stosunków historyczno-literackich Chorwacyi i Polski, a i jedną więcej kartą do biografii Mickiewicza, do

poznania jego życia i działalności we Włoszech, a może i w Paryżu.

* * *

Poza Orsatem kotłuje w „Trylogii“, walczy, burzy i huczy szerokie, różnobarwne, krzykliwe tło pudrowanych głów i białych warkoczy, francuskich fraków i żabotów, opasłych lic i dumnych czół, zaciśniętych pięści i skrami ciskających oczu, — tło ruchliwe, gwarne, żywe, z którego, jak jutrzenka z pośród morza gwiazd, najjaśniejszym, drżącym blaskiem świeci postać Orsata.

Tło to szczególnie plastycznie i żywo występuje w scenie, kiedy, z powodu zjawienia się kniazia w domu Orsata, na widownię teatru wpada cały senat ze swej sali obrad. Scena ta cała kipi takiem życiem, takim ruchem, taką gorączką i werwą roznamiętnionych polityków, że odrazu nasuwa się nam przed oczy obraz naszych sejmów.

Tu tylko więcej ciemnych bruzd, jakiemi poorał zepsuty wiek racyonalizmu i Voltaira ich wyniosłe lica; więcej kosmopolitycznego pyłu i nowoczesnego kupieckiego, burżuazyjnego tonu, — bez zapału, bez siły ducha i poświęcenia tamtych. Zresztą — ta sama duma, ta sama lekkomyślność i pragnienie władzy. Zdaje się, że poeta, pisząc tę scenę, patrzył na obraz naszego Matejki i z niego wyśpiewał bolesną pieśń dla swej ojczyzny. Jak żywego się widzi w Orsacie Wielkim matejkowskiego Rejtana, co jak Orsat do stóp kniazia, na progu sali obrad się rzuca, nie pozwalając przestąpić go, chyba po swoim trupie. Obok Orsata-Rejtana ileż w tej scenie podobieństwa do naszych magnatów i szlachty, walczących na ostatnich sejmach rozpaczą, szałem, wytrącającym niemal ze świadomości, sceptycznym sarkazmem i bezdenną rezygnacyą! — A ów zdziecinniały, zniewieściały kniaź, czyż to nie nasz Stanisław August w miniaturze? — mniej pewnie od niego przewrotny i grzeszny, ale nie mniej świetne w nim uosobienie bezsilności, braku energii i upadku moralnego. A ileżby się znalazło wspólnych rysów z podobną sceną sejmową we wspomnianym wyżej dramacie Ign. Grabowskiego?

Kto wie, czy chorwackiemu poecie, — który jest i niezłym malarzem, sztukę lubi i zna ją dobrze, — czy mu nie było wzorem w tej scenie nieśmiertelne dzieło Matejki.

„Jestto scena, — pisze wspomniany już wyżej krytyk — w której każda postać jest jakimś indywidualnym typem, typem, który przez tyle pokoleń przedstawiał pewną patrycyuszowską rodzinę; a typy te przedstawia poeta z taką szczerością, że je od razu w życiu poznajemy. Takie typy jeszcze i dzisiaj przechodzą po ulicach Dubrownika. Przed nami staje moment, w którym ostatnia generacya dubrownickich republikanów ugina karku przed nowym wiekiem, który jej już nie potrzebuje; moment, w którym z prastarych genealogicznych pni odpada ostatni zielony liść, — i one same tyle tylko warte, by je porąbać i rzucić w ogień. — Spotykamy tu złośliwą satyrę obok wyrafinowanego humoru, byrońską lirykę obok tayllerandzkich trefionych słów dyplomacyi, romantyczny ogień obok lodów skeptycyzmu. Każda sylwetka gospara jest prawdziwa i żywa. Są tu starzy i młodzi, — jak ich opisuje sam Vojnović — średni, mali, grubi, szczupli, ale wszyscy, jeden w większym, drugi w mniejszym stopniu, mają rysy charakterystyczne starodawnych rodów i wygląd ludzi, którzy od wieków rozkazywali i drugim sprawiedliwość wymierzali. Tysiącletnie władanie i długi szereg lat nieskazitelnego, patryarchalnego życia wycisnęły na nich piętno wybitnej, dziś już wprawdzie zniepràwionej, ale przecież niezwykle wyrazistej indywidualności. Są między nimi i dziwacy w chodzie, w ruchach, w ubieraniu się; są starcy jeszcze w perukach Ludwika XV.; młodzi są wszyscy wedle najnowszej mody empire; każdy za siebie jednak skończony, oryginalny typ odrębny. Zwłaszcza teraz, gdy są między sobą, gdy na nich nikt z ludu i ludowców nie patrzy i ich nie sądzi; teraz, gdy stanowcza silna ręka losu odkrywa wszystkie tajemne plany i ukryte rozpukliny zniepràwionych charakterów i upadłych dusz, — teraz zwłaszcza każdy ruch, każdy szept, każdy półgłos ma swoje znamienne, nieomylne, głębokie znaczenie“.

Oto takiemi silnymi rysami kreśli Vojnović postaci dubrownickich vlasteli. — Byli źli, przewrotni, upadli i mało warci, ale nie byli tylko sami takimi; — podobizny ich znaleźć można w tym czasie wszędzie, w całej Europie; — taką była cała owa „humanité regnante“ przed rewolucyą. Te same typy z pewnemi tylko specyalnemi cechami spotykamy między możnowładcami angielskimi, taką przedstawia arystokracyę francuską w swych „Pamiętnikach“ i Saint-Simon, takim poznajemy i patrycyat włoski, a zwłaszcza wenecki, takimi wresz-

cie mniej więcej byli i nasi magnaci na dworze Augustów i Poniatowskiego; takich poznajemy naszych przodków w ciętych utworach Krasickiego i Węgierskiego, Trembeckiego i tylu innych z okresu stanisławowskiego.

* * *

W znakomitej galeryi dubrownickich typów, jaką jest „Trylogia“ Vojnovića, w części pierwszej z pomiędzy charakterów kobiecych na pierwszy plan wysuwa się postać staruszki, ciotki Orsata — gospy Ane Menze-Bobali.

Jest to prastary typ dubrownickiej matrony, kapłanki domowego ogniska i sancta sanctorum: rodowej przeszłości i sławy, tradycyi patrycyuszowskiego plemienia. Lecz okres jej kapłański już się skończył; chwila, w jakiej nam poeta ją przedstawia, daleko już jest za temi laty, kiedy Ane była westalką bogów domowych. Dziś jest to już tylko głuche echo minionej przeszłości, wiązka przestarzałych, naiwno-śmiesznych pojęć i nawyczek zdziecinniałej arystokratki, w słabej, zczerniałej, zmarszczkami pomiętej skórze; pojęć, nawyczek i ślepych niemal zabobonów, w które wierzy święcie, których strzeże z całym pietyzmem- w których i którymi żyje i w których żyjąc, właściwie nie żyje dla świata. Jest to bezwładny manekin przeszłości, zimny cień dawnego życia, dalekie echo odśpiewanej pieśni, zamknięta w sobie, jednostajna, nieporuszona, drewniana...

Silnym kontrastem i nieubłaganą przeciwnością jej jest Krystyna, dziewczyna z ludu. Jak wyśniona z baśni, w opisie poety—charakteryzuje ją Lisičar — stoi Krystyna przed gospą Ane nietylko jako młodość przed starością, lecz i jako przyszłość przed dawną przeszłością. Krystyna jest symbolem nowego życia. Jej towarzyszy zapach polnego kwiecia, który starej patrycyuszce do głowy uderza. Ona wnosi świeże tchnienie przyrody, wobec której gospa Ane tylko liściem... Gospa Ane—to jest przeszłość, ale przeszłość, która zmęczona już i wyczerpana staje się tyranem wobec młodego życia. Twarda jest, bez czucia... Hory, zontem jej myśli—to, co już minęło bezpowrotnie, przedmiotem zainteresowania — kasta, wśród której żyje, lekturą — lektura prawie całej podówczas Europy: fa szywa, zmanierowana, spaczona, czułostkowo-nudna i pełna hypokryzyi poezya Pironów, Drydenów i Metastaziów, jako opadła duszącym, szarym dymem z niebotycznych wyżyn, na których buchał potężny pło-

mień klasycyzmu i odrodzenia. Cechą jej była nienaturalność i kłamstwo, treścią płytkie, brudne miłostki, pod pokrywką idealnych uczuć i religijnych frazesów. Ta poezya była lekturą i dubrownickiej matrony. Metastazio nie wychodził z rąk jej ni na chwilę. Zaraz na pierwszej stronicy było wydrukowane, że autor jest „abate“ — opatem, a to znak, że dzieło głębokie i moralne. W niem się też rozczytywała nieustannie gospa Ane, deklamując od czasu do czasu na stary sposób dubrownicki strofy włoskiego poety:

„Non vi piacque ingiusti Diei
Ch'io nascessi...
Amar ti conviene...“

Uzupełnieniem niejako typu młodej dziewczyny wiejskiej, na miejski, dubrownicki bruk przeniesionej,—jest służąca Orsata Łucya.

Podczas gdy Krystyna jest już żywem dzieckiem XIX w., z jego postępowem, demokratycznem zabarwieniem, podczas gdy ona jest już uświadomionem dzieckiem ludu, z całą siłą i zrozumieniem stawiającem dzielny opór wpływom patrycyuszowskiego miasta, Łucya jest reprezentantką starego pokolenia wśród dziewcząt, służących w mieście, w pałacach gosparów, pokolenia nie wymierającego jeszcze, jak n. p. typ Ane Bobali, ale pokolenia coraz bardziej wypieranego, ustępującego nowemu, którego reprezentantką Krystyna.

Krystyna ma zupełną świadomość wartości ludu i swojej i odważa się, choć szeptem tylko do towarzyszki, ale w każdym razie odważa się, rzucić słowa, na jakieby się nigdy Łucya nie zdobyła:

„Chłopi — nie chłopi! — mruczy pod nosem — ale dawnoby was nie było, gdyby nie my chłopi, co z wami trzymamy“!...

Coś podobnego nie padłoby nigdy z ust Łucyi, bezwzględnie, niewolniczo oddanej swej samowładczej pani, wpatrzonej w jej ponury, czarny obraz, z którego wzór bierze, który naśladować musi nienaturalną pobożnością, sztuczną, posępną, nieżywą powagą. Łucya — to dziecię wsi, którego bujna, gorąca dusza „uwiędła wśród zaśniedziałych murów pałacu“; to typ niewolniczo poddanych dumnej władzy panów dubrownickich dziewcząt z ludu, które najczęściej padają ofiarą zepsucia i skażenia moralnego młodych patrycyuszów.

Właściwa postać, którąby powinna stanąć kontrastem przeciw Annie Bobali, jako przyszłość przeciw przeszłości, — młoda patrycyuszka, Desza Palmotićewna nie spełnia tego zadania. I zupełnie słusznie,—zgodnie z prawdą historyczną i tak, jak żąda rzeczywistość. Desza nie mogła jeszcze stanąć na krańcu przeciwnym stanowisku starej patrycyuszki;—to byłoby przedwcześnie. Idee nowego wieku nie zapuściły jeszcze w Dubrowniku tak głębokich korzeni, by zdołały wzruszyć i stare, silnie w ziemię wrosłe posady patrycyatu. Oplatały je tylko ze wszech stron i czepiały się ich murów, zasnuwając je nową siecią swych haseł i idei, ale skruszyć je sobą i nowego wznieść w ich miejscu gmachu nie mogły;—na to za mało jeszcze miały mocy. Dlatego i Desza nie jest jeszcze uosobieniem tych świeżych idei i przeciwstawieniem ich zgniłej przeszłości: Anie Bobali, ale jest, jak Orsat, szlachetnem już ich owiana tchnieniem, ich blaskiem osłoneczniona, ich ciepłem rozgrzana. Desza jest przedewszystkiem romantyczną bohaterką, jak Orsat jest bohaterem. Mało ma tych plastycznych, wypukłych rysów, jakimi rysowana jest postać Orsata, ale zato skąpana jest w tak czarujących promieniach poezyi i uroku, natchniona takim śpiewem smutnego, za serce chwytającego uczucia i poświęcenia, wstawiona w tak krwawą, bolesną smugę tragicznego światła, że mimo, iż charakter jej i postać cała na planie drugim niejako zostawiona i mniej silnie i dokładnie opracowana,—jaśnieje zawsze zdaleka tęczowem widmem miłości i szlachetności, co ścigane gniewem nieubłaganego losu, uchodzi w idealną krainę poświęcenia i tam, na kolanach świętej miłości Ojczyzny kryje swe załzawione oczy, szukając pociechy i ukojenia.

Jest to symbol najczystszej, prastarej wolności republikańskiej dubrownickiego patrycyatu, strzelający dokoła aureolą bohaterstwa i romantycznego poświęcenia.

* * *

Druga część trylogii, „Zmierzch“ („Suton“) — lub jak ją później nazwał autor — „Cienie“ („Sijene“) powstała najwcześniej, bo w r. 1900 i już wtedy przedstawiano ją na scenie teatru zagrzebskiego, ale chociaż sama dla siebie stanowi całość, bez I części „Trylogii“ nie mogła być należycie przez ogół zrozumianą. W całości dopiero występuje jej wartość i znaczenie.

Przedstawiać ma ona zmierzch, jaki zapanował nad Dubrownikiem po zachodzie słońca wolności nieszczęśliwej republiki. Autor jednak, chcąc zaznaczyć ściślejszy związek z częścią pierwszą i uczynić widoczniejszą nić, która łączy te trzy obrazy ze sobą, zmienił pierwotny tytuł „Zmierzch“ na nowy: „Cienie“, i tak ta część ma snuć przed oczyma widza cienie tylko dawnej wielkości republiki, mary tylko senne dumnych patrycyuszów, których żywot skrócił potężny duch Napoleona. Nicią tą przewodnią całego dramatu, która teraz rzeczywiście jaśniej występuje, jest: upadanie patrycyatu dubrownickiego, a z nim umieranie i dubrownickiej indywidualności i republikańskiej państwowej tradycyi.

Staruszka, wdowa Mara Nikszina, niegdyś magnatka dubrownicka, walczy wraz ze swojemi trzema córkami z nędzą. Z pomocą przychodzi im kupiec hercegowiński Vaso, który kupił na licytacyi pałac ich dziada i uchodzi obecnie za gospara. Ten człowiek prosty, ze wsi, ratuje patrycyuszki z nędzy. Zapamiętałość jednak vladarek i tem się nie daje przełamać; one pozostają twarde w nieubłaganej tysiącletniej dumie wobec idei nowego wieku, których pojąć nie zdolne, wobec „prostaków i dorobkiewiczów“.

Patrycyuszka Pavla kocha uczciwego, pomorskiego kapitana Luja, człowieka z ludu, — i poszłaby za niego, gdyby niespodzianie nie obudziła się w niej silna, niezłomna wola i duma, która w krwi jej rodu od dalekiej przeszłości żyła, a która nie pozwala jej oddać swej ręki człowiekowi nie tego samego pochodzenia, co ona. Dlatego Pavla strzyże sobie włosy wśród tłumionej boleści i idzie do klasztoru... Patrycyuszka nie może wyjść za chłopa!.. Ona woli umrzeć w rozpaczy, a milczeć, aniżeli splamić nasienie szlachetnego rodu krwią nędznego plemienia, niż zmieszać krew patrycyuszki z krwią chłopa.

Tak więc podobny, nieszczęsny ślub, jaki przedstawił pisarz w pierwszej części „Trylogii“ w Orsacie, jako męskim reprezentancie zatwardziałego dubrownickiego republikanizmu, przedstawił niemniej silnie w drugiej części, w kobiecie — Pavli. To są cienie, które przeznaczone są śmierci...

Ten nastrój dreszczowy chłodnych, jesiennych, umierających dni, to cmentarne tchnienie zagrobowych cieniów i mar — umiał rzeczywiście Vojnović wywołać w tak mistrzowski sposób, tak prostymi środkami, jak rzadko w literaturze, zwłaszcza dra-

matycznej, zdarza się spotykać. U nas Przybyszewski w tego rodzaju nastrojach mógłby iść z nim w zawody.

Tą stroną swego talentu, tą umiejętnością wzbudzenia w sobie, stworzenia w utworze i wywołania w widzu lub czytelniku silnego i jednostajnego nastroju, a dalej i inną stroną, — że się tak wyrażę — dekoracyjną, nadto siłą, poetycznością i barwnością swoich opisów, objaśniających wygląd i kompozycyę scen, których najczęściej nie mogłaby żadna i najlepsza scena tak przedstawić skończenie i poetycznie, jak tego pragnie poeta, — temi stronami talentu wybił się Vojnović w literaturze chorwackiej wysoko ponad swoich współczesnych i nadał nowelistycznym częściom swoich dramatów — w lekturze — nieoceniony czar i wartość.

W tym ostatnim zwłaszcza rysie, w tem wyzyskaniu dla swej poezyi ustępów opisowych, objaśniających samą postać sceny i osób występujących, zbliża się on nieco do Wyspiańskiego; tylko, że Wyspiański idzie jeszcze dalej i z tych ustępów tworzy w ostatnich utworach swoich cały osobny rodzaj poezyi, specyalny niejako komentarz dla pewnego rodzaju swych myśli, który stoi w nierozerwalnym związku z całością dramatu. (Wyzwolenie, Bolesław Śmiały).

Już w samą zewnętrzną budowę wkłada Vojnović bardzo wiele nastroju. Te stare, omszałe, popękane mury, które patrzyły na tyle wieków i pokoleń, na których każda epoka, każda generacya zostawiła liczne i silne ślady, przemawiają jakimś głębokim, melancholijnym, przytłumionym głosem. Z tych szarych, zniszczonych ścian i kamieni wieje cała przeszłość smutna rzeczypospolitej, cała jej wielkość miniona, wolność utracona i w końcu niedawna, okropna, nieubłagana śmierć. Vojnović za Vergilim powtarza, że rzeczy czują, mówią i żyją i jak Vergili umie on odczuć „*lacrimas rerum*“ i dlatego i niemi dramat swój, jak czarnemi perłami, zdobi, nadając mu tem jeszcze więcej rzeczywistej dramatyczności, prawdziwego bolu i melancholii.

A szczególnie wdzięczne i bogate pole znalazł poeta pod tym względem w Dubrowniku. Mało jest miast, gdzieby tak wielki był kult przeszłości, mało ludzi, którzyby się tak niewolniczo przywiązać umieli do rzeczy martwych, do napozór nieznacznych przedmiotów, którzyby tak rozumieli i odczuwali owe *lacrimas rerum*, — jak Dubrowniczanie. Źródłem tego niepojętego nieraz przywiązania się do jakichś życiowych drobiazgów, tego „niewolnictwa przyzwyczajenia“ — jest ten ogromny, wszechwładny nie-

wykorzeniony konserwatyzm i rozmiłowanie się w przeszłości republikańskiego Dubrownika, ale zarazem i wielkie rozumienie i lubowanie się w sztuce i jej zabytkach, rozumienie i lubowanie się wogóle w pięknie. „Oni w przeszłości — powiada Lisičar — widzieli nietylko dobro, ale i piękno. Gospodja Mare ma lat 68, a na niej wszystko tak wytworne, eleganckie, tylko — bardzo stare. Ona twardo się trzyma przeszłości we wszystkiem, i w swojem odzieniu. — I dziś jeszcze w Dubrowniku niejednokrotnie przejdzie ulicą jakaś podeszła kobieta w czarnym jedwabiu i w starożytnego kroju sukni, o dziwnie sztywnych ruchach i postawie, a dziewczęta oglądają się za nią i szepcą jedna drugiej:

— Gospodja ispod republike!...[1])

Ci ludzie niechcą zmian żadnych, najszczęśliwsi, najspokojniejsi, gdy żyją wśród swoich starych murów, gdy obracają się wiecznie wśród tych samych rzeczy i przedmiotów, jednocząc się z niemi niemal nierozerwalnie. Byli tacy, którzy nie mogli opuścić Dubrownika, gdyż brakowało im dubrownickich dzwonów. I dzisiaj, gdziekolwiek spotkasz Dubrowczanina, chociażby i na Rue des Italiens w Paryżu, on zawsze pochwali ci wszystko, że jest piękne; tak — tak, tylko brak mu „dubrovačka placa“. Są w Dubrowniku jeszcze domy, w których znajdziesz na strychu staroświecką, spłowiałą, pojedzoną przez mole suknię, którą jeszcze stare patrycyuszki nosiły na zabawy. — A i to charakterystyczne dla Dubrowczanów, że gdy im się w domu co stłucze z naczynia, nie żałują tyle samej rzeczy, ile tego, że „Bóg wie odkąd było to w tym domu“!

Były podobne typy i u nas w dobie rozbiorów Polski i emigracyi, kiedy niejednokrotnie emigranci życie sobie odbierali z tęsknoty, z żalu za rodzinnemi stronami, za echem dzwonów kościółka wsi rodzinnej, za głosem swej ojczystej mowy; — kiedy nieszczęśliwi wychodźcy i tułacze wśród największych niebezpieczeństw przechodzili granice w przebraniu, potajemnie, by choć przez chwilę posłuchać szmeru swych drzew rodzinnych, śpiewu ojczystych pieśni. Dziś jeszcze znaleśćby można w Królestwie, na Litwie, a i w Galicyi, całe szeregi takich zabytków staroświecczyzny (zwłaszcza między kobietami), co żyją tylko przeszłością i jej wspomnieniami.

---

[1]) „Pani z czasów rzeczypospolitej!...“

Również wyrażenia językowe, stare zwroty i przysłowia znajdują w Dubrowniku grunt nader zachowawczy, toteż tam najdłużej się utrzymują i żyją w języku. Niemi też przyodział Vojnović swą „Trylogię“ i nadał tem utworowi swemu cechy tej oryginalności i odrębności, jakie posiada np. Mažuranića „Czengić-aga“[1]), jakie posiadają nasze powieści wierszem i prozą z życia szlachty n. p. Sienkiewicza, a zwłaszcza ludu n. p. „Chłopi“ Reymonta, obrazki Tetmajera, Orkana i inne, a które stawiają je w rzędzie utworów, nie dających się tłumaczyć w zupełności na obce języki.

Z całą wiernością i żywą prawdą maluje Vojnović postać Maryi Nikszyny i jej całą walkę, długą, bolesną i upokarzającą ją — walkę z nędzą. Ta dumna patrycyuszka, która stworzona tylko do rozkazywania, tu musi ubiegać się o chleb codzienny, musi sprzedawać najdroższe klejnoty rodzinne i najukochańsze przedmioty, musi wyrzec się wszelkich przyjemności i przywilejów, które były udziałem tylko patrycyuszów, musi myśleć i boleć nad przyszłością swych podstarzałych już córek, — i to, gdy sama stoi już nad grobem. Ta jej boleść i cierpienie z jednej strony, a duma i niepoddawanie się z drugiej, — to upokorzenie, jakiego doznaje w układach z Hercegowińcem, prostym chłopem, co kupuje willę jej przodków i ratuje ją z nędzy, to upokorzenie i nienawiść prawie do tego człowieka, któremu właściwie powinna być wdzięczną, te wszystkie jej troski i zabiegi około spraw domowych, oszczędność i rachowanie się z najmniejszym wydatkiem, — to ukrywanie swego położenia i wiecznie sztuczna rola wobec służby, która to wszystko rozumie, a z drugiej strony ta duma wobec nich, ta zimna powaga władczyni i ręka wiecznie rozkazującej pani, — ta chęć wreszcie ukrycia swej biedy przed obcymi ludźmi, to „zakrywanie ołta-

---

[1]) Ivan Mažuranić (1814—1890), jeden z pierwszych, przez niektórych uważany za najpierwszego poetę doby t. zw. illiryzmu albo odrodzenia Chorwacyi w XIX wieku. Największem dziełem jego jest epopeja „Smrt Smail-age Čengijića“ (1846). Oprócz tego uzupełnił on „Osmana“ Gundulića, mianowicie dośpiewał pieśń 14 i 15 i z objaśnieniami i słownikiem wydał w r. 1844. Napisał wiele sonetów i ulotnych poezyj, ideą słowiańską natchnionych i tłumaczył z języków obcych. Ostatni okres życia poświęcił polityce, na której polu także wiele i piórem pracował (wydał np. t. zw. „Sjenski Štatut“). Od roku 1873 do 1880 był banem Chorwacyi. — O nim obszernie patrz: M. Zdziechowski: Ivan Mažuranić w „Odrodzeniu Chorwacyi“, Kraków 1902.

rzy" — jak brzmi specyalny frazes dubrownicki,[1]) — to wszystko z taką drobiazgowością, z taką wiernością i siłą występuje w roli Mary, że postać ta może śmiało stanąć obok postaci najlepszych dramatów światowych.

Tragiczność jej powiększa jeszcze bardziej zupełna świadomość krytycznego położenia, (czego nie było n. p. u gospy Ane w pierwszej części), cierpienie nad losem córek i niezwykła pobożność i religijność, która jedynie dodaje jej siły do wytrwania w tej walce, która ją jedyna podtrzymuje, a dla nas czyni ją szlachetniejszą i cenniejszą od owych znieprawionych, ateistyczno-sceptycznych, a ciasno myślących panów dubrownickich.

Inne postaci — to prawdziwe już tylko cienie. Te trzy córki Mary, już nie młode, nie mające żadnej nadziei wyjścia za mąż, a i bez żadnych zajęć większych, — ta służba zniechęcona, znudzona posępnością domu i jego żałobą, pokorna wprawdzie w oczy, ale wiecznie szemrząca między sobą, — ci przeżyci, skwaszeni, bez zajęcia i zadowolenia, — chyba, że grą w karty czas sobie skrócą, — podupadli patrycyusze, — to wszystko snuje się rzeczywiście po scenie, jak cmentarne, zimne mary, nie jak ludzie, ale jak ich blade cienie.

Jedyna Pavla tylko, najmłodsza córka, która kocha syna roli, owego kapitana okrętu Luja Lasića, ma więcej czerstwych rumieńców życia. Miłość, która jej serce budzi z sennego uśpienia i walka, jaką z nią toczy, nawet ta duma rodowa, magnacka, co budzi się w jej hardej piersi, czynią ją postacią bardziej z krwi i kości, a nie z szarej mgły, jak całe otoczenie. Miłość stroi ją chwilami w słoneczne blaski, w kwietnią woń i anielskie czary, i duma, co buntuje się przeciw pragnieniom serca rozkochanego, a gotowego zerwać skrwawione pęta tradycyi i pójść za hasłami nowego wieku, — ta duma i dalej walka jej, szamotanie się z uczuciem miłości, nadaje jej jakieś piętno nieszczęśliwej bohaterki, owiewa czarem silnego tragizmu.

Dwie tylko postacie występują zupełnie jasno z całego tego zamglonego tła i uderzają pełnem życiem i jaskrawemi barwami: to kapitan Lujo i lepszy od niego kupiec Vaso, dziwnie odbijający swemi szerokiemi białemi szarawarami Hercegowińca

---

[1]) Otkrivati oltare — znaczy w Dubr. wynosić na jaw cudze sprawy domowe, głównie cudzą nędzę.

i chłopską czerwoną „kabanicą“, swym silnym, nieuczonym gestem i swą śmiałą — prosto z mostu — mową, wśród tych cieniów w dubrownickich salonów.

Lujo (jak Krystyna w „Allons enfants!“), — to przyszłość wobec przeszłości, to zdrowa, jędrna, świeża siła, co soki swe czerpie z ludu i pracy rolnej, wobec słabości, rozkładu, przestarzałości sfer władczych — gosparów. To silna i szlachetna, nawskróś uczciwa i otwarta dusza, która nie odwraca się od swych dawnych panów i często tyranów, ale ze współczuciem i szczerą prawością podaje im w chwili ich upadku dłoń pomocy z całym spokojem i bezinteresownie pomaga im w biedzie. Lujo staje przed rodziną Mary w chwili najkrytyczniejszej, z przyjaznem wejrzeniem zgody i braterstwa otwiera i oddaje gorące serce pysznej patrycyuszce, wyciąga silne ramię ku niej i pragnie ją wyrwać z pomiędzy tych „zgniłych dusz“ i woła: „chodź za mną w życie...“

Lecz ona nieszczęsna, złamana, szarpana bolem i walką z własnem sercem, nie odpowiada wprost, ale pyta symbolem:

— „Czyżbyś zostawił, kapitanie, swój okręt, gdyby tonął?...“

— „Nie!“ — odpowiada prawie bezwiednie, instynktownie Lujo i wydaje sam wyrok na siebie, rozstrzyga sam bolesne pytanie ich miłości i przyszłości.

Następuje silna scena rozstania, wyrażająca niezmiernie subtelnie to zmaganie się w duszy patrycyuszki obowiązku wobec tradycyi i rodu z namiętnym popędem serca. Sam koniec obrazu stanowi pełna melancholii scena przygotowania Pavli na nową smutną drogę, — do klasztoru. Scena ta jednak już zbyteczną. Obliczona na efekt, — efektu nie budzi, a wrażenie subtelnego widza osłabia.

* * *

Część trzecia trylogii: „Na terasie“ („Na taraci“) odbywa się już w naszych czasach, w r. 1900. Dubrowniccy dawni „vladarze“ prawie zupełnie powymierali, a trochę tych, co zostali, złamany pędzą żywot z powodu nowych, obcych im idei i stosunków. Nowi ludzie zasadzili nowe myśli, których te ostatnie resztki republikanizmu nie rozumiały. „Władarze“ bez władzy zostali, jak pieśń bez rdzenia, jak ciało bez duszy. Dawni gosparzy pozamykali swoje córki w puste klasztory, by więdły i przeklinały swoje dziewictwo, zamiast, by oddali je bogatym

kupcom i marynarzom z ludu i tem zmięszali i wzmocnili krew starą; w swoje niepłodne pałace poczęli wprowadzać proste, ale zdrowe rozpustnice, które sami posiali po konawelskich wybrzeżach. A wszystko to z tej prostej przyczyny, by „nie dawać prawych niewolników obcemu panu“.

Staremu kawalerowi Lukszi dostarcza wina młody Konawlanin Vuko; gosparowi zaś i przez myśl nie przejdzie, ze Vuko jest jego — synem. Dopiero list proboszcza konawelskiego rozjaśnia całą sprawę.

Kiedy Vuko był dzieckiem, nazywały go dzieci spurjanem i to go z początku bolało, ale kiedy widział, że takich spurjanów spotkać można w każdej konawelskiej chacie, wtedy sobie pomyślał: „eh! pewnie tak być musi!...“ Tymczasem z latami w starym panu serce zmiękło, zapytał więc raz chłopaka, coby zrobił, gdyby jaki pan wziął go za swego syna i zapisał mu swój pałac, ot — taki, jak ów Lukszy? — Lecz wyrostek, skrobiąc się w głowę, odpowiedział naiwnie: „No — ta przedałbym go, — ta bym poszedł do Konawli, na wieś — sadzić łozy, a nie — tobym pojechał do Ameryki...“

Starzec umilkł i opuścił głowę na piersi. Wyrok był nad nim wyrzeczony.

Gdy chłopak odszedł, ciesząc się, że dostanie za żonę prostą Jelę i z nią będzie pędził dalej cichy, wieśniaczy żywot w rodzinnej ziemi, — wychodzi Luksza, ze świecą w ręce, wśród nocy, na ciemną terasę swego pałacu. Długiem spojrzeniem obejmuje całą czarną ciszę martwego, głuchego plafonu... Zdaje mu się, że stoi nad płytą jakiegoś strasznego grobu... Wstrząsnął się... machnął ręką... jakby odpędzał jakieś niewidzialne mary..., poczem jeszcze bardziej, niż zwyczajnie, zgarbiony, zgięty, stary — niepewnym krokiem odchodzi do swego pokoju — spać...

Niedługo i on, — ostatnie wspomnienie minionego życia sławnej republiki — będzie spał pod czarnymi cyprysami lapadskiego cmentarza. [1])

„Na tarasie“, jak i „Cienie“, jest utworem najzupełniej nowoczesnego typu. Nastrój, symbolika, liryczność scen, efekty dekoracyjne, niedopowiadanie myśli w najbardziej naprę-

---

[1]) Tak się nazywa cmentarz w Dubrowniku, od przedmieścia Lapad. Zowie się także Sv. Mihajlo.

żonej chwili, — to wszystko jest w tym obrazie, spotęgowane jeszcze nader żywemi, krzykliwemi scenami z życia dzisiejszego dubrownickiego highlife, skreślonemi z całym brutalnym ich realizmem i nagą prawdą. Sceny te na pierwszy rzut oka, i same sobą, zrobiłyby może wrażenie zwyczajnego, płytkiego wodewilu; wtrącone jednak w tę groźną smutkiem muzykę marsza żałobnego lub cichą, melancholijną melodyę elegii, są jakby umyślnym fałszem, wstrząsającym zgrzytem, na który znakomity mistrz sam pozwala dla wywołania tem potężniejszego wrażenia.

W całej tej części „Trylogii“ wszędzie pełno ruchu i życia. Scena roi się od różnolitych postaci i figur. Przesuwają się tu przed oczyma smutne, pochylone sylwetki resztek dubrownickiego włodarstwa, ciche, zamyślone twarze patrycyuszów i patrycyuszek; przelatują wesołe, krzykliwe, strojne figury ulic Paryża i wybrzeży Riviery i bezbarwne, golone twarze wielkomiejskich „dandysów“, lwów salonowych i kabotynów; ukazują się silne, zdrowe, jędrne ramiona dubrownickich wieśniaków i serdecznym śmiechem dźwięczą różowe, swawolne usta wiejskich dziewoj i migają czarne, świecące, chytre oczy kupców i handlarzy. Wszystko to żyje, rusza się, wre, kipi.

Są tu jeszcze, jak w poprzedniej części, cienie dawnych patrycyuszów, blade, bez głosu i życia, ale obok nich cały szereg dziwnych (a każda odmienna od drugiej) postaci, jakie tylko na przełomie dwóch wieków, po wielkiej walce dwóch przeciwnych idei, lub po jakiemś potężnem, podstawy wzruszającem wstrząśnieniu pojawiają się. Są to tacy, co niedość siły mają jeszcze, by zerwać z przeszłością, a za słabo związani z nią, by nie uledz silnym tchnieniom nowego wieku i wahają się niezdecydowani, niepewni, niezadowoleni; — są tacy, co straciwszy wszelką wiarę w przyszłość, zamknęli się w czarnych celach rozpaczy i melancholii; — są tacy, co zrezygnowawszy już ze starych idei, rzucili się w wir wielkoświatowego życia i w jego kosmopolityźmie utopili swój ból i upokorzenie, a nawet niektórzy wyparli się dawnych swych haseł, uważając je dzisiaj za śmieszne i głupie, kpiąc z nich i szydząc; — są tacy, co i tu umieli wynaleźć tę mediam auream viam i nie wypierając się tradycyi, ni dawnych swych przodków czci i miłości, poszli z postępem i z nowymi popłynęli prądami; — są i tacy, co nie porzucając pojęć przodków, reformować je tylko chcieli realną pracą i silną podtrzymać wiarą; — są wreszcie i tacy, co po

długich cierpieniach i doświadczeniach, samodzielnie doszli do osądzenia złotej przeszłości, sami zrozumieli jej błędy i grzechy i choć z żalem za czarem jej i wielkością, choć pełni melancholii i smutku, nowym poddawali się prawom.

Tych ostatnich przedstawicielem typowym jest hr. Lukša Menze (Menčetić), którego postać, obok postaci gospy Mare, jest najlepiej i najskończeniej skreślona. Jest jakby zazadą Vojnovića, że w utworach swych zawsze jeden lub dwa tylko charaktery maluje pełnemi, jasnemi barwami, resztę zaś obrazu, w jaki je ustawia, nastraja do nich i uzupełnia tylko tło, wszystkie dalsze postaci szkicując kilku silnymi rysami, nadając każdej jakieś specyalne cechy, wszystkie jednak zostawiając nieco w tyle, w półcieniu.

Tak jest i tutaj: z pomiędzy dalekiego tła obrazu uderzają siłą swych rysów Menčetić i siostra jego Mare.

Hr. Lukša Menčetić, złamany fatalnym losem ojczyzny, szukał zapomnienia i ulgi w pracy. Całą też młodość jej poświęcił, nie myśląc o własnej przyszłości, ni o własnem szczęściu. Nauczył się wiele, przestudyował wiele, przeżył i doświadczył wiele.... Owocem tych nauk i doświadczeń był wielki krok naprzód, zrozumienie i osądzenie choć częściowe wartości i znaczenia przeszłości. Zrozumiał szaleństwo szlachty dubrownickiej, kiedy chciała bronić praw swej małej republiki, gdy czas jej już przeszedł i trzeba się było poczuć członkiem jakiegoś większego, potężniejszego organizmu, — państwa całego, a nie jednego grodu, — narodu całego, a nie jednej uprzywilejowanej kasty. Zrozumiał, że błędem było nie do darowania ze strony plemstva dubrownickiego, że cofnęło się przed zgodą i wspólnem działaniem z ludem, a obłędem było, po upadku republiki, w klasztorach zamykać swe córki i synom pozwalać żyć w rozpuście i wołać: „zniszczymy się, wyginiemy, — a nie poddamy się nowym prawom nowego wieku!“ — zamiast postąpić za przykładem Wenecyi, która powiedziała sobie: „Urodziliśmy się Wenecyanami, umrzemy Włochamy!“ Toteż słusznie krytykuje Menčetić przeszłość i z żalem i gniewem mówi: „Gdyśmy już pogrzebali naszą władzę, to trzeba było przynajmniej tę ziemię ukochać, tę ziemię, którąśmy przez tysiące lat gnietli lub — sławili, ale dla siebie tylko; — trzeba było ukochać ją dla niej samej, jak się kocha żywe ciało swej matki lub żony, całą krwią i sercem.“

Lecz i w tych słowach czuje się, obok słusznego sądu przeszłości, jeszcze jakiś żal za nią, jakąś instynktową tęsknotę i beznadziejne pragnienie jej powrotu. Stąd takie wahanie, mimo stanowczego kroku, jakaś niekonsekwencya w postępowaniu i charakterze i w słowach Lukšy Menčetića.

Niektórzy krytycy chorwaccy, jak i Lisičar, widzą w tej niekonsekwencyi i słabości charakteru Lukszy winę poety; zaznaczają niezupełne, niedostateczne, niekonsekwentne wykończenie tej postaci. Zdaje mi się jednak, że zarzut ten niesłuszny, że ta właśnie niekonsekwencya w charakterze i postępowaniu hrabiego jest zupełnie uzasadniona, prawdziwa i trafna; że właśnie taką powinna być, jako ciekawy i niezwykły twór wyjątkowych stosunków, rzadkie zjawisko na przełomie dwóch idei wyrosłe; że właśnie ten człowiek, który patrzył na ostatnie już stadya upadku swego grodu, który zrodził się już w chwili ścierania się dwu tak wrogich sobie prądów ideowych, — takim, a nie innym być musiał, — taką, a nie inną musiał tworzyć komplikacyę pierwiastków jednego i drugiego kierunku, chwiejną, podatną, niekonsekwentną, w jeszcze większą wtrąconą otchłań niepewności długiemi studyami i pracą, które doprowadziły go do wręcz przeciwnego rezultatu, aniżeli serce jego, tradycyą przesiąknięte, pragnęło. Za mało zaś było w nim siły i energii, by serce zwalczyć, i pójść i działać wedle głosu rozumu i trzeźwego obrachowania.

Pięknie, trafnie i oryginalnie charakteryzuje Lukszę — Lisičar. „Gospar Lukša — powiada — jest to, że tak powiemy, charakter złożony z dwóch przeciwności: z poety, który raz śpiewał:

„Na svijetu će svemu biti lijeka,
Vlastelinu nikad ni do vijeka...“

i z człowieka, który bada wszystko, co jest nowe i zasnuwa się, kryje w teoretyczną rozprawę: „Dlaczego niestało włodarzy dubrownickich pod koniec XIX w.?“

To jest nadzwyczaj trafna charakterystyka i — zdaje mi się — zupełnie potwierdzająca moje słowa, a po części sprzeczna z innemi wywodami Lisičara. W Lukszy jest ten poeta, co boleje nad losem patrycyatu, — to serce, co zapomnieć nie może wielkości i sławy upadłej republiki, a które nie pozwala w praktykę, w czyn zamienić mądrych, rozumnych poglądów, jakie ta druga część duszy gospara, — ten ekonomista, tak świetnie

je w rozprawie swej teoretycznie rozwinął. Niestety tylko teoretycznie, — głową; serce, instynktowna miłość przeszłości w praktyce nie pozwoliły tych teoryi przeprowadzić. — A czyż takich ludzi nie wydają wielkie katastrofy, przewroty polityczne i społeczne? Czyż takich nie było i u nas po rozbiorze Polski? Czyż nie sądzono taksamo naszej szlachty?

Postaci Mary zbytecznem byłoby wiele miejsca poświęcać. Jest to trzeci, znakomity typ dubrownickiej matrony, nieco inaczej pomyślany, nieco odmienny pod wpływem zmiany i czasów i otoczenia, w jakich żyje, ale przecież wiele jeszcze posiadający rysów wspólnych z gospą Ane w pierwszej i gospą Mare w drugiej części „Trylogii".

Ta stara patrycyuszka oddaje się zupełnie rezygnacyi, zadowalając się tylko spełnianiem obowiązków i usuwaniem kłopotów starym, a zamykając oczy na dziwne, niezrozumiałe dla niej wybryki nowego pokolenia, na które już wpłynąć nie ma siły, nie potrafi.

* * *

I oto ostatnia karta wielkiego dzieła chorwackiego dramaturga, wielkiego nie rozmiarami, gdyż są to wszystkiego trzy dosyć krótkie odsłony,—ale wielkiego artyzmem, poezyą i myślą. Swą głęboką intuicyą, wielką miłością dla przedmiotu, który opiewał, gruntownemi studyami nad nim i potężną fantazyą poetyczną i malarską stworzył Vojnović dzieło, które stanąć może śmiało obok najpierwszych utworów nowej literatury europejskiej. Zwłaszcza w pierwszej części swej „Trylogii dubrownickiej" stanął Vojnović na takich wyżynach poezyi i natchnienia, do jakiej się nie wzniósł dotychczas w dramacie żaden z poetów chorwackich. Jedynie Kranjčević[1]) zachodzi na te zawrotne wyżyny, — on tylko tam płynie, ale na skrzydłach liryki. Toteż słusznie powiedział Lisičar, że tą „jedną odsłoną", tym jednym obrazem utorował Vojnović chorwackiemu dramatowi nowe drogi na przyszłość, dowiódł dobitnie, że niema może języka bardziej nadającego się do dyalogu i wogóle dramatycznej twórczości, jak język chorwacki; — słusznie powiedział, że „Čengić-aga" Mažuranića i „Trylogia dubrownicka" Vojno-

---

[1]) Por. Tad. Stan. Grabowski: „Współczesna Chorwacya" studya liter. II. Lwów, 1908 (Maniszewski i Meinhart).

vića — to dwa najpotężniejsze twory chorwackiego ducha od chwili odrodzenia do dnia dzisiejszego.

Potomek możnowładczej rodziny dubrownickiej, sam syn wielkich gosparów, co przez wieki dzierżyli w swej silnej dłoni berło władzy, co tyle wieków stali na straży złotego kościoła wolności i swobody, wychowanek ziemi, z której nieustannie wieje zapach pogrzebanych kości wielkich ojców, — od początku swej młodości czuł Vojnović w swem sercu jakieś cudowne, nieprzygłuszone, choć dalekie pienia złotostrunnych harf i kryształnych lutni, jakiś tajemny, zaklęty śpiew, co nie z tego płynąć musiał świata. Próżno uciekał przed tym tajemniczym głosem, który już w kolebce posłyszał, napróżno przygłuszyć go chciał zgiełkiem światowych walk i kłótni, turkotem życiowego biegu, szałem ziemskich uciech i namiętności. Z poza wszystkich światów i ludzi wyglądała zawsze przesmutno twarz ojczyzny, ze wszystkich aryi i śpiewów świata najgłośniej, najpotężniej wyrywała się nieskończona melodya jej bolu i przeszłości...

Wielki świat dzisiejszy, z całą swa kulturą nowożytną, z całym postępem i trzeźwym realizmem, kazał mu odpędzać te wabiące, lecz senne, fałszywe mary, kazał mu iść za głosem rozumu i zimnej rozwagi, a nie słuchać poszeptów jakiegoś cienia, co niewidziany, niesłuchany przez nikogo błądził długo gdzieś po krainach fantazyi, aż zaszedł do poetycznej duszy wrażliwego Dubrowczanina. Vojnović słuchał świata i rozumu — i zamykał ucho na podszepty czarownika, zasnuwał się w grubą tkaninę realnej pracy i działalności społecznej. Wiele niemych chwil spędził w tem odosobnieniu; długo borykał się w tej walce z samym sobą; kilkakrotnie uchodził szczęśliwie przed czarującem widmem, zawsze jednak jakąś nieprzepartą siłą ciągniony, powracał za niem i chłodził swe zmęczone, gorące czoło na ciemnych skałach wybrzeży lub w seledynowych falach raguzańskiej zatoki...

Poeta na pozór spokojny i zimny, — w głębi jednak straszną przechodził walkę ze swem sercem i owym szeptem, co potężniał w miarę oporu z dniem każdym, z chwilą każdą... Z szeptu stawał się głosem, — z głosu wołaniem,... wreszcie krzykiem niestłumionym... Krzyk szarpał serce i duszę, a myśl raziły jakieś światła zaklęte, jak leśne ogniki drżące... Krzyk rósł niezgłuszony, uderzał, rozsadzał ciasne ściany zbolałego serca, a z nim rosły i owe światła, — rosły w płomienie.... potężniały,... mózg cały obejmowały ognistemi językami.... aż wreszcie buchły nie-

powstrzymane ogromnem słońcem. Wraz z krzykiem wyrwały się na zewnątrz, lecąc w nieskończoność i chwiejąc się i kotłując w powietrzu.... aż w dziwne kształty i formy, w tęczowe się ścięły obrazy...

Przed oczyma poety,—jak u d' Annunzia—dokonała się „tragiczna wizya“. Oto — ujrzał poeta falujące marmury dalekich wód... Krwawe słońce w długie czerwone rany krajało ich ciało... Dalekie wybrzeża cyprysów czarnych i tuji w żałobne płachty skryły swe głowy przed strasznem i krwawem widmem... A na fale złotoczerwonych wód wypłynął cichy, jak motylich skrzydeł szept, wielki, rozchwiany statek.... stopy swe w wodach skrył i piersią je pruł potężną, a długiemi, białemi, jak śnieg żaglami, całował ostatnie, wieczorne obłoki... Statek chwiał się i wznosił,... opadał i płynął,... a wieniec skrzydlatych mew, jakby żywą koroną srebrzystą wieńczył go w koło masztu... i błyskał ku słońcu tonącemu w morzu... i ginął w różowych, obłocznych mgłach zachodu... A nad wszystkiem panował, nad wszystkiem, jak duch promienisty, powiewał perłowy barjak sv. Vlaha... Statek płynął wśród krwawych promieni po rozlanem złocie — wielki, wspaniały, świetlany,—nie wiedząc, nie przeczuwając, że tam, gdzie fale się krwawią rozchwiane — — przepaść okropna,... czarna,... bezdenna,... co czeka na łup niezwykły!...

Krzyk znowu targnął wpółżywą piersią poety, — tragiczna wizya spełniła się w rozpalonej fantazyi śpiewaka: ...barjak sv. Vlaha, — statek — Dubrownik, — rodzinny gród, ojczyzna — zniknęła w gardzieli szalonych wód!...

Oto — pieśń, jaką wyśpiewało poecie w duszy zwodnicze widmo przeszłości, — oto okropny, przesmutny obraz, jaki stawiła mu przed oczy wielka miłość ojczyzny, potężna pamięć przeszłości, niepojęta siła fantazyi... Poeta — rzekłby Wyspiański — w narodu swego

....„tak się przeszłość weśnił,
schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach skonu tajemnice,
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił...“
(St. Wyspiański — „Kazimierz Wielki“.)

Lecz Vojnović nie „spleśnił“, choć się rzeczywiście w przeszłość swego narodu „weśnił“ i wssał się i wchłonął. — Nie „spleśnił“, bo ujrzał tę pleśń i pajęczyny, co pokrywały stare

kości synów przeszłości, — bo poznał wszystkie jej kąty i cienie, brudy i mary, — otrząsł je więc z nich, oczyścił, odpruszył i — ujrzał przepiękną, jasną, słoneczną twarz czystej przeszłości...

Przez łzy szczerego bolu śmiało popatrzył przed siebie, — wśród gwałtownych uderzeń serca podniósł drżącą dłoń i silnym ruchem podniósł ciemną zasłonę, co długo pokrywała tajone grzechy przeszłości. Ze szczerym bólem, z ogromną, głęboką miłością, ale i ze sprawiedliwą, surową powagą sędziego odsłonił zasłonę i śmiało rzucił potężne słowa gniewu tym, którzy powiedli statek ojczyzny na morskie tonie i zaprzepaścili go w czarnej otchłani — grzechu i zniepravienia...

Druzgocące rzuca poeta potępienie zniepravionemu patrycyatowi; wskazuje na lud wiejski, co zdala dotychczas szedł za panami, wlokąc tylko ciężki wóz życia, na który oni wszelkie zwalali ciężary. Tą ideą wielką i świętą, która we wszystkich literaturach wszystkich narodów znalazła oddźwięk, — podniósł, spotęgował, uszlachetnił Vojnović swoje arcydzieło.

* * *

„Trylogia dubrownicka“ — to szczyt, to najwznioślejszy wyraz wielkiej i świętej miłości ojczyzny, która sypie brylantami uczucia i myśli, jak słońce płonie światłem nieugaszonem, przejasnem. Z niej wieje ten niezmierny czar, ten świeży dech, to święte natchnienie, jakie wieją i zawsze wiać będą z owych westchnień Mickiewicza — do Litwy, Ojczyzny, co jest, jak zdrowie, — z żałosnych harf Wenedów u Słowackiego, — z Ujejskiego „pożarów i dymów“, — z Wyspiańskiego „złotego rogu“, — nie mniej od nich smutna, boleśna, cierpiąca...

Ten smutek i ból rozsnuwa się po całym utworze Vojnovića, odzywa się z każdej jego sceny, z każdego wiersza; spogląda bolesnemi oczyma z każdej postaci jego, z każdego obrazu. Jak żałobny welon obsłania ten smutek i melancholia dramat cały; dalekie tylko i szare z za niego wyłaniają się kontury ruin zdruzgotanej ojczyzny i wolności — tylko ciche martwe cienie przesuwają się po zgliszczach ich i poszarpanych murach. — Jest to specyalna poezya bolu, — hymn śmierci, — pieśń umierania[1]).

[1]) W ostatnich czasach coraz bardziej zaczyna ten moment śmierci Dubrownika zajmować pisarzy i uczonych chorwackich. Pomijam już dzieło

Dubrowniczanin z krwi i kości, z rodu i pochodzenia, z przekonań i uczuć, chciał Vojnović swej ukochanej ojczyźnie, — sławnej, długowiecznej, patrycyuszowskiej republice — postawić pomnik, któryby długo i długo jaśniał, jak owa ostatnia, kryształna łza artyzmu, co wypłynęła z czystego ducha twórcy, — jak owa ostatnia perłowa łza boleści, co zawisła na jasnem oku potomka zmarłego grodu.

I Vojnović postawił go.

Łza padła, — westchnienie uleciało, — duch się odezwał, słowo artyzmu stało się ciałem, — a na stary, kiściami cyprysów rozszumiony cmentarz dubrownicki wśród ciszy i dalekich ech kościelnych dzwonów

„Jeden za drugim ciągną włodarze
W czarnych całunach; niosą ich fakiny
W ostatnią przystań, gdzie herbów ołtarze
Krzyż tylko wieńczy i wonne rozmaryny...“
. . . .

Zagrzeb 1905 — Warszawa 1908.

Tad. Stan. Grabowski.

NAJNOWSZE GŁOSY W SPRAWACH POLSKO-RUSKICH.

(Polemika p. Feldmanna z p. Trylowskim i ich „listy otwarte“ w *Krytyce.* — Dlaczego ukrainofilów nie było w Pradze? — „Der Neopanslavismus“, von Wladimir Kuschnir. — „O kwestyi ruskiej w przeddzień zjazdu wszechsłowiańskiego wobec mordu, popełnionego na osobie namiestnika Galicyi, uwag kilkoro“, skreślił E. Kaczrok. — Polemika o ks. metropolitę Szeptyckiego. — „Die Ermordung des Statthalters Grafen Andreas Potocki. Materialien zur Beurteilung des ukrainischen Terrorismus in Galizien. Von Stanislaus Zieliński. — Nieco wyjaśnień do genezy ukraińskiego radykalizmu. — Dr Stanisław Kasznica: „Skład wyznaniowy wschodnio-galicyjskiego ciała sędziowskiego“).

Nie brakło Rusinom szczerych i gotowych do ofiar przyjaciół wśród Polaków. W imię „współżycia dwóch bratnich narodów“ zwracały się do

historyka dra Luja Vojnovića p. n. „Pad Dubrovnika“ (*Savremenik* 1908), ale i w literaturze pięknej ten sam objaw da się zauważyć. Por. n. p. najnowsze szkice i obrazki Josipa Onyszkiewicza „Slike iz dubrovačke prošlosti“ I. sv. (1906) i „Zadnji trzaji“ („Ostatnie drgnienia“) uspomene prigodom prve stote obljetnice pada dubrovačke republike (1908) i i.

ukrainofilów wszystkie bez wyjątku stronnictwa polskie. Konserwatywne żywioły tworzyły były „nową erę“, a żywioły demokratyczne spodziewały się przyspieszonej demokratyzacyi Galicyi, gdyby się udało wciągnąć Rusinów do pracy pozytywnej nad reformą ustroju Galicyi. Ludowcy (a zwłaszcza *Kuryer Lwowski)* łamali długo kopie w ich obronie, a jednak przed dwoma laty sojusz ten rozerwał się. Próbował *Świat Słowiański* dogadać się — wiadomo, z jakim wynikiem.

Najdłużej wytrwał literacki organ radykalizmu polskiego, krakowski miesięcznik *Krytyka.* Dawne węzły osobiste z czasów, kiedy teorya jest wszystkiem, z czasów młodości, łączyły redaktora *Krytyki,* p. Feldmanna z p. Cyrylem Trylowskim, organizatorem „Siczy“. Jednako się niegdyś wyrażali o sprawach ogólno-ludzkich i stąd zdawało im się, że jednako rozumują i odczuwają. Łączyły ich wspólne sympatye ku socyalizmowi. Potem praktyka życia, zaciekawiająca człowieka coraz bardziej z przybywaniem lat wieku swego, poczęła wyciągać na jaw, że rozmaite myśli można podobnie wyrażać, zwłaszcza jeżeli się ma zamiłowanie do ogólników i więcej pochopu do reformowania ludzkości całej, niż np. gminy. Wyrażenia te same nie przeszkadzały dawnym przyjaciołom z młodych lat pojmować inaczej robotę publicznego życia i p. Feldmann wyglądał coraz bardziej na konserwatystę wobec p. Trylowskiego i miał mu niejedno do zganienia. Zamordowanie namiestnika, wychwalane tak ogniście przez ruskiego radykała, wydaje się zbrodnią (i to głupią!) polskiemu. Radykalizm polityczny, toż nie hajdamactwo! Zabrakło wreszcie i *Krytyce* cierpliwości i w zeszycie majowym ogłosił p. Feldmann list otwarty do Dra Trylowskiego — pięknie i godnie napisany — w którym rzuca dawnemu towarzyszowi publicznie zapytanie, co całe jego postępowanie ma właściwie znaczyć, oświadczając, że to z jego strony i nietylko z jego strony „ostatnia próba, czy są jeszcze pomiędzy uważającymi się za postępowych Rusinami ludzie, z którymi można — mówić?“

Długa, zawiła odpowiedź Dra Trylowskiego, pełna zarzutów i wyrzutów, umieszczona jest z całą lojalnością in extenso w lipcowym zeszycie *Krytyki.* Nie przynosi ona żadnych nowych argumentów, operując komunałami, które wszyscy umieją już na pamięć, — ale ma wartość dlatego że po raz pierwszy przywódca ukrainofilskiego radykalizmu wyznaje otwarcie, że ruch ten nie jest właściwie nacyonalizmem, ale socyalizmem przystosowanym do ruskich warunków w Galicyi wschodniej. Franko, Budzynowski i Trylowski założyli w r. 1896 „ukraińską socyalno-demokratyczną partyę“, a działalność swą ujęli w formy walki o prawa narodowe, bo im tak było dogodniej i tej taktyki trzyma się ten obóz stale. To wynika jasno z całej odpowiedzi Dra Trylowskiego, jak również z charakterystycznej jego konkluzyi:

„Spór polsko-ruski ma w sobie elementy społeczne i dlatego ludzie, jak Koneczny i Zdziechowski, wcale się w nim wyznać nie potrafią, kiedy np. polski robotnik socyal-demokrata i ruski chłop radykał porozumieją się ze sobą w przeciągu pół godziny“.

Polskie organizacye socyalistyczne zachowują się jednak z wielką rezerwą względem „ukraińskiego“ radykalizmu. Dr Trylowski propo-

nuje, jako sposób na porozumienie polsko-ruskie, współdziałanie i „rozumny podział sfer działalności" polskiej partyi socyalistycznej i ruskich radykałów w Galicyi wschodniej: „Wtedy i powierzchnia tarcia w sporze rusko-polskim zmniejszy się do możliwego minimum".

To jest przynajmniej powiedziane jasno: Bądźcie rewolucyonistami, jak my, a może się pogodzimy. Ale kto nie jest socyalistą, tego ogłaszać będziemy wrogiem.... narodu ruskiego.

Rewolucyjna propaganda stanowiła istotę rzeczy, a hasła narodowe służą tylko za pozór. Tak się ta rzecz przedstawia według polskiego sposobu rozumowania. Spostrzeżenie, któremu daliśmy zresztą wyraz już w roku 1906.

Krytyka była ostatniem pismem polskiem, wierzącem w możliwość porozumienia, a ma się wrażenie, że p. Trylowski rad jest, że może zarzucić jej, jej nawet, że.... czuć ją szlachetczyzną polską (sic!!). Ukrainofile nie chcą mieć żadnych polskich przyjaciół.

Korzystają też skwapliwie, żeby wszystkiego, cokolwiek się stanie, użyć do pogłębiania nienawiści względem Polaków.

Rusini „ukraińcy" nie wzięli udziału w konferencyi praskiej. *Diło*, a za niem inne pisma podały za przyczynę nieobecności, że... uciska się ich w Galicyi. Skorzystano i z tej sposobności, żeby zwracać uwagę na ten „ucisk", ale my, którzy dążymy do tego, żeby doświadczać w Rosyi takiego ucisku, jakiego doznają Rusini w Galicyi, wiemy, że to tylko frazes i że istotna przyczyna tkwi gdzieindziej. Nie jest nią nawet rzekoma uchwała, powzięta w Petersburgu, że Rusinów można dopuścić na zjazd tylko w takim razie, jeżeli uznają „jedność kulturalną" Rusi. Nie była to bowiem wcale uchwała rosyjskiej delegacyi na zjazd (której skład nawet wówczas nie był jeszcze ustalony), lecz grona osób, nie mających ani upoważnień, ani pełnomocnictw; roztelegrafowano „uchwałę", żeby zrobić wrażenie, ale to wszystko nie miałoby najmniejszego znaczenia, gdyby Rusini chcieli byli jechać. Udział w konferencyi zależał do ostatniej chwili od ich woli. Skoro mogli zawiadomić Dra Kramařa, że nie przyjeżdżają — mogli byli zawiadomić również, że przyjadą!

Stwierdzamy, że byli i są w obozie ukraińskim tacy, którzy pragną wciągnąć naród ruski w prąd słowiański. Dr. Okuniewski był za obesłaniem konferencyi i miał zwolenników. Ale, jak zawsze wśród Rusinów, zwyciężyli radykali, a ci są w przyjaźni z Berlinem i dlatego, tylko dlatego nie było Rusinów w Pradze. Nie pojechali, bo sobie tego nie życzą Prusacy.

Nieprawdą jest, jakoby mieli teraz jakiekolwiek szczególne powody usuwać się od pobratymców. To nie teraz się zaczęło, to już trwa dawno. Nie obsyłali nigdy zjazdów dziennikarzy słowiańskich, chociaż należało dbać o nie przedewszystkiem, żeby z pomocą prasy przekonać Słowian o istnieniu osobnego narodu, który chce, żeby go nazywano ukraińskim. Pozwalali moskalofilom reprezentować Ruś Czerwoną, a nieobecnością swoją zezwalali wyrabiać tej krainie coraz bardziej opinię ziemi „rosyjskiej". Działali wbrew swemu interesowi i wiem to, że byli tacy, którzy zdawali sobie z tego sprawę, a jednak milczeli i nie jechali. Poddawali się

jakiejś komendzie — widocznie nie ruskiej, skoro mogła wydawać rozkazy wbrew interesom ruskim, — ale takiej, której za nic w świecie nie chcianoby sobie zrazić, spodziewając się z tego posłuszeństwa widocznie na ogół korzyści znacznie większej, niż ponosi się czasem straty. Ulega się kaprysom tej siły, żeby ją tylko utrzymać w dobrym humorze. To niemiecka ambasada w Wiedniu, to Berlin!

Ze strony najkompetentniejszej w tej rzeczy, bo ze strony redakcyi *Ukrainische Rundschau*, wyszedł równocześnie z konferencyą rodzaj kodeksu, jak się ma prawowity Rusin zapatrywać na ideę słowiańską. Jestto broszura p. t. „Der Neopanslavismus", pióra samego redaktora *Uhrainische Rundschau*, p. Włodzimierza Kuschnira [1]).

Znamiennym jest sam tytuł broszury. Podczas gdy wszędzie mówi się i pisze o neosławiźmie, jako przeciwieństwie panslawizmu, wymyśla p. Kuschnir nowe określenie: „neopanslavismus". Zapewne Prusy pragnęłyby, żeby było nowe wydanie panslawizmu!

Autor spostrzega słusznie, że Polacy są osią, około której obraca się cała akcya niniejszego prądu słowiańskiego (str. 6). Cytuje broszurę wydaną przez Słowieńca w Cylei w r. 1906 p. t. „Der Panslawismus" (o której zamieściliśmy osobny artykuł w zeszycie z października 1906 r. p. t. „Program słowieńskiego patryoty", (cytuje *Świat Słowiański* (sądząc mylnie, że wychodzi dopiero od r. 1906) i dochodzi do wniosku, że „heute stehen die Polen im Vordergrunde einer grossangelegten panslavistischen Aktion" (str. 9). Zastanawia się, co mogło Polaków do tego spowodować i wywodzi jak najpoważniej, że to wszystko robi się tylko z nienawiści do Rusinów. Polacy i Rosyanie chcą się pogodzić dlatego, żeby złączyć swe siły przeciw „ukraińcom".

„To pewna, że główną pobudką Polaków do zwrotu na słowiańskie tory nie był związek ze Słowianami w celach walki z Prusami, nieproduktywnej i pozbawionej widoków powodzenia — ale pozyskanie przyjaciół do historycznej walki z Ukraińcami" (str. 11).

„Rzecz widoczna, że porozumienie polsko-rosyjskie nie na uczuciach bynajmniej polega. Celem jego wspólna walka z ukraińśtwem, prowadzona od wieków przez każdego z nich na własną rękę. Koszta zbliżenia polsko-rosyjskiego — owego warunku wstępnego panslawizmu — ma się polikwidować na Ukraińcach" (str. 12).

„Niemniej przeto stanowią Glebowicki i towarzysze, jakoby drogi zakład porozumienia polsko-rosyjskiego. Ma ono stanąć pod znakiem walki ze wspólnym wrogiem. Tym wrogiem wspólnym są Ukraińcy" (str. 13)

I tak ciągle w kółko...

„Neopanslawizm" jest spiskiem uknutym na naród ruski, a więc jakżeż mają Rusini („Ukraińcy") popierać własną zgubę? — Oto treść broszury.

Wiem, że skutkiem odmiennego całkiem sposobu rozumowania[2]), Rusini wierzą w wiele rzeczy, których nikt inny nie brałby ani na chwilę

---

[1]) Tak się zawsze pisze, przez *sch*, a więc Niemiec. mimo ruskiego imienia chrzestnego?
[2]) zob. o tem w zeszycie z maja, str. 516.

na seryo; wiem, że często zupełnie szczerze zajmują się formalnemi nieprawdopodobieństwami i wprawiają w osłupienie swemi wywodami; — ale tym razem trudno jednak przypuścić, żeby p. Kuschnir wierzył w to, co napisał. Jeżeli bowiem zna *Świat Słowiański* (który uznaje organem „polskich panslawistów“), musi wiedzieć, że miesięcznik nasz chciał koniecznie porozumienia z Rusinami, że był długo, bardzo długo, jakby „ukraińskim“ organem, że robił istne wysiłki, żeby mieć przyjaźń z ukraińcami — ale nie udało mu się[1]). A zatem geneza polskiego słowianofilstwa nie ma nic wspólnego z ukrainofobią; była raczej ukrainofilską.

Wie też p. Kuschnir, że większość rosyjskich „neoslawistów“ uznaje ruską narodowość.

Wie w końcu, że gdyby ukraińcy byli wzięli udział w konferencyi — nie byłoby się konferencyi odwoływało! — a zatem, co tu mówić o spisku przeciw ukrainizmowi?!

Wywody p. Kuschnira uważamy za wskazówkę, jak ze stanowiska pruskiego pragnie się, żeby się Rusini na tę kwestyę zapatrywali.

„Ten nowy panslawizm zawiera w sobie dla Rusinów (für uns Ruthenen — tym razem: Ruthenen) niebezpieczeństwo jeszcze większe, niż dawniejszy“ (str. 8). Chodzi o to, żeby nietylko zapobiedz krzewieniu idei słowiańskiej wśród Rusinów, ale pogłębić, utrwalić przy tej sposobności jeszcze bardziej antagonizm polsko-ruski.

Zaznaczono natomiast w broszurce z całym naciskiem inny punkt widzenia: że Rusini nie mają powodu obawiać się nawały niemieckiej, że pomiędzy interesami Niemiec a Rusi żadnych sprzeczności niema. A więc: przeciw Polakom i Słowiańszczyźnie z Prusami! W przyjaźni pruskiej zbawienie Rusi! Hasło starsze znacznie od neoslawizmu....

Znamiennem jest, że autor stara się przedstawić ruch słowiański, jako niebezpieczny dla Austryi, a nawet wręcz przeciw niej zwrócony, cytując w tym celu... *Nowoje Wremia* (str. 8). A właśnie równocześnie wysila się Berlin, żeby w Wiedniu tak się na tę rzecz zapatrywano i zupełnie tak samo pisuje *Neue freie Presse.*

Rozbudzony na nowo prąd słowiański dał też pochop do ogłoszenia polskiej broszury, jakkolwiek specyalnie słowiańskiego niema w niej doprawdy nic, chyba tylko na tytule:

O kwestyi ruskiej w przeddzień zjazdu wszechsłowiańskiego i wobec mordu popełnionego na osobie namiestnika Galicyi uwag kilkoro skreślił E. Kaczrok (Krosno 1908).

Autor jest wyraźnym słowianofilem i upatruje dobro Polski w idei słowiańskiej. Ale Słowiańszczyzna jest rozdwojona:

„Czyż przez tę przepaść, która leży między tworem kultury bizantyńskiej a łacińskiej, między prawosławiem a katolicyzmem, między samodierżawiem a wolnością, nikt nie potrafi mostu zbudować? Owszem, historya wskazuje nam, że pośredni węzeł, który łączy zachodnią Słowiańszczyznę z wschodnią, stanowią Rusini“.

---

[1]) Udało mu się za to przeprowadzenie dowodu, że Ukraińcy zgody nie chcą, że są z zasady wrogami polskości i żadną miarą, pod żadnym warunkiem, za żadną cenę do porozumienia nie dopuszczą.

Niestety, „stosunek Polski do Rusi z samych błędów politycznych się składa“. Dlatego, że Szewczenko zwracał się przeciw Moskalom, my już za swego przyjaciela go poczytaliśmy. Przeoczono, że zdaniem Szewczenki „na ziemi nietylko niema nic świętego, lecz nawet niema Boga“, bo „jedyny poeta ukraiński był nietylko ateistą, lecz i skrajnym anarchistą“. Autor przytacza następnie z poezyj Szewczenki ustęp, jak Gonta zabija własne dzieci i powiada:

„Konia z rzędem temu, co w chińskiej lub indyjskiej literaturze wstrętniejszej sceny opis znajdzie. Ojciec zarzyna własne dzieci dlatego, że one nie ubiły swej matki, a za małe były, by rżnąć swych wrogów Polaków“.

Kiedy w Galicyi wschodniej zapanowało moskalofilstwo, „wtedy to — pisze p. Kaczrok — nasi mężowie stanu, hołdując starej a wypróbowanej zasadzie: divide et impera, poczęli idee Szewczenki o wolnej, „samostijnej“ Ukrainie w Galicyi krzewić. Słynny ukrainofil Pańko Kulisz podjął się za skromną opłatą 10.000 złr. rocznie, przeszczepiać na Ruś halicką nieco poprawioną kulturę ukraińską. Obiecywał on wytępić nią wszelką sympatyę do Rosyi i nadać polityce ruskiej w Galicyi kierunek przyjazny dla Polaków i katolicyzmu“. Szkoda, że autor urwał w najciekawszem miejscu, a mianowicie, kiedy spodziewaliśmy się... dowodów. Bez dowodów nie wypadało podawać twierdzenia. W sprawie tak ciekawej, jak galicyjski okres z życia Kulisza, radzibyśmy mieć informacyj jak najwięcej i jeżeli p. Kaczrok ma o tym epizodzie wiadomości pozytywne, powinien podać je do publicznej wiadomości. Ogół wie tylko o słynnej „Krasance“; ale co ją poprzedziło i dlaczego w niedługim stosunkowo potem czasie Kulisz skręcił na inne tory — o tem nic się nie wie.

Autor gani następnie proces Olgi Hrabarowej — w czem wszyscy dziś przyznają mu słuszność — a potem przechodzi do sprawy reformy Bazylianów:

„Największy przyjaciel Zakonu św. Lojoli nie nazwie reformy tej udałą“. Należało zostawić tę reformę Rosyanom, Czechom lub nawet Niemcom, „jak to początkowo uczyniono“. Żyli wówczas w Zakonie uczeni rosyjscy OO. Martinow i Pierling. Podjęli się tej reformy Polacy i „zbudowano w klasztorach katolickich szewczeńkowską wzniosłą Ukrainę“. I dodaje autor: „Nie wiem, czy idee ukraińskiego apostoła ateizmu przyjęły się wśród zreformowanych Bazylianów, pewnem jest jednak, że nie ustępują mu oni w niczem w nienawiści do Polaków, którą pierwsi dotkliwie uczuli ojcowie reformatorzy (Jezuici polscy), kwapiąc się co rychlej nieudałą reformę zakończyć“. Pozostała im jedna tylko nadzieja, a to w młodym hr. Andrzeju Szeptyckim, wstępującym do zakonu bazyliańskiego.

O metropolicie wydaje p. Kaczrok sąd, jaki dotychczas nigdy jeszcze nie wyszedł z ust Polaka. Zdaniem jego, metropolita Szeptycki „stał się politykiem, którego osobistość kiedyś pod sąd historyi oddana, stanie w godnym szeregu ze zdrajcą Chmielnickim... Utinam falsus sim vates, metropolita Andrzej dla przypodobania się roznamiętnionym ukraińcom wyprze się jeszcze kiedyś wiary, jak się narodowości swych ojców już wyparł“.

Jakżeż można pisać takie rzeczy lekkomyślnie, na prędce, na kolanie, w broszurce o 20 str. druku, wywołanej „aktualnościami“?! Wszystko, co ogół wie o metropolicie, naprowadza na wniosek, że jest on ofiarą pomyłki ideowej, a męczennikom idei należy się cześć. Jeżeli idea, której się poświęcił, okazuje się złudzeniem, — tem większa tragedya duszy ks. Szeptyckiego, tem większy w takim razie należy się mu — szacunek.

Ktoby chciał zmienić ten sąd o ks. metropolicie, winien okazać cały materyał dowodowy, szczegółowo opracowany i gruntownie krok po kroku, rzecz po rzeczy, utwierdzony; ale jakżeż można rzucać takie oskarżenie lekką myślą, ot tak „przy sposobności“?!!

Młody chłopiec wstępuje do Bazylianów i przyświeca mu nadzieja, że może zostać metropolitą, a natenczas z pomocą Bożą pogodzi Polaków z Rusinami, utwierdzi na Rusi ideę katolicką i rozpocznie nowy okres zgodnej, wspólnej polityki obydwóch narodów, zmierzających do wspólnego celu. A gdyby mu się było udało? Czy nie nazywanoby go mężem opatrznościowym, czy nie danoby mu jednego z pierwszych miejsc w polskim Panteonie? Czegóż chciał ks. Szeptycki? Tego, czego chcemy wszyscy, żałując, że to niewykonalne.

Krok młodego hr. Szeptyckiego nie był też uczyniony wbrew intencyom polskiego narodu, ale — pamiętamy dobrze te okoliczności — towarzyszyło mu entuzyastyczne uznanie.

Etycznej wartości człowieka nie osądza się według tego, czy mu się powiodło lub nie. Oto dziedzina, w której

mierz siłę na zamiary,
nie zamiar według sił!

Niestety, ofiara ks. Szeptyckiego była z góry przesądzona, że będzie płonną, że nie będzie miała wartości innej, jak etyczną. Ale jakżeż nie miał się łudzić młody chłopiec, skoro łudzili się najpoważniejsi nasi statyści, a łudzi się dotychczas instytucya tak poważna, jak zakon OO. Jezuitów, łudzą się liczne grona uczonego duchowieństwa w całej Słowiańszczyźnie (ruch cyrylo-metodejski), łudzi się kurya rzymska, łudzi się długi już szereg papieży.

Sprawa ta — to cząstka powszechno-dziejowej kwestyi o syntezę zachodu ze wschodem, tej kwestyi, o którą rozbiło się państwo polskie, a zdemoralizowało społeczeństwo. Synteza ta jest utopią, lecz mało kto wie o tem i dużo jeszcze, bardzo dużo najszlachetniejszych serc i najtęższych umysłów pójdzie jej na ofiarę.

Uważaliśmy za prosty obowiązek z naszej strony tę polemikę o ks. metropolitę Szeptyckiego.

Do jakiejż konkluzyi dochodzi z tego wszystkiego p. Kaczrok?

Po zabiciu namiestnika „u zwłok zamordowanego dygnitarza z ręką na sercu przyznać nam trzeba, że winę przedwczesnej śmierci jego ponosimy wszyscy, którzyśmy przeciw moskalofilizmowi ukrainofilizm do życia powołali, weń wierzyli i protegowali go. Dzienniki nasze głoszą dziś wprawdzie, że strzały Siczyńskiego przecięły wątek paktów ugodowych z ukraińcami, lecz niedawno jeszcze o zdradę stanu, o przekupstwo rublami te same dzienniki obwiniały partyę staroruską, twierdząc ironicznie, że z garstką chłopów z poza Żółkwi układać się nie warto. Dziś stanęło ukraiń-

stwo nago, we właściwej swej postaci bez płaszczyka „nowej ery“, skrojonego przez Romańczuka i Barwińskiego, a jaskrawe oświetlenie, które pada z reflektorów pism niemieckich, pochwalających mord, okazuje ponad wszelką wątpliwość nielojalny prusofilski i antysłowiański kierunek ukraińskiej polityki“.

„Cóż więc dziś nam czynić należy? Za nienawiść zemstą płacić lada dureń potrafi. Wczoraj jeszcze protegowaną partyę ukraińską dziś gnębić, a tem samem przyznać się do wielkiej politycznej pomyłki — na to nie trzeba wielkiego polityka. Osięgnąć porozumienie z całym narodem ruskim bez względu na jego partye polityczne, jest celem, do którego dążyć winniśmy“.

Konkluzya ta jest łamigłówką. Jeżeli z całym narodem, a więc i z ukrainofilami. Jak jednak porozumieć się z tymi i z tamtymi, skoro ci uważają się za członków innego narodu, a tamci innego? A może autor ma na myśli cały naród ruski na całym jego obszarze i pragnie szukać porozumienia po tamtej stronie kordonu? Nie wiadomo, co autor chciał powiedzieć.

Porozumienia szukać należy „na gruncie wspólności dziejowej i wspólności interesów obecnych... i tutaj ona stopniowo, ale niemylnie znaleźć się musi; nietylko bowiem interesy nasze, ale i grożące nam niebezpieczeństwa są wspólne...“ „Urzędowa Rosya nie przejrzała jeszcze, lecz społeczeństwo rosyjskie znajduje już dzisiaj coraz częściej słowa sympatyi dla nas i nagany dla polityki gnębienia naszego narodu. Zmienić się więc musi też i nasz stosunek do kwestyi małoruskiej“.

Z tego ustępu odnosi się znowu całkiem inne wrażenie: To jest tak powiedziane, jak gdyby autor nie uznawał odrębności narodowej Rusinów, a przez porozumienie z całym narodem ruskim rozumiał porozumienie z Rosyą.

Dziwna rzecz, jak można wyrażać się tak niezrozumiale, żeby pozostawiać czytelnika w wątpliwości co do zasadniczych momentów własnej myśli. Kto chce zabierać głos w sprawach publicznych, musi się nauczyć mówić wyraźnie.

Dużo materyału i to zebranego systematycznie, zawiera broszura wydana przez polskie biuro prasowe we Lwowie:

„Die Ermordung des Statthalters Grafen Andreas Potocki. Materialien zur Beurteilung des ukrainischen Terrorismus in Galizien. Von Stanislaus Zieliński. Herausgegeben von dem polnischen Pressbureau in Lemberg“. (16-o, str. 67).

Broszura wydana dla cudzoziemców, ma jednak wiele materyału informacyjnego i dla polskiego czytelnika, a zwłaszcza rozdział pierwszy, zajmujący się powstaniem i rozwojem ukrainofilskiego radykalizmu we wchodniej Galicyi. Nie tak prędko jeszcze będzie można zbadać samą genezę tego ruchu, bo „tu wszystko ciemne, poplątane, niezrozumiałe; jak źródła i środki pieniężne, tak też psychologia kierowników“. Formuły zwykłe europejskie dla tego rodzaju zjawisk tu nietylko nie starczą, ale okazują się wręcz fałszywemi“.[1])

---

[1]) por. uwagi o ruskiej psyche w *Świecie Słowiańskim*, zeszyt majowy, str. 516.

Geneza ukrainofilskiego radykalizmu jest „zagadką, jest tajemnicą, otaczającą całe to zjawisko, a której nie zdradzono ani słówkiem, jakby skutkiem solidarnego porozumienia się wszystkich uczestników“. Można powiedzieć tylko tyle, co ukrainofile sami obwieścili.

Za inicyatora ruchu uchodzi Michał Piotrowicz Dragomanow, który bawił w Galicyi w latach 1875—1876. Zastał tu dobrze zorganizowanych moskalofilów i mniej zorganizowany kierunek rusko-narodowy, popierany przez Polaków, a wyznawany głównie przez ruskich nauczycieli. Moskalofilska młodzież miała w uniwersytecie lwowskim swój „Kružok“ i wydawała własne czasopismo w latach 1874–1876 (nie podano tytułu!). Zdarzyło się, że umieszczono tam jakieś opowiadanie rosyjskie o tendencyi radykalnej. Powstały z tego powodu niesnaski, walne zgromadzenia, zmiana redakcyi, zwycięstwo radykałów. Na czele nowego komitetu redakcyjnego stają Pawlik i Franko. (Tak opowiada sam Dragomanow w petersburskim miesięczniku *Diło,* 1881, Nr. 9).

Dragomanow nabył przekonania, że (własne jego słowa) „w Galicyi my (radykali) mamy dla siebie pole, na którem możemy pracować z większą swobodą i pozyskać wpływ szerszy i głębszy, niż w rosyjskiej Ukrainie“. Toteż opiekował się tym ruchem stale i kierował nim z Genewy. Za dostarczane przez niego pieniądze wydawał Pawlik kolejno czasopisma *Druh, Hromadskij Druh, Dzwin, Mołot.* Za wystąpienie przeciw instytucyi małżeństwa naraził się na proces; przed sądem oświadczył, że należy znieść małżeństwa kościelne, a zaprowadzić cywilne na czas ograniczony, np. na trzy lata. Skazany na areszt, zbiegł do Genewy. Posyłał stamtąd France artykuły. Raz posłał drukowaną odezwę do ludu, polecając rozrzucić ją na Pokuciu; ale sami przyjaciele Franki spalili ją, bojąc się policyi.

Od r. 1882 udziela ruchowi poparcia materyalnego Mikołaj Kowalewskij z Kijowa.

Pawlik (wróciwszy z Genewy) i Franko biorą następnie udział w partyi „narodowej“, nie radykalnej. Franko redaguje *Zorję* (1883—84) i jest wraz z Pawlikiem współpracownikiem *Diła;* ale niebawem wykluczono ich stamtąd. Od r. 1890 wydaje Pawlik za pieniądze dostarczane przez Kowalewskiego *Narod* (przez jakiś czas w Kołomyji, zresztą we Lwowie). Kowalewskij przyjeżdża dwa razy do Galicyi (1893 i 1894), gorszy się marnotrawstwem Pawlika (25 numerów *Naroda* kosztowało 4500 rubli!), ale długi płaci. Franko twierdzi, że Kowalewskij zmarł w r. 1897 ze zmartwień, jakie mu Pawlik wciąż sprawiał.

Dragomanow umarł w r. 1895. Pomiędzy zwolennikami jego nastąpił rozłam na „starych“, trzymających się ściśle doktryny mistrza i „młodych“, zaznaczających bardziej kierunek nacyonalistyczny. Wśród „starych“ przodowali obok Pawlika, (który jednak wycofał się w r. 1897 z czynnego udziału, zostawszy bibliotekarzem Towarzystwa naukowego im. Szewczenki) Dr. Daniłowicz, redaktor *Chliboroba* w Kołomyji i Dr. Trylowski; wśród „młodych“ Franko i Budzynowski, a ich organami *Radikał* i *Hromadskij Hołos* (od 1895). Umiarkowańszy (względnie) był *Stryjskij Hołos,* wydawany przez Dra Ochrymowicza i Dra Oleśnickiego.

Osobno występowała „partya nacyonalna“, która zerwawszy z „moska-

lofilami“ i złożywszy przez usta Romańczuka znane oświadczenie w Sejmie (1890 — „nowa era“), otrzymała gimnazya, subwencye sejmowe i katedry uniwersyteckie. Polacy radowali się, że zgnietli „moskalofilstwo“ — ale:

„Jakiemż było ich zdumienie, gdy niedaleka przyszłość okazała, że stronnictwo, dla którego to wszystko uczyniono, wogóle nie istnieje, że w Galicyi wogóle niema „Rusinów“, że to, co uważano za stronnictwo rusko-narodowe, było tylko prawem skrzydłem stronnictwa nowego, dotychczas nieznanego, ukraińsko-radykalnego. Zmiana nastała tak szybko, że formalnie brakło czasu zoryentować się w tem“.

O ruchu radykalnym nie wiedziano, bo... nie troszczono się o to, co się tam robi pomiędzy ludem i nie czytywano pisemek dla ludu przeznaczonych.

Zaczęły się strejki rolne, „Sicze“, hasło „za San!“, tysiące wieców radykalizm agrarny, borby w uniwersytecie, aż doszło do Siczyńskiego.

Po raz pierwszy, dzięki p. Zielińskiemu, mamy przedstawiony schemat historyi ukrainofilskiego radykalizmu, o ile to jest dzisiaj wykonalne. „Są to zaledwie luźne szczegóły, ledwie jakieś rysy z obrazu; podnoszą one nieco zasłonę tajemnicy, ale kto dowie się kiedy całej prawdy?“

Następne rozdziały opisują radykalizm ukrainofilski w uniwersytecie lwowskim, zamordowanie namiestnika, stanowisko prasy ukrainofilskiej a staroruskiej wobec zbrodni, głosy prasy polskiej, w końcu stanowisko zajęte przez Koronę i rząd. Są to rzeczy znane już dokładnie naszym czytelnikom. Broszura pisana jest bardzo zajmująco, ułożona przejrzyście; zyskujemy w p. Zielińskim widocznie dobrego znawcę przedmiotu i dobre pióro, a wobec niedostatku polskich znawców spraw ruskich, ważny to nabytek.

Badaniu i oświetleniu spraw ruskich poświęcił się znany statystyk lwowski Dr. Stanisław Kasznica. Oby znalazł współpracowników równie zdatnych i sumiennych! Jego „Skład wyznaniowy wschodnio-galicyjskiego ciała sędziowskiego“ powinien być zapowiedzią całego szeregu podobnych prac.

Ucisk! Ucisk! wołają wciąż Rusini. A tu pokazuje się, że w ciągu 40-lecia od r. 1866/7 do 1905/6 uczęszczało na wydziały prawnicze w obu uniwersytetach krajowych przeciętnie rocznie 85% Polaków, a zaledwie 13% Rusinów; w samym uniwersytecie lwowskim w ciągu 25-lecia 1881/2 do 1905/6 Polaków 82%, Rusinów 17%; we wszystkich uniwersytetach austryackich w temże 25-leciu Polaków przeszło 87%, Rusinów około 13%. W stosunku do tych cyfr są Rusini stanowczo uprzywilejowani w sądownictwie galicyjskiem, i to coraz bardziej, bo od dziesięciu lat Polacy stale cofają się w tej magistraturze, Rusini zaś wzrastają liczebnie.

„Ministeryum sprawiedliwości pod obecnym swym zarządem wzięło sobie wprost za cel forsowne zrutenizowanie sądownictwa wschodnio-galicyjskiego. Świadomość tego istnieje wśród młodzieży naszej prawniczej; nic też dziwnego, że bacząc na swoją przyszłość, zaczyna ona coraz bardziej stronić od zawodu sędziowskiego“. A Dr. Kasznica nie mówi na wiatr. Praca jego — to szereg najszczegółowszych tabeli statystycznych,

to zbiór faktów, zebranych mozolną pracą, dla której nie można mieć dość słów uznania.

Jeżeli niniejsza praca Dra Kasznicy jest — jak pragnęlibyśmy tego gorąco — początkiem systematycznego badania Galicyi wschodniej pod każdym względem tą metodą, w takim razie powitać nam wypada początek poważnej pracy, jedynej, która stanowić może fundament do należytego oryentowania się w stosunkach. Znawstwo rzeczy — toć pierwszy warunek wszelkiej rozumnej akcyi! Na nic programy, gdzie niema znawstwa przedmiotu! Nareszcie doczekaliśmy się czegoś konkretnego, pozytywnego, jesteśmy też z całym szacunkiem dla inicyatorów i autora.

Twierdzenie, że młodzież polska ma obowiązek uczyć się po rusku, przyjmujemy również z największem uznaniem, jako nawoływanie przezorne troskliwego o przyszłość obywatela.

W POMROKACH DUSZY ROSYJSKIEJ.

Л. АНДРЕЕВЪ, Цар Голод, Представленіе в 5 актах съ прологомъ. Петербургъ 1908. Изд. „Шиповникъ". (**L. Andrejew**, *Car Gołod*, sztuka w 5 aktach, z prologiem. Petersburg 1908 r. Wyd. „Szipownik").

Санинъ, романъ АРЦЫБАШЕВА. Петербургъ 1908 г. Изд. II. (skonfiskowane w Rosyi). (**Arcybaszew:** *Sanin*, powieść. Wydanie drugie. Petersburg 1908 r.).

I.

Trudno o wymowniejszy dowód znanej prawdy, że literatura daje wszechstronne odbicie duchowego życia społeczeństwa w każdej epoce, jak przykład współczesnej literatury rosyjskiej.

Wybrałem *Cara Gołoda* i *Sanina* nie dlatego, żebym im przypisywał większą wartość artystyczną, ale żadne współczesne utwory nie roztaczają przed nami uczuć i wyobrażeń różnych warstw społecznych, zwłaszcza zaś inteligencyi, tak wszechstronnie, a przy tem Andrejew ma zupełnie wyjątkowe stanowisko w literaturze rosyjskiej. Wszak w niego zapatrzoną jest większa część ogółu czytelników w Rosyi. Wpływ jego na młodszych pisarzy rosyjskich — (i nietylko rosyjskich) — jest wprost olbrzymi, a na młodzież — niesłychany. Z tych względów zatrzymam się dłużej także wpierw nad artystyczną stroną *Cara Gołoda*, ostatniej większej rzeczy, którą Andrejew wydał.

Oto treść utworu:

Prolog. Noc. Stara dzwonnica (symboliczna). Car Gołod, mężczyzna w sile wieku, w towarzystwie sztywnej, małomównej Śmierci, rozprawia ze zgrzybiałym dzwonnikiem Czasem. Wzywa go, aby uderzył na alarm, gdyż miara cierpień nędzarzy przepełniła się. Przywróci sprawiedliwość na ziemi Bunt.

Akt I. Dźwignie, koła, śruby, motory w ruchu — fabryka. Królestwo Maszyn. Przygnębieni, nędzni robotnicy intonują pełną rozpaczy,

nienawiści i zabobonnego lęku modlitwę do Maszyn. Patetycznie przemawia Car Gołod, skłaniając ich do buntu. Wahają się. Przypomnienie o grożącej ich rodzinom zagładzie, oraz ukazanie się Śmierci przechyla szalę. Pójdą.

Akt II. Na piętrze „huczny bal“ sytych, w suterynie odbywa się narada elity czerni — mordercy, pijacy, prostytutki. Przewodniczy Chuligan. Radzą nad wygubieniem „posiadaczy“, nad zniszczeniem całej ich znienawidzonej kultury. Car Gołod przyrzeka pokierować powstaniem i wygrać. Uradowana czerń puszcza się w tany, Car Gołod ze śmiercią w pierwszej parze prowadzi kankana.

Akt III. Car Gołod w przebraniu sądzi głodnych za znaczne, drobne i nic nie znaczące wykroczenia. Wyrok zawsze na śmierć. Przytakują temu z uznaniem widzowie ze sfer „sytych“.

Akt IV. Głodni mordują, burzą i palą zabytki wiedzy i sztuki. Na sali (z II aktu) zgromadzili się „syci“. Czekają na wypadki. W oddali wre walka. „Syci“ nikczemnie drżą o własną skórę; co chwila wybucha panika. Wstrętne sobkostwo, płaszczące się plugastwo — oddane z wielką plastyką. Dzięki sprzeniewierzeniu się głodnym Cara Gołoda i dzięki wybuchowym pociskom inżyniera Demokraty, bunt pokonano. Okrwawiony Car Gołod przybywa z oświadczeniem, że znów jest najpokorniejszym lokajem „sytych“.

Akt V. „Syci“ wybierali się na tryumfalne zwiedzenie świeżego pobojowiska. Wtem groźny pomruk z trupów poległych: — „My powrócimy. Gorze Wam!“ W popłochu biegną „syci“. Dziko chichoce Car Gołod.

I koniec.

Ileż tu okropności, dramatycznych efektów, pretensyonalnych dekoracyj! Ileż tu ustępów niedołężnych, scen proszących się do pamiętników słynnego Sherlocka lub Nicka Kartera. Jaka obfitość kwiatków iście „kryminalnej“ twórczości! Jaki zanik artystycznej miary, poczucia względnego chociaż taktu i smaku. Jest to prawdziwa wystawa obrzydliwości i „strasznych“ widowisk, budząca najwyższy niesmak przesadą, lichym układem, brakiem podkładu psychologicznego. Cała sztuka, to jedna długa tragiczna ramota.

W Carze Gołodzie niema jednostek bohaterów i to jest bardzo zajmujące, jako próba oddania psychologii tłumu. Działają tu stany, obok elementarnych potęg przyrody, symbolizowanych w postaciach Cara Gołoda, Śmierci i Czasu. Przejawiła się w tem skłonność autora do tragicznych efektów dekoracyjnych. Innego tłómaczenia nie znajdujemy, postacie te bowiem nie są wywołane żadną wewnętrzną potrzebą sztuki, z tego powodu bywają wymuszone, przykre, jakby natrętni goście. — Chwiejny, niejasny udział w akcyi mimo pozorów zewnętrznego życia, pozbawił ich indywidualności głębszej, szerszego podkładu. Pojęte raz jako postacie mniej więcej ludzkie, raz jako symbole, przyczyniają się one do ostatecznego chaosu w sztuce.

Jak oddawał Andrejew psychologię tłumów? Wyprowadza w tym celu szereg osób, z których każda przemówieniem i zachowaniem się podkreśla pewien rys, cień czy światło charakterystyczne dla całej masy. Niestety proporcye tych świateł i cieni są bardzo nierówne, często przykre.

Psychologia ta malowana zgruba, kleksami, zaznacza się na czarnym niesłychanie tle rysunkiem ostrym, niedbałym, ordynarnym. A przytem nadzwyczajny nieład! Najwymowniej utrwala się w pamięci zwierzęce przerażenie „sytych“ w IV akcie. Najlepiej pod względem artystycznym wypadły istotnie wspaniałe co do nastroju i oryginalności — dekoracye, tło; najgodniej się prezentuje malarska, impresyonistyczna strona twórczości Andrejewa.

Car Gołod napisany został, jak żeby dla planu, jak żeby koniecznym był ogniwem do wykonania złożonego z kilku części pomysłu. W sztuce brak pogłębienia, dojrzałej myśli. Znać pośpiech, niepewność, zbywanie treści. Stąd pochodzą niezawodnie główne wady utworu — błędne założenie, przesada, sztuczny koturn tragiczny. Nawet styl Andrejewa, zwykle pełny namiętności, głębi i grozy przygnębiającej, dosięga tu absurdu, obraca się w coś dziwnie nienaturalnego, melodramatycznego.

Ale jeżeli Car Gołod posiada tyle kardynalnych grzechów ze stanowiska artyzmu, to zawiera także niewyczerpane skarby do poznania współczesnej duszy rosyjskiej. Roztrząśnijmy społeczno-psychologiczną treść sztuki. Pomysł, zamiar, był naprawdę niepospolity, przechodził prawie ogromem i powagą siły ludzkie. Dać w przecięciu obraz całego społeczeństwa, wykazać jego stan obecny, rzucić światło na drogi przyszłego rozwoju... Taki cel postawił sobie Andrejew. Zadaniu nie podołał, ale sam sposób postawienia kwestyi i szukania odpowiedzi na zasadnicze zagadnienia bytu, zasługuje na pilną uwagę.

Bierze on, jako założenie, taki stan ludzkości, w którym antagonizmy i sprzeczności klasowe doszły do szczytu. Drobiazgowa specyalizacya pracy przytępiła, ogłupiła robotników. Zamienili się w składowe niemal części maszyn — istna falanga młotków, kółek, zębców, rzemieni. Jednak i ta okropna praca, pożerająca siły, zabijająca ducha, nie zaspakaja najelementarniejszych ich potrzeb. Prawie zawsze są głodni, oni i ich mizerne rodziny. Tymczasem robotnicy mają coś względnie pewnego, jakąś odrobinę strawy, jakieś łachmany przynajmniej i nędzę tę nazwać jeszcze musimy uprzywilejowaną. Na ostatnim dopiero szczeblu upodlenia zwierzęcego znajduje się czerń, przeżarta chorobami zakaźnemi, trawiona głodem, zidyociała, krwiożercza; sam stek zbrodni, potworności, ohydy. Jakże na tem przerażającem tle jaskrawo odbijają pyszne, używające życia klasy „sytych“. Dobrobyt i szczęście — to ich własność wyłączna. Wiedza, sztuka, poezya — to narzędzia ich potęgi i uciech. Każdy najsłabszy objaw postępu, samodzielności proletaryatu, najmniejszy odruch tęsknoty do czegoś lepszego, wznioślejszego — depce się, tępi bezwzględnie.

Czyż trzeba mówić, jak dalekim jest podobny obraz od rzeczywistości? Andrejew podjął poprostu abstrakcyjną formułę Marksa o najwyższem rozwinięciu nędzy społecznej wskutek zaostrzonych antagonizmów klasowych i wcielił na surowo w ciało pessymistycznych obrazów ponurej swej wyobraźni. Z kilku gołych teoretycznych przesłanek, szkicujących ogólne kierunki rozwoju społecznego, zrobił rzeczywistość, która ma tylko pozory życia realnego.

Jakie perspektywy kreśli ludzkości Andrejew? Bo myśli o całej ludzkości, chociaż skrajne upodlenie i dzikość tłuszczy-czerni przypomina

raczej stosunki rosyjskie. Różnice klasowe widzieliśmy doprowadzone niemal do absurdu, przyparte do muru bez wyjścia. Mowy niema o pokojowem załatwieniu sprawy, o kompromisach z czyjejś strony. Nastąpić musi przewrót absolutny — rewolucya. Ma ona odrodzić, stworzyć nowy świat, a więc posiadać winna olbrzymią twórczą myśl, świadomą siłę czynu, a tymczasem w społeczeństwie Cara Głoda niema żadnego żywiołu, zdolnego do przeprowadzenia takiej rewolucyi. Odruch, uczucie, górują nad rozumem. Za namiętnym głosem bólu i nienawiści, słabo się opierając, pójdą robotnicy — rządy zagarnie Motłoch. A wówczas doraźnym namacalnym celem staną się mordy, pożary, burzenie cywilizacyi. Wybuchnie ślepy żywiołowy Bunt, któremu żaden jasny, rozumny cel nie przyświeca, który strawić się musi, lub ulec w starciu z świadomą, zorganizowaną siłą.

Stało się. Głodni pokonani, spętani, Bunt potopiony we krwi, rewolucya cofnięta na długo wstecz. Stąd nauka, że bunt niczego nie osięga. Andrejew chciał jeszcze innej nauki — że tryumf ostateczny przypadnie dopiero świadomej rewolucyi. Ma to zapowiadać okrzyk poległych głodnych: My powrócimy. Gorze wam! Okrzyk jednak robi wrażenie zapowiedzi raczej okrutnej zemsty, niż jakiegoś pozytywnego zwycięstwa.

Na całej sztuce odbił się ogromnie wpływ dziejów rewolucyi rosyjskiej. Rewolucya ta, podjęta bez celowego realnego planu, bez myśli kierującej, z ciągłą przewagą nastroju nad wolą i świadomością — upadła, zostawiając w spadku zamęt, bunty i rozpasanie najgorszych odpadków społecznych, bosiackiego motłochu. A jednak rzuciła w dusze płodny siew, wytrąciła Rosyę na zawsze ze stanu bezwładnego rozkładu, w którym się znajdowała dotychczas. Nie przyszła tylko jeszcze pora na rozejrzenie się, zoryentowanie i wyzyskanie spadku. Zepchnięte z torów dawnej bezmyślności i bezowocnej negacyi, społeczeństwo rosyjskie błąka się na razie po manowcach, szuka po omacku jakiejś twórczej samodzielnej drogi. Na razie chaos, rozbicie — rozpacz. Odbiciem tego właśnie nastroju, co zapewne dłużej potrwa, jest Car Gołod.

II.

U Andrejewa próba poetyckiej historyozofii, posępna wizya przyszłości, — u Arcybaszewa mamy wyniesienie na piedestał teraźniejszości, chwili bieżącej.

Sanin wraca do ojczystego miasta na prowincyi. Z otoczeniem nie ma nic wspólnego, a jednak od towarzystwa się nie usuwa i wpada w szereg ostrych konfliktów, po których opuszcza miasto znudzony, nie żegnając się z nikim. Otoczenie Sanina posiada cechy ogólne, typiczne, które dadzą się rozciągnąć na bardzo szerokie warstwy młodszej inteligencyi rosyjskiej. Siostra jego Lida, zeszła się z oficerem Zarudinym, przeciętnym „porządnym" łajdakiem, nie kochając go nawet właściwie. Zaszła w ciążę, zerwała z nim, a pogodziła się z zakochanym w niej Nowikowym, Zarudin obrażony przez Sanina, a później zbity w ogrodzie wobec publiczności, zastrzelił się. To jedna intryga.

Swarożicz, wysłany pod dozór policyi nieuznany geniusz partyjny,

nie potrafi odczuć życia, niweczy je jadem mizantropii i refleksyi, kocha się w Karsawinej, cieszy się jej wzajemnością, lecz niezdecydowany, chwiejny, nigdy nie może się zdobyć na coś stanowczego i popełnia samobójstwo prawie przypadkowo, ukradkiem przed sobą. Sanin sam jeden używa całą pełnią, pije wódkę, hula, czuje coś na kształt pożądania do własnej siostry; pod wpływem chwili posiada gwałtem Karsawinę na łodzi, słowem żyje z całą bezwzględnością silnej, żywiołowej natury. Ta Karsawina przedstawia bardzo zajmujący typ; gorąco i czysto kocha Swarożicza, a równocześnie nie zdając sobie z tego sprawy, czuje dziwny, fizyczny pociąg do Sanina. Toteż prawie bez oporu ulega mu, chociaż później cierpi nad tem i wyrzuca sobie ostro przeniewierstwo.

A reszta? Różne i liczne przewijają się w powieści postaci, wszyscy jednak, albo pożądają, marzą o miłości, albo kochają się, posiadają lub zajmują się rozpustą. Dreszcze chuci i namiętne wizye zaścielają powieść czerwonym oparem. W charakterze obób czynnych, prawie wyłącznie występuje młodzież męzka i żeńska.

W królestwie ciała i zmysłów odbywa się akcya. To jest tło i fabuła. Przechodzę do treści ideowej i psychologicznej w utworze:

Oto teorya, nudny balast rozumowań, przesądów, formalizmu i tradycyj wcisnęły życie w ciasne, cuchnące powijaki, wykrzywiły je, wypaczyły. Budzi się protest. Młodość i ciało domagają się swych praw i doprowadzą przy sposobności do wybuchu, aż pokonają lęk i zabobony. I będzie to silne, naturalne, dobre. Ale dopiero po wybuchu ujawniają się skutki demoralizującej pracy wieków, powstaje zamęt trosk, tęsknoty, wstrętu i trwogi, drżącej trwogi przedewszystkiem. Tak zwana przeszłość, tradycye społeczne, nie mijają bez śladu dla jednostki. I wówczas pokazuje się cała marność ludzi, nikczemność i słabość. Tchórzostwo i kłamstwo przesiąknęły ich uczynki, mowę, nawet myśli. Zanik woli i namiętność, wyrodzona w rozpasanie nieczystej nerwowej lubieżności, w ohydną rozpustę.

„I w wyobraźni Wołoszyna Lida ukazała się obnażoną bezwstydnie, ukazaną w najgłębszych tajnikach swego ciała i pożądań, zhańbiona, jak bydlę na targ wypędzone“. (Str. 157).

Żądza nienasycona w granicach przyrodą wskazanych, obraca się w chuć, zakaża świat cały i wciąga swem tchnieniem ludzi, pochłania, jak bezdenna plugawa topiel. Silni przejdą po niej bez szwanku, słabsi ulękną się i potkną i strach własny zgubi ich. A zewsząd wydobywa się małostkowość, cynizm, podłość. Zdolności zmarnowane, życie okute w kajdany, włożone dzięki własnemu tchórzostwu, młodość — najpiękniejszy wiek — zwichniona, skarlała, bo po przeminięciu chwili, po opadzie żywiołu żądzy, pospolity materyalny lichy rozsądek obejmuje dyktaturę, działając panicznym strachem wszelkich następstw praktycznych i moralnych uczynku, przygłusza, krępuje umysł, który jedynie mógłby rzucić ostre, jasne światło myśli na życie i wskazać jego prawdę.

Małości i połowiczności tych ludzi, przeciwstawia autor Sanina. Któż jest Sanin? Jest to człowiek, który do swego stanu obecnego doszedł drogą doświadczeń, woli i samoistnego myślenia. Jakiś czas brał udział w akcyi rewolucyjnej, hołdował chrześcijanizmowi, ale płytkość i jednostronność, którą widział w pierwszej, i oddalenie od prądu, od rdzenia

życia, które widział w drugim — wydały mu się słabością. Przeszedł do innego obozu, ułożył światopogląd odmienny, własny. Literaturę, zaznajamiającą z życiem, uważał za wielką rzecz, ale odrzucał zasadniczo doktryneryzm i przeżuwanie książkowych formułek, zachęcał zaś jedynie do przerobienia myślą jak najbogatszego materyału faktów życiowych. Prócz fizycznej siły i hartownej woli, ma on olbrzymią przewagę nad otoczeniem. Jest zupełnie szczery i prawdziwy; wie czego chce i co robi, — wogóle uświadomienie zdarło wszystkie obsłonki z potężnego w nim nerwu życia. Hasłem jego — używanie życia drogą pociągu naturalnego i zamiłowań indywidualnych (pije n. p. wódkę, bo mu się tak podoba). Przyroda obchodzi go może więcej od ludzi. Lubi ją żywiołowo, cieszy się każdą trawką, kwiatkiem, motylkiem, jakżeby sam był ich bratem najbliższym lub kochankiem. Życie daje mu dużo rozkoszy i uciech. Bezwzględna wolność miłości, żądzy, nawet jednej chwili, byle z szczerością i odwagą były brane!

I dzięki zupełnemu wypowiedzeniu się tych bezwzględnych poglądów w życiu, dzięki zuchwałej a spokojnej sile charakteru i szczerości, staje się Sanin tragicznym czynnikiem w życiu tych, którzy bliżej się z nim zetkną; działa jak gryzący rozczyn, przenikający w najgłębsze pokłady prawdziwej zawartości ich ducha. Kłótnia z nim uświadamia Swarożiczowi szczególnie jasno jego niezdatność do życia, spróchnienie w nim nerwu rzeczywistości i czynu. Z okrutnym, bezlitosnym spokojem mówi Sołowejczikowi (był to żyd marzyciel, którego pożerała niemożność rozwiązania w życiu kwestyi dobra i zła), że pozostaje mu tylko umrzeć: — Sołowejczik powiesił się istotnie. On wykrywa jałowość i bezpodstawność ideową kółka, które miało pomódz swym członkom w wyrobieniu światopoglądu — i tem niweczy je w samym zarodku. Jego żelazna konsekwencya postępowania stawia Zarudina w położenie bez wyjścia; jako zelżony publicznie, nie mógł Zarudin pozostać w pułku i odebrał sobie życie. Tratuje, niewstrzymany, niezłomny, wszystko, co stanie na drodze jego przekonaniom i chęciom. Idzie bez wahania za podszeptem żądzy i pociągu; nie czuje żadnych wyrzutów sumienia za pożądanie, które w nim budziła siostra, podgląda kąpiące się w rzece dziewczęta, przy sposobności na pół przemocą wziął Karsawinę, mimo że wiedział o jej stosunku do Swarożicza.

Arcybaszew posiada niewątpliwie duży talent. Chociaż powieść obecna daje jednostronne wyświetlenie jednej tylko dziedziny życia, mianowicie płciowej w związku z psychologią na niej opartą, jednak uplastycznia to tę dziedzinę z wielką siłą i spostrzegawczością. Zarzucają Arcybaszewowi — pornografię... Sanin — to próba wykonania na inteligencyi rosyjskiej nieubłaganej sekcyi analitycznej, dla wykazania istotnych pobudek kierujących jej życiem, istotnego podłoża jej bytu moralnego. Jeżeli stracił podczas sekcyi perspektywę i nie zdołał zobaczyć u inteligencyi tej nic, oprócz zmysłów i ciała, ważny to błąd niewątpliwie, ale tego za winę, za złą wolę, za chęć wyzyskania drastycznych sytuacyj, poczytywać mu nie wolno.

Preponderencya ogólnej tendencyi odbiła się niekorzystnie na psychologii postaci. Są jakby niezupełne, niedomówione. Dobrze przeprowadzona jest Karsawina z dwoistością uczucia do Swarożicza i pociągu do

Sanina. Ciekawy typ Swawożicza, przegryzionego analizą i refleksyą inteligenta, niedołęgi w życiu.

Sanin wreszcie... Zbyt z jednego jest odlewu, nieposzlakowany ze swemi przyrodniczo-zwierzęcemi cechami, zbyt stały i zgodny z tendencyą autorską w każdym wypadku swego żywota. Jego zachowanie się i przemówienia zdradzają cechy jakiejś retoryki, cokolwiek sztucznej prostoty. Sanin nie jest abstrakcyą, ale jest ideałem, płodem tendencyi, teoryi.

Arcybaszew wykazał się w „Saninie" jako wyborny impresyonista z subtelnem odczuciem przyrody, z wielką siłą plastyki. Wrażenie na publiczności rosyjskiej wywarł ogromne. Pomimo konfiskaty — niema domu, inteligentnej rodziny, w którejby nie rozprawiano gorąco o tej książce. Że wywoła w życiu szereg pozujących na Sanina, że zupełnie realny olbrzymi wpływ wywiera na bardzo szerokie warstwy społeczne — ani wątpić

III.

Sanin występuje w powieści nietylko jako bohater główny, ale jako ideał autora.

A więc i podług autora — szczęście i cel życia leży w używaniu i to wyłącznie zmysłowem. Bardzo negatywna krytyka cywilizacyi i kultury, wiedzy i sztuki, społecznictwa i intellektualizmu, a obok tego apoteoza hedonizmu sensualistycznego w najgorszem, najbardziej jednostronnem jego wydaniu?! Wysnujmyż konsekwencye:

Wolność, namiętności, swoboda przejawów życia w całej szczerości i potędze przyrodzonej, wolność wreszcie nastroju, momentu; — dobrze, ale co dalej? Dałaby może temu radę ludzkość z Saninów złożona i tylko taka. Sanin jest typem wyjątkowo silnym i bogatym, ale tych zawsze było, jest i będzie mało. Cóż poczną nie-Saniny? Dojdą do stanu zdziczenia i pierwotnego barbarzyństwa. Zresztą Sanin nie posiada pierwiastków twórczych umysłowo i kulturnie. Nie dba ani o sztukę, ani o naukę, jako takie. Wódka, fizyczna praca, rozkosze płciowe, trochę przyrody i spokojne używanie tego, — to treść jego życia, to wszystko, czego warto się podług niego domagać. O walkach duchowych, o męczarniach moralnych, o wiecznie zmagającej się z zagadkami bytu myśli — mówi z pogardą, jako o niedołęstwie. A przecież warunkiem postępu wiedzy, warunkiem powstania i rozwoju geniusza były zawsze te zapasy duchowe. Wogóle nie można wyobrazić sobie postępu ludzkości bez walki myśli i cierpień stąd wynikających.

I jeszcze jedna strona kwestyi. Co robić z następstwami swobody pewnego rodzaju, co z dziećmi? Może nie dbać o to jednostka, Sanin, ale nie wolno podawać tego autorowi, jako typ pożądany, jako ideał. A Sanin skłania się do usuwania następstw w pierwszem stadyum... Łatwo ocenić wartość takiego rozwiązania najważniejszego może zagadnienia społecznego dla jednostki, a cóż dopiero dla mas! Chyba, że się nie będzie dbało o te masy — innego wyjścia niema.

A teraz powstaje pytanie, co mogło natchnąć jednego z większych pisarzy rosyjskich do napisania podobnej rzeczy? Upadek rewolucyi i zawód tych wszystkich szczytnych i rozległych nadziei, które łączono z nią, wstrząsnął społeczeństwem rosyjskiem do samych podstaw. Przyszło zwątpienie i to najskrajniejsze, jak zwykle bywa u narodów młodych, nie unor-

mowanych tradycyami kulturalnemi. Zwątpiono o wzniosłych ideach i o pracy społecznej wogóle. Z goryczą i pogardą traktuje się tak niedawno ubóstwiany lud za jego fatalistyczną pokorę i ciemnotę. Wytrąconym z kolei szerszym warstwom ekspanzywnej inteligencyi, zwłaszcza młodzieży, trudno zabrać się do poważnej ideowej i kulturalnej pracy. I wtedy pada hasło wyrzeczenia się polityki z jej marzeniami oszukańczemi, z jej bezpłodnem doktrynerstwem partyjnem. Pod sztandarem emancypacyi zmysłów i żądz wystąpili w literaturze rosyjskiej Kamenski, Kuźmin etc. Najsilniejszym wyrazem tej reakcyi psychologiczno-literackiej stał się Sanin. Za jego szerokiemi barkami ukrył się rój bohaterów pornografii, która zalewa coraz wszechmocniej rosyjskie piśmiennictwo. Ale oprócz Saninów i Swarożiczów są jeszcze inni, którzy wartości kultury, idei, nie utożsamiają z wartością jednostek i ich upadkiem; ci przeżywają trudną wewnętrzną reorganizacyę, z nich wyjdzie może zbawienie Rosyi. Tymczasem ogół, masy, zapadły w letarg i rozprzężenie.

Andrejew nie widzi dla ludzkości żadnego ratunku, żadnej drogi wyjścia w przyszłości, oprócz nowych rzezi i pogromów. Niewiara w przyszłość, bezdenny pesymizm, zbyt długo kruszyły, rozkładały to, co było w jego jaźni spoistego, pozytywnego. — W tem tkwią przyczyny pożarnego anarchizmu, bardziej nawet, bo absolutnego nihilizmu, który wszechwładnie ogarnął twórczość Andrejewa. Nihilizm ten wypływa obecnie z głębszych tajników jego jaźni, przesiąknął jego twórczość, niweczy wiarę w możliwość stworzenia czegoś pozytywnie twórczego, nie negatywnego. Skłębione gorączkowo, zwalczające się wizyje wyobraźni jego — coraz dalsze będą od wylania się w harmonijny, skończony pod względem artystycznym całokształt. Inaczej mówiąc, grozi mu zanik zupełny talentu.

Chociaż pozbawiony wartości artystycznej, pozostaje Car Gołod, niesłychanie zajmującym, jaskrawym przyczynkiem do poznania psychologii epoki porewolucyjnej w Rosyi. Upadek i kryzys społeczeństwa sprowadziły również zastój i wypaczenie w literaturze. Pornografia, głoszenie płciowego komunizmu, świadczą o głębokości tego kryzysu.

Zwracając się znów do Arcybaszewa, przypuśćmy na chwilę panowanie Saninów. Stałoby się ono przyczyną gwałtownego cofnięcia się kultury do czasów tęgich i silnych, ale dzikich barbarzyńców. I wobec tego poważne postawienie zdrowego i świadomego zwierzęcia, dążącego bezwzględnie do nasycenia wyłącznie swych żądz grubo zmysłowych — jako ideału, staje się ponurem świadectwem epoki przełomowej i groźnem „memento mori“ społeczeństwu rosyjskiemu.

A szerokie warstwy młodzieży postępowej odnoszą się dotychczas do utworów tej literatury z całkiem bezkrytycznem uwielbieniem. Takie dzieła, jak Car Gołod, przekonywają nas, że twórczych wzorów i pozytywnych pierwiastków kultura rosyjska udzielić nie może, ponieważ sama ich nie posiada i wyrabia je dopiero z ogromnym mozołem; Car Gołod poucza nas, że budować można na własnej tylko kulturze, zasilanej dorobkiem narodów kulturalniejszych od nas, nigdy ciemniejszych.

Edward Woroniecki.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Prasa **ruska** ukrainofilska na zjazd słowiański w Pradze zapatruje się wprost wrogo, wychodząc z założenia. że zjazd nietylko nic nie pomoże sprawie ruskiej, lecz zaszkodzi jej tylko. *Rusłan* wyraził obawę, że konferencya praska, mimo zastrzeżeń inicyatorów, jest zjazdem zbyt politycznym; nie darmo przecież zajęli się nim tacy ludzie jak Kramař, Hribar, Glebowicki i p. T. Cieński, prezes polskiej Rady Narodowej w Galicyi. Zbliżenie się wszystkich Słowian nie nastąpi wcześniej, aż jeden naród przestanie ciemiężyć inne, a więc i polski naród Rusinów... i tu eskamotuje *Rusłan* artykuł J. E. Dzieduszyckiego w *Przeglądzie Powszechnym* p. t. „Hasła Neoslawizmu“, w którym myśli autora o stosunkach rosyjsko-polskich przenosi na rusko-polskie. P. Dzieduszycki — kończy *Rusłan* z goryczą — nie wspomniał w swym artykule nic o stosunkach słowacko-węgierskich, rosyjsko-ruskich, a co najważniejsza rusko-polskich, dopóki zaś te stosunki nie staną się zupełnie jasnymi, dopóki Polska nie zrzecze się nieprawnego przewodzenia Rusi, nie można nawet marzyć o zgodzie słowiańskiej.

W dzisiejszych czasach — jak twierdzi *Rusłan* — Ruś znajduje tylko wrogów u braci Słowian, tak, że nawet należy wątpić, czy wysłuchanoby słusznych wyrzekań Ukraińców. Delegaci rosyjscy bowiem, którzy biorą udział w zjeździe. w znacznej części są rutenofobami; Polacy podadzą ręce p. Krasowskiemu w nagonce anti-ruskiej; nawet Kramář, dzielny obrońca praw ruskich w Petersburgu, odstąpi ich sprawy napewno w Pradze. Delegatom ruskim nie pozostawałoby w takim razie nic innego, jak tylko na pierwszem zaraz posiedzeniu opuścić demonstracyjnie salę obrad. Rusini, mimo coraz większej niechęci u pobratymców, nie odstąpią nigdy hasła dawnego, idealnego słowianofilstwa.

Z równą niechęcią i goryczą mówi o zjeździe słowiańskim w Pradze *Bukowyna*. Jej zdaniem zjazd ma cele antiruskie, tego zaś łatwo domyślić się, gdyż zainicyowali go tacy rutenofobowie, jak Filewicz i tacy moskalofile galicyjscy, jak p. Glebowicki. Z tego też powodu Rusini woleli się całkiem usunąć.

Z racyi „słowiańskiego tygodnia“ w Petersburgu, pojawił się był w *Bukowynie* ciekawy artykuł profesora Hruszewskiego, pt. „Ukrainstwo i wsełowianstwo“, w którym autor, dzięki dziwacznej logice, dochodzi do wniosku, że „neoslawizm“ nic nie wart, a korzystnym jest chyba tylko dla polityki rosyjskiej, zaborczej. Dawne słowianofilstwo było idealne, pozwalało na indywidualny rozwój każdej narodowości, przyznawało każdemu prawa narodowe; ale już w drugiej połowie XIX w., szukając realnych podstaw, stało się panrosyjskiem, gdyż w Rosyi upatrywało realną podstawę swego bytu, w sile. Tak pozyskała Rosya zwolenników, ucisk jej nie znajduje już protestu, (sic!) a Polacy, którzy do niedawna jeszcze twierdzili, że Polska odrodzi Rosyę, zdają się być z siły jej zadowoleni i chętnie podali rękę Rosyi nieodrodzonej i poddali się jej sile. Podstawą neoslawizmu jest polityka antiniemiecka. Dla niej powinno się wszystko inne poświęcić, a więc jeśli Rosya pochło-

nie Polskę lub Ruś, będzie to niewielką stratą dla Słowian, byle tylko Niemiec nie mógł iść dalej na wschód. Niechaj więc Polska i Ruś siedzą cicho, żeby polityce rosyjskiej nie przeszkadzać — tak rozumie ducha konferencyi praskiej prof. Hruszewski.

I wywodzi dalej: Polityka antiniemiecka neoslawizmu zepchnęła wewnętrzne spory Słowian i krzywdzenie jednego bratniego ludu przez drugi, na dalszy plan, a przedewszystkiem krzywdy Rusi w Galicyi. Wewnątrz niech się dzieje, co chce, byle pokrzywdzeni siedzieli cicho i nie robili skandalu Słowianom wobec Niemców. Niedość na tem, neoslawizm jest wrogiem rozwoju narodowego, głosi bowiem, że dzisiaj w polityce antiniemieckiej ważniejszem jest jedno silne państwo, niż szereg narodów i każe tym mniejszym narodowościom połączyć się i stanąć przy wielkim, a więc — jak twierdzi p. Hruszewski — żeby pomagać Rosyi przy jej zaborczej polityce. Ale Rusini nie odstąpią haseł dawnych, oni nie pozwolą sobie oczu zamydlać, ni obradami nad sposobami ocalenia Łużyc i Kaszubów przed naporem germańskim, ni nad reformą żandarmeryi macedońskiej. Niemcy im nic złego nie zrobili, nacóż więc mają przeciwko nim występować, gdy tymczasem Rosya i Polska, z któremi każą im się pogodzić, gnębią ich ciągle. Neoslawizm występując przeciwko Niemcom, występuje tem samem przeciwko kulturze zachodniej, a tej nie wyrzekną się Rusini za nic w świecie. Neoslawizm przygrywką na instynktach rasowych otumanił Słowian, Rusini tylko zwieść mu się nie dali; oni czują, że jest organem reakcyi, a Rusini byli i są zawsze zwolennikami postępu.

Idea zbratania się wszystkich Słowian jest dla Rusinów świętą. Ale hypokryzyą jest całe słowianofilstwo, dopóki Rosya chce zmoskwiczać, a Polska panoszy się nad Rusią. Jakiem czołem — kończy p. Hruszewski swe wywody — będą mogli Słowianie na zjeździe praskim mówić o solidarności, gdy przedstawiciele największego narodu po Rosyi nie przybędą i głosić braterstwo, gdy jeden z ich braci przez nich jest pokrzywdzonym tak srodze?

Przytoczyliśmy umyślnie tylko najłagodniejsze głosy prasy ruskiej w sprawie słowiańskiej. W innych pismach były wyrażenia grube, w niektórych wprost wyzwiska karczemne pod adresem zebranych w Pradze delegatów.

W zakordonowej *Radzie* pojawił się artykuł p. t. „Dobytek roboty rosyjskiej Dumy dla Ukrainy“, w którym autor chwali pracowitość Dumy, cieszy się, że Rusini mogli wnieść wniosek o prawo przyzwalające na język ruski w szkole ludowej, zarazem jednak zaznacza, że to jest zysk za mały, że posłowie ruscy, gdyby chcieli, mogliby byli uzyskać więcej.

Rusłan, piętnując zawsze z najwyższem oburzeniem cały ruch moskalofilski w Galicyi, zwraca uwagę, że i w tym obozie jest... pajdokracya. Dowodem nowa gazeta *Nowaja Żizń*, organ socyalistów moskalofilskich. W tem miejscu *Rusłan* oświadcza współczucie Polakom, którzy zawiedli się na „starorusinach“, i uważali ich dotychczas wyłącznie za konserwatystów. *bk.*

Najznamienniejszem wydarzeniem w prasie **rosyjskiej** jest upadek *Rusi*. Powiedziałem: najznamienniejszem, bo cała historya tego pisma jest typową dla stosunków rosyjskich! Wszak *Ruś* powstała z żebra *Nowego Wremieni!* Stary Suworin żywił się w najlepsze na skórze Polaków, gdy nagle — z pierwszym powiewem „wiosny“ — wypowiedział mu posłuszeństwo rodzony syn i założył pismo redagowane w kierunku wręcz przeciwnym. Mówiło się nawet u nas, że Dom handlowo-publicystyczny Suworinów robi to dla assekuracyi, na wszelki wypadek nie mogąc przewidzieć, co zwycięży, konstytucya czy reakcya? Z Petersburga doszło do Krakowa bon mot, że ojciec gra dalej na noir, a syn na rouge. I była ta czerwień nieraz szkarłatem, bo chociaż *Ruś* nie służyła socyalizmowi, jednak, jakby dla senzacyi, w pewnych kwestyach szła nieraz aż na krańce niemożliwości, pielęgnując rzeczy, wśród których pornografia nie była jeszcze najgorszą! Wstyd nam bywało nieraz, że w takiem piśmie, w bezpośredniem sąsiedztwie najwstrętniejszego artykułu, czytało się głos w obronie praw polskich. Ale o tej stronie *Rusi* w Polsce mało kto wiedział, a nadzwyczajna jej poczytność nęciła tam niejednego. Tysiące osób znało *Ruś* tylko jako krzewicielkę porozumienia polsko-rosyjskiego; rozchwytywano numery w sprawie polskiej, nie wiedząc, co bywało w innych. *Ruś* umiała wzbudzić nastrój u nas i względem nas.

Bądźcobądź, sławny jej artykuł „Christos woskres!“ ma znaczenie historyczne, jako terminus a quo. Wzbudziwszy nastrój, doczekała się redakcya w bardzo krótkim czasie tego, że nadsyłano jej zewsząd artykuły, od Rosyan i Polaków. Pisywali więc w niej najpoważniejsi nawet ludzie, podpisując się całemi nazwiskami. Nikt z nich stale *Rusi* nie czytywał, ale przyjęło się powszechnie, że tam jest trybuna do dyskusyi polskiej. I doprawdy, artykuły umieszczone w *Rusi* w tym dziale, to cały polsko-rosyjski rachunek sumienia, żal i postanowienie poprawy wraz z wszechstronnem rozważaniem, jak tę poprawę urządzić. Przyznać też trzeba, że *Ruś* naprawdę przysłużyła się idei pogodzenia dwóch naczelnych w Słowiańszczyźnie narodów. Dopiero to pismo zdołało spopularyzować tę myśl, dopiero *Ruś* zdołała przekonać szersze warstwy w Polsce, że są i po tamtej stronie chętni do zgody i że można jednak gadać z „Moskalami“. A więc cokolwiekby można o Rusi powiedzieć złego, zawsze trzeba będzie jej przyznać zasługę. Szczególne, a typowo rosyjskie pomięszanie złego i dobrego!

Specyalnie rosyjską jest też możliwość, żeby pismo mające do 60.000 nakładu upadło dla ...braku funduszów!! Bo w Rosyi niema już cenzury dla wydawnictw krajowych, ale urzędy administracyjne mogą wyprawiać z gazetami, co im się żywnie podoba; zawieszać wydawnictwo i obkładać je grzywnami dowolnej wysokości. Była więc *Ruś* wiecznie w długach, radząc sobie rozmaicie, wchodząc w przeróżne kombinacye (podobno nie zawsze proste) z bankami, aż wkońcu odmówiono prolongaty wekslów (podobno pod naciskiem władz).

Dla nas była *Ruś* sojusznikiem zręcznym, nadzwyczaj sprytnym, ale — za mało poważnym. Stawialiśmy też wyżej organ Fiodorowa, petersburskie *Słowo*. Nie poluje na senzacyę, nie tak się świeci z da-

leka, nie takie łatwe w szafowaniu sympatyami i podarkami ze słów, ale za to pewniejsze, solidniejsze i mające poważną redakcyę.

Smutkiem też napawa rzetelnych przyjaciół Rosyi (nie samodierżawia, prawosławia i czynownictwa, ale państwa i narodu rosyjskiego), że *Słowo* widzi się zniewolonem patrzeć pessymistycznie na jej przyszłość. Sam dawny wydawca *Oswobożdenia*, Struwe, który w miarę postępu wydarzeń ostatnich lat przechodził przez tak znamienną ewolucyę pojęć, patrzy znów pessymistycznie w przyszłość, ogłaszając w peterburskiem *Słowie* szereg uwag, z których przytaczamy ustęp zasadniczy:

„Nastąpił już — pisze on — zupełny rozkład starego porządku państwowego, ale jego formy i metody myślenia, jego impulsy i instynkty okazują się jeszcze bardzo żywotnemi w sferach rządzących. Z drugiej strony odpowiadająca staremu porządkowi państwowemu głęboka śpiączka myśli ludowej jest bezpowrotnie przerwana. Z jednej strony więc w ten sposób istnieje władza zakamieniałych starych form i nałogów panowania, z drugiej — burzliwy, powolny, lecz nieustanny ruch myśli ludowej, która obudziła się do samodzielności.

A nad tem głębokiem i ciężką ranę tworzącem przeciwieństwem jest tylko słaba i cienka obręcz nowych instytucyi państwowych. Czy ta nowość uratuje nas, czy tkanka państwowa pod tą przepaską się wzmocni, czy też gnicie będzie trwało w dalszym ciągu, a rana wciąż się powiększała?“

Zdaniem Struwego „przyszłość coraz bardziej pokrywa się chmurami, przepaska coraz to staje się cieńszą, a rana wciąż rośnie i rośnie“.

„Przepaska staje się coraz cieńszą“ — powiada Struwe. Nam się zdaje, że Rosya ma przejść z upadku do odrodzenia po linii — pogodzenia się z Polską. Linię tę należy wzmacniać, rozszerzać, żeby ją zamienić w duży, wspaniały, wygodny most; a tymczasem linia ta jest obecnie wązką zalewie kładką, utrzymywaną privatim przez ludzi dobrej woli, podczas gdy Rosya oficyalna zwęża ją coraz bardziej!

Russkija Wiedomosti odmowę zalegalizowania nowej instytucyi oświatowej w Królestwie Polskiem, zaopatrują w następujący komentarz:

„Motywy odmowy legalizacyi są dziwne. W swoim czasie zwracaliśmy uwagę na to, że zgoła nieprzekonywujące są dowody, przytoczone przez generał-gubernatora warszawskiego w jego postanowieniu co do zamknięcia Macierzy. Ale mniejsza o to, czy dowody te są przekonywujące, czy też nie, mają one bądź co bądź na celu krytykę działalności zamykanego Towarzystwa. Niema w tem nic dziwnego. Ponieważ zamykać Towarzystwo, zatwierdzone w drodze legalnej za jego ustawę byłoby szczytem niekonsekwencyi, wobec tego dziwną się musi wydać odmowa zalegalizowania ustawy „prawie (sic) identycznej z ustawą, która raz już została uznaną za godną zatwierdzenia.

„Ciekawą rzeczą byłoby wiedzieć, czy urząd warszawski wyobraża sobie możliwość ustawy Towarzystwa oświatowego, która różniłaby się od ustawy zamkniętej Macierzy? Towarzystwo oświatowe ma na celu krzewienie oświaty, i choćby jak najwięcej myśleć, w ustawie nie napisze się nic innego, oprócz szkół, bibliotek, odczytów publicznych, wykładów i t. p. Nie można sobie nawet wyobrazić takiego Towarzystwa oświatowego, które,

naprzykład, postawiłoby sobie za zadanie zamykanie szkół, bibliotek, — nie można choćby dlatego, że to żądanie doskonale jest spełnianem niezależnie od wszelkich Towarzystw.

„Postanowienie warszawskiego urzędu do spraw stowarzyszeń z jego zadziwiającymi motywami dowodzi, że wobec dążeń społeczeństwa polskiego do rozpowszechnienia szkół i oświaty, wobec najważniejszej gałęzi jego działalności kulturalnej, uznano za niezbędne trzymać się polityki stanowczego przeciwdziałania. Wszystkie argumenty są dobre, aby tylko nie dać się rozwinąć tej działalności.

„O szkodliwości takiej polityki, z której krańcowymi zwolennikami w rodzaju Apuchtina nie sympatyzowali nawet tacy działacze, jak były generał-gubernator Hurko, — pisaliśmy już wiele razy i powtarzać tych argumentów nie będziemy. Powiemy tylko jedno: polityka „oświatowa“ w rodzaju Apuchtina dopięła tego, że szkoła polska, bez której oczywiście nie może się obejść naród polski, jest teraz tajną. Nowe przeszkody i przeciwdziałania nie zabiją naturalnego dążenia Polaków do posiadania swej szkoły i zamiast dobrej i jawnej szkoły doprowadzą ich znowu do złej i tajnej. Konieczność zaś konspirowania w takiej pilnej sprawie, jak nauka, nieuchronnie wytwarza zarazek nieuczciwości i rozjątrzenia. Komu to potrzebne, dla kogo to korzystne?“.

Gołos Prawdy, petersburski organ październikowców poddaje krytyce politykę rządową w Polsce:

„Każdy prawie gen.-gubernator miał własne poglądy na charakter, porządek i zadania rządu. Nie było żadnej stałości w działalności wyższej administracyi, jedności kierunku; było tyle „polityk wewnętrznych“, ilu wielkorządców“.

I dalej krytyka sfer urzędniczych: „Ośmielamy się twierdzić, że gdyby rząd posłał do Królestwa Polskiego najlepszych urzędników, wprowadziwszy jednocześnie samorząd miejski i wiejski, władze rosyjskie wkrótce zasłużyłyby na szacunek społeczeństwa polskiego“.

Nie lepsze jednak stosunki na Kaukazie, który jest drugiem eldoradem czynownictwa, jak to stwierdza ks. Trubeckoj w swym *Moskowskim Jeżeniedielniku,* zadając szereg takich pytań:

„Co zmuszeni są znieść górale kaukascy od łotra i łapownika komisarza policyjnego, który literalnie ssie krew z ludności? Czy macie o tem wyobrażenie, jak władze traktują górali, kiedy ci ostatni w jakiejkolwiek sprawie muszą się zwrócić do władz? Przypatrzcie się, co się dzieje przed drzwiami naczelnika okręgu? Boć to przecie świątynia, do której dostęp mają tylko wybrańcy! Pisarze w kancelaryi tego naczelnika — to bogi, do których nie można się zbliżyć inaczej, jak z najwyższym szacunkiem. Ingusze, ci sami Ingusze i Czeczeńcy, w których szczególną nadzieję pokładają Turcy, którzy umieją dobrze władać sztyletem, tamując w sobie złość, kornie kłaniają się pijanicy-pisarzowi, aby jaknajprędzej załatwić swe sprawy. Czyż nie było przypadków, że nie tylko pisarzów, ale i wyższych rangą, pewnego pięknego poranku znajdowano zarzniętych, jak baranów, na ulicy? Jakiejż więc miłości chcą Rosyanie od górali i wogóle od muzułmanów? Czego się spodziewają od nich? Czy mają prawo żądać wierności od krzywdzonych i jątrzonych w ciągu lat wielu?“

Stan społeczeństwa rosyjskiego charakteryzuje — tem dokładniej, że przygodnie — prof. Pogodin, opisując w *Rieczi* w ten sposób swe wrażenia z podróży zagranicznej:

„Kilka razy — pisze — zdarzyło mi się obserwować mniej lub więcej blizko życie zagraniczne i zawsze uderzały mię trzy jego właściwości. Przedewszystkiem — życzliwość we wzajemnych stosunkach ludzkich. Zacznijcie u nas na ulicy rozmowę z nieznajomym człowiekiem. Jak podejrzliwie spojrzy na was — i będzie miał słuszność. Skąd ma wiedzieć, że nie jestem szpiegiem i nie chcę go „podłapać". W tramwajach, w omnibusach, na ulicach, na kolejach żelaznych obchodzą się z człowiekiem nie bardzo uprzejmie. Co za różnica w Niemczech, a nawet w zbiedzonej, chciwej, zacofanej Austryi, gdzie waśń narodowa tamuje rozwój polityczny i kulturalny. Pamiętam np. w Dreźnie raniutko młody konduktor tramwajowy powitał mię takiem życzliwem „Gut'n Morgen", że zwyczajem rosyjskim w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, dlaczego się tak ucieszył, zobaczywszy mię. Ta życzliwość wszędzie się rzuca w oczy. Stójkowy wam salutuje, skoro doń podejdziecie, wskaże drogę i z galanteryą odpowie „Bitte sehr", jeżeli mu podziękujecie. Każdy przechodzień chętnie udzieli potrzebnych informacyi. Wogóle widać, że ludzie są przyzwyczajeni do stosunków ludzkich.

„Druga właściwość życia zagranicznego, którą obserwowałem wielokrotnie — to sztuka być wesołym, a może i mieć mniej potrzeb.

„A czy można weselić się u nas, gdzie codziennie widzi się i słyszy o tylu okropnościach; gdzie jenerał-gubernatorowie palą domy i niszczą oświatę; gdzie codziennie się wiesza, grabi, rzuca bomby; gdzie omal, że nie całą ludność uznano za „wroga wewnętrznego".

Przyjrzyjmy się teraz, jakie myśli i marzenia przyświecają tym, którzy dzierżą obecnie ster Rosyi w swem ręku, będąc w łasce na miejscu „najwyższem":

Słowo podaje wiadomość, że W. Hurko w imieniu ostatniego zjazdu szlacheckiego złożył w Carskiem Siole memoryał, wymierzony przeciw obecnemu gabinetowi. Memoryał grozi, że „na wypadek urzeczywistnienia projektów reformy lokalnej, będą przez to samo zburzone twierdze szlacheckie i włościańskie, i przyszła fala buntu będzie miała możność swobodnie dotoczyć się do stopni Tronu". Jeżeli wogóle są potrzebne reformy, to zupełnie innego rodzaju. Trzeba radykalnie zreformować „ogniska buntu" — sąd i szkołę; trzeba „zreformować" tymczasowe przepisy dotyczące prasy, w tym kierunku, żeby administracya bez nadzwyczajnych pełnomocnictw mogła poskramiać prasę; trzeba wogóle znieść te inowacye, które mogą zachwiać ustalony stosunek czynników społecznych".

Russkoje Znamia załamuje ręce, że przez innowacye ostatnich lat „wielkie dzieło rusyfikowania 122 (studwudziestu dwóch) narodowości, zaludniających Rosyę, zostało zahamowane", a winno temu głównie „nienaturalne dla państwa rosyjskiego ustanowienie Dumy". Żeby to chociaż „Duma składała się wyłącznie z Rosyan", w takim razie możeby jeszcze „w dalszym ciągu toczyło się żywiołowe rusyfikowanie, rozpoczęte już przed tysiącem lat. Ale dziś ten ideał zniweczono. W Dumie są nietylko

Rosyanie i uczciwi ludzie, ale i Polacy i Ormianie i Tatarzy i nawet, o hańbo! Żydzi, przeklęci przez wszystkie narody i złodzieje i rozbójnicy".

Moskowskija Wiedomosti uważają za pierwszy objaw idei narodowościowej w Rosyi czarne sotnie i wynikły z nich Związek Narodu rosyjskiego i podobne organizacye.

„Członkowie tych organizacyi wyraźnie się odgraniczyli nietylko od żydów, ale i od buntowniczych innorodców, za wyjątkiem Niemców, którzy uważani są niemal za sojuszników Związku ze względu na zaufanie do monarchizmu niemieckiego". A dalej czytamy:

„Jeżeli dodamy, że i rząd w ostatnich czasach zajął stanowisko ściśle nacyonalistyczne w sprawach polityki wewnętrznej, to nie możemy nie przyznać, iż istnieją u nas warunki owocnego rozwinięcia podstaw nacyonalistycznych w naszem życiu państwowem i kulturalnem.

Rossija rozczula się w jednym z ostatnich numerów nad zasługami rosyjskich Niemców i przeciwstawia ich Polakom:

„Zasługi zruszczonych przybyszów są niemałe. Nie mamy, oczywiście, na myśli całych plemion, przyłączonych za pomocą oręża. „Wolnościowa" era historyi naszej pokazała, jak mało polegać na nich można. Mamy na myśli dobrowolnych przybyszów z narodów, nie wchodzących w skład Rosyi. Kto wie, być może, bez ich pomocy naród rosyjski nie podołałby tak pomyślnie swoim zadaniom dziejowym, nie utworzyłby w krótkim czasie tak potężnego mocarstwa. Przybysze stali się pożytecznym nawozem kulturalnym na dzikiej roli rosyjskiej. Z pośród nich najwybitniejszą rolę odegrali N i e m c y..."

Rossija pisze się też zupełnie na pogląd *Mosk. Wiedomosti* co do szkoły polskiej i przytacza taki ustęp z tego pisma:

„Państwo rosyjskie i naród rosyjski pod żadnymi warunkami nie mogą się dobrowolnie wyrzec w Polsce, jak w każdej innej części naszego terytoryum państwowego, swych praw gospodarza.

„Charakter rosyjsko-narodowy naszemu państwu może zapewnić tylko rosyjska szkoła państwowa — rosyjska nietylko ze względu na język wykładowy, lecz także ze względu na ducha, zadania, kierunek".

A jednak ta szkoła „duchem rosyjska" przejadła się już nawet m y- ś l ą c y m konserwatystom:

Publicysta konserwatywny z *S. Pietersburskich Wiedomosti* p. Rosławlew, krytykuje ją w bardzo ostry sposób:

„Twierdzę, że łajdaków i nikczemników życia rosyjskiego tworzy przedewszystkiem rosyjska szkoła, która po giełdziarsku ocenia duszę dziecięcą. Cała otchłań giełdy z jej hazardem, spekulacyą i demoralizacyą odbija się w szkole rosyjskiej, jak w zwierciedle".

W temże piśmie znajdujemy długi artykuł p. Z. S i e m a s z k i p. t. „P o l a c y, z a m i e s z k a l i w p a ń s t w i e r o s y j s k i e m", w którym pisze pomiędzy innemi:

„Polacy w ostatnich 45 latach wyzbyli się tendencyi rewolucyjnych, przestali zapalać się do niewykonalnych dążności i, nie schodząc z podstaw swej narodowości, oddali się wyłącznie spokojnej pracy kulturalnej, tak potrzebnej w tej chwili dla potęgi państwa rosyjskiego.

„Widzieliśmy wszyscy, że żywioł polski w guberniach zachodnich

w ciągu trzech ostatnich lat rewolucyjnych nietylko nie ruszył się z miejsca, nie przemycił do kraju ani jednego rewolweru, ani razu nie sprzeciwił się władzom, ale przeciwnie, na wszystkich zebraniach i naradach, mimo nieufności władzy miejscowej, wszelkiemi siłami dążył do utrzymania spokoju w kraju.

„Jeżeli tego nie można powiedzieć o Królestwie Polskiem, to widzimy tam inne przyczyny. Nie zatrzymany w swoim czasie przez władze miejscowe rozwój skrajnego socyalizmu dostatecznie zwiększył szeregi wojujących, którzy może pod zaszczytnym znakiem patrjotyzmu idą na rabunek mienia skarbowego i prywatnego, występnie posyłając po drodze kule i pod adresem obrońców ładu“.

Rozumiemy, że Polak zabiera głos w sprawach polsko-rosyjskich w porządnych pismach rosyjskich, ale wszelkie występy na łamach *Nowego Wremieni, Mosk. Wiedomosti* itp. uważamy nietylko za stratę „czasu i atłasu“, ale mamy nawet wątpliwości, czy to nie ubliża autorom takich artykułów.

Polak, mieszkający stale w Paryżu, p. W o d z i ń s k i, widocznie nie bardzo poinformowany o tem, co się dzieje w Rosyi i w Polsce, chciał jednak dać się poznać i wybrał sobie w tym celu *Moskowskija Wiedomosti!!* Z jego „listu otwartego“ podajemy dwa ustępy:

„Wy, nasi zwycięzcy, powinniście podejść do nas pierwsi i wyciągnąć rękę. Powinniście odtąd patrzeć na nas nie jak na kraj zdobyty, ale jak na współobywateli, sojuszników, braci. Powinniście nam pokazać, że nas poważacie, jako naród godny tego, którego dziesięciowiekowa świetna przeszłość była nieprzerwanym szeregiem wysiłków i ofiar „ad majorem Slavorum gloriam“. Mamy niezaprzeczone prawo żyć i rozwijać się zgodnie z naszemi potrzebami, przyzwyczajeniami, przyrodzonemi właściwościami naszego geniuszu plemiennego. Dajcie więc i nam, jak wyraził się niedawno hr. U w a r o w, to, co macie lub co mieć będziecie, t. j. szkoły, sądy, instytucye narodowe. Będziemy umieli ocenić waszą szlachetność. Albowiem nie jest prawdziwe oświadczenie jednego z członków rządu w Dumie, jakobyśmy mieli zamiar oderwać się od Rosyi.

„Zjednoczenie rosyjsko-polskie, jestem tego pewien, urzeczywistni się wbrew złej woli jednych, chwiejności innych, ponieważ chce tego los. Ten niepowstrzymany prąd połamie i odrzuci precz wszelkie przeszkody.

„Czesi pierwsi zrozumieli konieczność historyczną takiego rodzaju ewolucyi. Zrozumieli, że Słowianie, pogodzeni i skupieni dokoła Rosyi, popierani przez Francyę, któraby pociągnęła za sobą pozostałe kraje łacińskie, a w ich liczbie i Anglię — potrafią złamać żelazny pierścień, jakim nas otoczył pangermanizm.

„Rosyanie i Polacy, połączcież ręce w uścisku wyzwoleńczym braterstwa i przebaczenia! Tylko wtedy spełni się wielka sprawa zjednoczenia słowiańskiego, a wraz z nią zostanie rozstrzygnięta sprawa pokoju powszechnego“.

List ten dał powód redakcyi *Moskowskich Wiedomostiej* do napisania artykułu wstępnego p. t. „S ł o w i a n o f i l s t w o p o l s k i e“.

Odpowiadając na żądanie p. W o d z i ń s k i e g o, by nam dano samorząd szkolny, sądowy i instytucye narodowe, gazeta pisze:

„No, to już sprawa dość trudna. Przecież Rosya oddawna istnieje jako zjednoczone państwo narodowe, nie zaś jako jakaś dualistyczna Rosya—Polska, podobna do Austro-Węgier. Rosyjski naród ją stworzył, rosyjski język ją spoił, rosyjski kościół dał jej głowę, rosyjska kultura ją przejęła. Z kimże może podzielić w tem państwie naród rosyjski swe pierwszeństwo, swe prawa gospodarza, swe zwierzchnictwo polityczne?

„Oczywiście, Polacy są naszymi braćmi. Ale i w rodzinie cesarskiej nie wszyscy bracia noszą koronę“.

Artykuł kończą następujące słowa:

„Chociaż list p. Wodzińskiego daje cenny materyał do wymiany myśli w prasie, ale niema w nim danych do programu państwowego. Ten potrzebuje trwalszych kryteryów i pewniejszych rękojmi. W przeciwnym razie z Królestwa Polskiego utworzyłaby się druga Galicya. Wątpić należy, by taki fakt mógł być uważany za groblę, powstrzymującą wylew germanizmu...“

Dobrze tak p. Wodzińskiemu!

W ciekawy sposób przedstawia sobie przyszłość Rosyi, Polski i Słowiańszczyzny p. A. Rittich, który w ten sposób rozwija w *Piet. Wied.* myśl, że Słowianie powinni się zjednoczyć pod egidą Rosyi:

„Jedna wspólna granica celna i jeden budżet, oraz jedna jednostka monetarna zjednoczą kraje i narzecza słowiańskie pod względem polityczno-ekonomicznym. Język we wszelkich stosunkach w najwyższym zarządzie państwowym powinien być jeden, a ponieważ wśród narzeczy słowiańskich najgiętszy i najbogatszy jest język rosyjski, przeto należy mu dać pierwszeństwo, nie czyniąc jednak zamachów na mowę ludu, uprawiając język państwowy w szkole średniej i wyższej w celu posiłkowania się nim w każdym urzędzie i we wszelkich stosunkach wzajemnych. Jest rzeczą konieczną, by ludzie z brzegów Dalmacyi rozumieli ludzi we Władywostoku, w Salonice i w Karsie. Armia i flota powinna być jedna, ściśle zespojona komendą, językiem, nauką, obok powszechnego zmieszania wszystkich narzeczy słowiańskich, w celu wspólnej obrony całego ciała słowiańskiego i powinna znajdować się w rękach Monarchy Rosyi.

„Cały zarząd lokalny, sąd i cały oddział ziemski, nie poruszając spraw, dotyczących całości, w każdym kraju i narodzie, ma samorząd, podległy władzy Imperyum.

„Wszystko to nie jest nowością i oddawna dojrzało w wybranych umysłach słowiańskich. Taki ustrój życia słowiańskiego mógłby bardzo dawno się urzeczywistnić, ale ciągła waśń doprowadziła do pstrej Austryi, do ciągłych przelewów krwi w Macedonii, do pozbawienia indywidualności Słowian podkarpackich.

„Teraz wszystko zależy od Polaków — od tego, o ile mogą oni iść z nami ręka w rękę i pomagać świadomie do zjednoczenia Słowiańszczyzny, jak to zrobiły Prusy z Niemcami. Czy się to urzeczywistni spokojnie, bez wstrząśnień w Europie — to inna sprawa, nie zależąca od Rosyi, którą długo jeszcze będą pochłaniały jej własne sprawy. Podniesienie sprawy słowiańskiej zależy od samych Słowian.“

Dużo jeszcze widać wody upłynie, zanim w oczach wielu nawet po-

rządnych Rosyan będziemy czemś innem, niż „ludem“, posiadającym „narzecze“ słowiańskie! Toteż wolimy się trzymać „pstrej“ Austryi.

Na zakończenie słowo o „kazionnych“ na konferencyi praskiej.

Korespondent *Rieczi* ciekawą daje wiązankę rewelacyi, dotyczących reakcyjnego, dawnego panslawizmu, który na zjeździe praskim nie śmiał z kryjówek wypełznąć.

„Korablew — pisze korespondent *Rieczi* — wypowiedział mi swe przekonanie, że Polacy na zjeździe wszelkiemi sposobami dążyli do otrzymania deklaracyi ze strony Rosyan, sami zaś istotnie żadnych oświadczeń składać nie chcieli. Delegaci rosyjscy po większej części czynili Polakom różne awanse, on zaś, p. Korablew, pozostawał zupełnie izolowanym w dążeniu swem zdemaskowania Polaków — i dlatego publicznie nie występował“...

Zacytowawszy jeszcze insynuacye innego reakcyjnego delegata rosyjskiego, p. Duśniewicza, również pod adresem Polaków czynione, tak kończy sprawozdawca *Rieczi* swoje uwagi w tym przedmiocie:

„Jawnie nikt z wyznawców dawnego urzędowego słowianofilstwa nie śmiał wyrazić poglądów swoich i to jest najlepszym dowodem, jak nieznaczną rolę odegrał ten kierunek na konferencyi“.

Komitet zjazdu przedstawicieli rosyjskiego kredytu rolnego podjął starania o uwolnienie banków ziemskich od obowiązku drukowania ogłoszeń w gazecie *Nowoje Wremia*, która w ostatnich czasach podniosła do niezwykłych rozmiarów taksę za ogłoszenia.

W gazecie *Russkoje Znamja* zamieszczoną została następująca „Krótka modlitwa O. Joanna Kronsztadzkiego“: „Boże, uspokój Rosyę dla dobra biednych ludzi Twoich, zechciej stłumić bunt i rewolucyę, weź z ziemi bluźniercę Twojego, najgorszego na świecie człowieka, nie żałującego win swoich Lwa Tołstoja i wszystkich jego gorących wyznawców, oraz przyjaciela żydów, Wittego“.

W życiu publicznem **czeskiem** stała się rzecz niebywała, a która powinnaby być regułą. Stusześciu posłów czeskich w parlamencie było jednego zdania i wystąpiło solidarnie na zewnątrz. Stało się to dnia 30-go czerwca. Poseł prof. Čipera wręczył ministrowi spraw wewnętrznych, baronowi Bienerthowi memoryał tyczący się najbliższego przyszłego spisu ludności. Wyszło to z inicyatywy Rady Narodowej. W naradach nad memoryałem wzięli udział przedstawiciele wszystkich organizacyj narodowych z Korony, z Moraw, Śląska i Austryi Dolnej. Memoryał podpisali członkowie wszystkich czeskich klubów parlamentarnych, a więc: Národni Klub, Klub poslanců české strany agrarní, Český Klub, Klub poslanců české strany katolicko-lidové, Klub poslanců národně-socialních a radikalně-státoprávního sdružení, Klub poslanců strany lidové, Sdružení českých poslanců socialně-demokratických i Klub poslanců strany pokrokové (realistické) — razem klubów ośm! O siedm za dużo.

Zbytnie rozdrobnienie, a nadmierna wzajemna niechęć stronnictw wprowadziła kraj w przykry stan polityczny. Chaos — brak ogólniejszego programu, wyrywanie się na własną rękę — cechują już od kilku lat życie publiczne czeskie, a jakkolwiek na Morawach jest pod tym względem nieco

lepiej, niż w Koronie, jednakże i tu jest źle, bardzo źle. Rozwodzą się nad tem dzienniki, czuje to ogół. Zdarzyło się, że dnia 4-go lipca (numery niedzielne) umieściły równocześnie uwagi o stosunkach politycznych Moraw trzy pisma, *Hlasy z Hane*, *Moravská Orlice* i *Osvěta Lidu*. W następny poniedziałek obliczył *Pozor*, że tamtych artykułów było na 10 szpalt, ale z tego wszystkiego „nikt nie zmądrzeje“ i dodaje od siebie:

„Wir stronnictw będzie istniał nadal, a wśród intelligencyi będzie różniczkowania jeszcze więcej, niż teraz. Dzisiaj trudno już „inteligentnika“ zmieścić w jakiej szkatułce. I wir stronnictw nie byłby tak dalece szkodliwy, ale chodzi o to, jak urządzone jest życie wśród stronnictw. Twierdzimy, że to właśnie zatruwa najbardziej nasze życie publiczne. Wszak tu na pierwszym planie walki osobiste! Gnębi się przeciwnika politycznego w jego osobie i to tylko dla tego, żeby z tego stronnictwo, jako takie, odniosło korzyść, a nie sprawa, która winna być główną rzeczą dla pracowników politycznych. Jeżeli nasze życie publiczne poprawi się w tym kierunku, natenczas da się pracować pomimo różności zapatrywań politycznych w rozmaitych zagadnieniach politycznych, kulturalnych i głównie w narodowych, bez kompromisów politycznych, bez zakładania osobnego stronnictwa intelligencyi, bez wybierania umyślnych do tego przewodniczących i komitetów wykonawczych i bez wyjaśniania morawskich stosunków, jak sobie to życzy urządzać *Osvěta Lidu*“.

Stronnictwo katolicko-narodowe na Morawach rusza się coraz bardziej, urządza po powiatach bez ustanku zjazdy i narady, na które zbierają się tysiączne rzesze ludu. Najważniejszy był zjazd młodzieży wieśniaczej na Welehradzie; stawiło się tej młodzieży około 5.000. I ofiarność na cele agitacyi zdaje się być największą w tem stronnictwie. Księża z parafij abonują po kilkadziesiąt egzemplarzy *Venkovana* i *Selského Listu!*

Rozkłada się natomiast stronnictwo postępowe, którego główny tabor jest w Koronie, a na Morawach tylko boczne skrzydło, a raczej skrzydełko. Strana pokroková odbyła zjazd w dniach 27—29 czerwca, wśród niepomyślnych okoliczności. Na wezwaniu komitetu wykonawczego brakło tym razem podpisu Alojzego Hajna (a nie pierwsza to „secessya“!), a na samym zjeździe padały ostre słowa o swarach z... morawską grupą postępową. Doszli widocznie do tego, do czego zawsze dochodzą postępowcy wszystkich krajów, że pokłócą się o to, co należy uważać za postępowe? Praski *Přehled* twierdzi, że „z całego stronnictwa pozostał tylko kadłub Masaryk-Herben (t. zw. realiści) i osobiści ich zwolennicy“.

Równocześnie obradował zjazd słowiańskiej młodzieży postępowej pod „protektoratem“ redaktora *Slovanského Přehledu,* Adolfa Černego. Lubimy bardzo, gdy młodzież dysputuje po akademicku o sprawach publicznych, bo to szkoła do przyszłego życia publicznego, sądzimy jednak, że rzeczy te powinny pozostawać in aula i że właściwie najlepiej jest nie zajmować się niemi, jakoby wydarzeniami politycznemi.

Co do „kadłuba“ postępowców, zdarzyło mu się coś fatalnego. Grupa prof. Masaryka, „realiści“ — lucus a non lucendo — są to typowi profesorowie, sięgający we wszystkiem po regułkę z zapasu swych doktryn, ludzie nie mający związku z życiem, którzy tylko dzięki

upadkowi wykształcenia politycznego w Czechach mogli zostać „politykami“. Nie są oni też zupełnie zgodni pomiędzy sobą, bo — jak zwykle doktrynerzy — każdy z nich sądzi rzeczy według tego, jaka komu regułka na myśl wpadnie. Np.:

Prof. Masaryk gardłował za strajkiem studenckim z powodu sprawy Wahrmunda i wyraził się, że przeciw strajkowi mogą być tylko tacy, którzy nie rozważyli sobie należycie tej sprawy, — a tymczasem na zjeździe „pokrokowym“ (postępowców) powiedział prof. Drtina:

„Nie zgadzam się ze strajkiem studenckim, bo jest w tem sprzeczność logiczna. Strajk powstaje pomiędzy chlebodawcą a robotnikiem. W uniwersytetach zachodzi taki stosunek tylko pomiędzy profesorami a państwem. Student, odmawiający uczenia się, niechcący uczęszczać na wykłady i pracować w seminaryach, przestaje właściwie być przez ten czas studentem“.

I tak każdy z profesorów szedł „realistycznie“ w swoją stronę w sprawie im najbliższej, bo uniwersyteckiej. Ale za to szli razem w sprawie ogólno-narodowej przeciw narodowi, nie zdając sobie zresztą wcale sprawy z tego, co czynią. Istni ślepcy polityczni, głosowali w parlamencie za rezolucyą wszechniemca Wolfa o utworzenie w Pradze osobnej akademii Sztuk pięknych, bo — jak tłumaczył potem prof. Masaryk — należy głosować zawsze za powiększeniem liczby instytucyj kulturalnych. A zatem głosowałby za drugim, trzecim i dziesiątym uniwersytetem niemieckim w Czechach? Naiwność zaiste komiczna, ale zarazem bardzo szkodliwa w życiu publicznem. Tacy ludzie powinni poprzestać na znajomościach z drukarzami i introligatorami. Zamknięci w pracowniach mogą być nader pożytecznymi; ale nie można ich puszczać samych w las, bo nie odróżnią borownika od muchomora. Profesor Masaryk oświadczył potem na zgromadzeniu w Nowym Jiczynie: „Przyznaję, że to nie było taktycznie stosowne, ale uważałem samą istotę rzeczy, jak zawsze, za ważniejszą“. — Doprawdy, niewielu na świecie tak zakutych doktrynerów!

A aczkolwiek cały naród czeski ma w sobie żyłkę doktrynerską, tym razem jednak nie wytrzymał i nawołuje profesora ze wszech stron do złożenia mandatu, a najbardziej jego przyjaciele polityczni, postępowcy (pokrokaři), boć stronnictwo jest grubo skompromitowane.

Konferencya praska jest oczywiście omawiana wszechstronnie w prasie czeskiej. Zjazd ten dostarczył tylu tematów! Aie ani jedno pismo czeskie nie zdobyło się na to, żeby patrzeć na ten wypadek inaczej, jak ze stanowiska swego stronnictwa.

O sprawie polskiej w Rosyi klaruje się opinia coraz bardziej, a *Narodni Listy* są prawdziwie w opałach. W Nrze 181 z 3-go lipca zamieściły *Narodni Listy* artykuł wstępny: „Obrat ve smýšleni polském“, w którym znajduje się taki ustęp:

„Po stronie polskiej jest tedy nastrój wcale pomyślny dla zgody; jeżeli ze strony rosyjskiej poda się Polakom dłoń, nie będzie odtrącona. Ze strony rosyjskiej nie zrobiono jednak od petersburskiego słowiańskiego tygodnia jeszcze niczego, coby przyspieszyło zbliżenie. Podczas rozpraw nad budżetem ministerstwa oświaty przygotowywano w Dumie rezolucyę, zalecającą używanie polskiego języka w szkołach Królestwa Polskiego.

Ale rezolucya nie doszła, bo podobno nie miała zapewnionej większości. Szkoda!“

Tak jest; wyraźnie wypisano: „szkoda“. Czyżby *Národni Listy* były za polską szkołą dla Polaków nietylko w Prusiech, ale także w Rosyi? *Národni Listy?!* Trudno przypuścić. Wyrażenie „u ż y w a n i e języka polskiego“ jest tak obszerne, tak wieloznaczne, że może być nawet małoznaczne. W szkołach Królestwa Polskiego obowiązuje zresztą dotychczas przepis, że uczniom nie wolno rozmawiać z sobą po polsku, ani nawet na pauzach, ani na kurytarzach; gdyby ten przepis (którego młodzież oczywiście zachowywać nie myśli) zniesiono, byłoby to już dopuszczeniem u ż y w a n i a języka ojczystego. Nie można więc wiedzieć, co *Národni Listy* przez to rozumieją, i lepiej poczekać, aż powiedzą wyraźnie, co myślą o wprowadzeniu języka polskiego, jako w y k ł a d o w e g o we w s z y s t k i c h szkołach Królestwa Polskiego.

A jednak i w *Nar. Listach* coś się zmieniło. Artykuł generała K i r i e j e w a o stosunkach polsko-rosyjskich zamieszczony w *Mosk. Wiedomostiach*“ a zalecający kontynuacyę polityki Milutina, Czerkaskiego i Samarowa byłby w innych warunkach znalazł w *Nar. Listach* echo jak najprzyjaźniejsze. Tym razem atoli spotkał się głos starego panslawisty z następującą odprawą:

„Starzy słowianofile, skupieni obecnie około *Moskowskich Wiedomosti*, nie mają, czy też mieć nie chcą zmysłu do uczciwego porozumienia dwóch pobratymczych narodów pod carskiem berłem. Zwalać winę wyłącznie na Polaków i przypisywać im i teraz jeszcze zaborcze zamysły względem zachodniej Rosyi (t. j. Litwy i Rusi), jak to czyni gen. K i r i e j e w, jest taksamo niewłaściwem, jak narzucać Polakom samych rosyjskich urzędników, a Polaków przeganiać do gubernii wewnętrznych rosyjskich, jak to robi redakcya moskiewskiego dziennika. Na tej drodze nie doszlibyśmy nigdy do porozumienia słowiańskiego“.

Nar. Listy nie mogą się zoryentować wśród zmienionego świata i piszą raz tak, raz owak:

W Nrach 183–188 pojawiły się cztery artykuły wstępne p. t. „N o v ý s l a v i s m u s“ pióra odświętnego, bo podpisane całem nazwiskiem właściciela pisma P r o k o p a G r e g r a, figury, która z budki redakcyjnej wychodzi na daszek tylko na wielką pogodę lub na wielką słotę. Pierwszy z artykułów: „Z a s a d y n o v é h o a s t a r é h o p a n s l a v i z m u“ zaczyna się w te słowa:

„W dobie, kiedy gotowość do boju narodu czeskiego w Radzie Państwa stłumiono hasłem polityki pozytywnej, dotychczas bezskutecznej i dlatego niepopularnej, — w dobie, kiedy zaczynają się odzywać głosy niezadowolenia z tej rządowej polityki czeskiej, nagle wyłoniła się z całą siłą idea słowiańska i zajęła uwagę politycznego świata“.

Rozważanie „nowego slawizmu“ zaczyna się więc od przytyków do Dra K r a m á ř a, który urządził secesyę *Narodnim Listom* i założył nowy dziennik *Den.* Pomiędzy wierszami powiedziano, że bankrutujący politycznie Dr K r á m a ř próbuje odzyskać popularność zapomocą neoslawizmu i konferencyi praskiej. — Jest w tem coś prawdy, może nawet dużo prawdy. Ale jeżeli konferencya się powiedzie, będzie trzeba przyznać Dr. K r á m a-

řowi zasługę, bez względu na okoliczności jego własne i ich zbieg — a ze strony *Narodnich Listów* jestto niezgrabnością, odzywać się w tej chwili tak szczerze, przyznać się jawnie, że cała ta konferencya jest trochę nie na rękę, bo może być na rękę przeciwnikowi w walce stronniczej.

Uprzedzeni tak niezgrabnym wstępem, wiemy już, pod jakim ciasnym kątem patrzą *Nar. Listy* na całą sprawę i nie zadziwiają nas już wywody, których wynikiem twierdzenie, że

„niema zasadniczej, ideowej różnicy pomiędzy starym a nowym panslawizmem“.

Skoro Dr. Krámař mówi o „neoslawizmie“, musi p. Gregr twierdzić, że niema tu nic nowego.

„Stary panslawizm nie przeżył się, bo ci, którzy obwieścili neoslawizm, nie wymyślili żadnych nowych idei, których nie głosił był także stary panslawizm“. ...Tylko „nieliczne wyjątki“ kierowały się w starym panslawiźmie zasadami odmiennemi od neoslawizmu.

Drugi z rzędu artykuł poświęcił p. Gregr sporowi rosyjsko-polskiemu i twierdzi śmiało, że dawny panslawizm zupełnie tak samo zapatrywał się na tę sprawę, jak neoslawizm. A na końcu artykułu powiada autor, nieuznający nigdy „ukraińskiego separatyzmu“, co następuje:

„Nietylko mają być uprawnieni Polacy z Rosyanami, ale także Ukraińcy z Polakami -- i jeżeli Polacy mają uzyskać narodową samodzielność w Rosyi, toć trzeba załatwić spór polsko-ukraiński ugodą na podstawie zupełnego równouprawnienia. Niegodzien jest wolności, kto jej innym zaprzecza! Najlepiej załatwiłoby się obydwa spory, polsko-rosyjski i polsko-ukraiński, gdyby Rosyanie obwieścili Polakom: Otrzymacie od Rosyi wszystko to, co wy dacie Ukraińcom! Polacy, chociaż rozdzieleni i przytroczeni do trzech państw, stanowią jeden naród; toteż zapewne Polacy z Austryi nie zawahają się przed ugodą z Ukraińcami, skoro zapewnią przez to swobodę swym braciom w Rosyi, skoro położą w ten sposób kamień węgielny pod lepszą przyszłość własnego narodu, Słowiańszczyzny i wogóle ludzkości“.

O ile ten ustęp jest komedyą, o ile zaś ignorancyą, powiedzieć trudno. To tylko pewna, że *Nar. Listy* jako żywo nigdy przedtem nie wiedziały nic o istnieniu narodu ukraińskiego, aż dopiero tuż przed „neosłowiańską“ konferencyą dowiedziały się, że... rząd rosyjski bardzo Ukraińców proteguje i boleje nad ich uciskiem w Galicyi!!!

W trzecim artykule rozpisuje się p. Gregr o kulturalnych i ekonomicznych projektach „nowego slawizmu“, ostrej poddając je krytyce — w czwartym rekapituluje swe wywody i kończy rzecz swą znowu przytykami do polityki „pozytywnej“, nawołując do ostrej opozycyi w Austryi.

Główny więc dziennik czeski zdobył się wobec konferencyi praskiej na niezgrabny i źle maskowany wybuch zawiści względem Dra Krámařa i na wykazanie ignorancyi w sprawach słowiańskich, skoro nawet nie wie, co to znaczy: ukraińcy, których Rosyanie nie przypuścili nawet do udziału w konferencyi. Nie mógł zaś odmówić sobie satysfakcyi zganienia winy za zło w Słowiańszczyźnie na Polaków, którzy mogliby położyć ka-

mień węgielny pod świetną przyszłość Słowiańszczyzny, ale niechcą, bo uciskają „ukraińców“.

Narodni Listy mają niezrównaną metodę wobec nas. Pisały dotychczas, że uciskamy Rosyan w Galicyi — a gdy ci Rosyanie (Glebowicki) chcą z nami iść ręka w rękę, stają w obronie ukrainizmu, dając swym czytelnikom do zrozumienia, że to tosamo, co tamto, także rosyjskie.

Co do stanowiska Dra Kramařa w układzie politycznym czeskim, większość prasy zwraca się przeciw niemu i polityce „pozytywnej“, żądając nawet ustąpienia ministrów czeskich z gabinetu. On sam liczy się z każdą ewentualnością i poczyna też skręcać na lewo, ku opozycyi.

Kiedy po śmierci Herolda odbywały się wybory posła sejmowego (przy których socyaliści wydarli mandat młodoczechom), miał Kramař wielką mowę, w której powiedział, że spory językowe z Niemcami zrobiły sytuacyę niemożliwą do utrzymania. „Nie łudzę się wcale co do tego, że wyłoni się kwestya likwidacyi... System, o którym przypuszczaliśmy, że dopomoże do osiągnięcia tego, na czem każdemu musi zależeć, kto kocha nasze królestwo i wspólną naszą ojczyznę, a mianowicie, żeby doprowadzić do jakiegoś uspokojenia stosunków pomiędzy nami a Niemcami, ten system, jak się okazało, nie da się utrzymać. Pytanie, kiedy ma się z nim zerwać, jest pytaniem tego rodzaju, na które nie chciałbym odpowiadać tutaj i w tej chwili. Ale jedno powiem: Rozbicie tego systemu należy zaniechać tym, którzy ponoszą odpowiedzialność za całą politykę“ — tj. że Kramař zwala winę przewidywanej „likwidacyi“! na rząd.

Bądźcobądź zapowiada, że polityka „pozytywna“ będzie skasowana, i że trzeba będzie przejść do opozycyi.

Oświadczenie to nie zjednało mu bynajmniej umysłów. Przeciwnie! Rzucono się na niego tem zajadlej. Zarzucają mu, że jest chorągiewką na dachu, kręcącą się, jak tego wymagają interesy osobistej ambicyi. Jeżeli Kramař zechce przejść do opozycyi, wątpliwem jest nader, czy ta opozycya uzna go za swego.

Najdosadniejszy z licznych artykułów przeciw Kramařowi jest zamieszczony w praskim miesięczniku (organ postępowców), *Pokroková Revue:* Czytamy tam uwagi z powodu tej mowy Kramařa w takim tonie:

„Sentymentalny Czech przejmie się litością i żalem, słysząc tę nową spowiedź Dra Kramařa, twórcy i przywódcy nieszczęsnej polityki pozytywnej; Czech zaś kierujący się zdrowym rozsądkiem odczuje wzgardę dla polityki tego rodzaju; jeżeli zaś ten Czech posiada przy zdrowym rozsądku jeszcze też trochę energii, wstrząśnie nim nadto uczucie gniewu“.

Ten ostatni wyraz najlepiej oddaje sytuacyę. Opinia czeska jest zagniewana na Kramařa o to, że zrobił z Czechów partyę rządową (dwa fotele ministeryalne), podczas gdy Niemcy występują coraz śmielej z projektem podziału królestwa. Gniew ten jest tak silny, że o mało co nie okazał się silniejszym od słowiańskiego poczucia w tym arcysłowiańskim narodzie, skoro był nawet zamiar urządzenia demonstracyi przeciw Kramařowi podczas konferencyi praskiej.

Młodoczesi rozbici są nietylko w Koronie, ale również na Mora-

wach. Nazwali się tam stronnictwem ludowem (l i d o v á s t r a n a), a na czele ich stanął dr. S t r a n s k ý, żyd, człowiek wielkiego sprytu i znacznych wpływów, bo jest właścicielem berneńskiego dziennika *Lidove Noviny*. Stranský bawił się zawsze w gwałtownego opozycyonistę i tem zyskiwał sobie tanią popularność, ale w Klubie sejmowym stronnictwa ludowego różnie o nim sądzono, bo niejedno z jego praktyki wydawało się podejrzanem. Zarozumiały, pewny siebie, nazbyt zaufany w swą przewagę pieniężną, zachowywał się wobec własnego stronnictwa, jak dyktator, wiodąc je znacznie bardziej na lewo, niż tego pragnęli jego koledzy z Izby sejmowej. Stosunki na Morawach są bowiem zgoła inne, niż w Koronie czeskiej i samą antyklerykalną tromtadracyą nie da się utrzymać stronnictwa. Czem bardziej rósł dr. S t r a n s k ý, tem bardziej jakoś podupadało stronnictwo, a jednak — *Lidovym Novinom* nie powodziło się gorzej, a ich właściciel nie tracił nic ze swej buty i zupełnej pewności siebie.

Walkę przeciw Stranskiemu prowadziło od początku stronnictwo katolicko-narodowe, uważające go za „najpaskudniejszy wrzód“ i „złego ducha Moraw“. Przed czterema laty powstała zaś scyssya w samymże Klubie „ludowców“, którego samodzielniejsi i bardziej energiczni członkowie mieli już do syta przywództwa berneńskiego handlarza politycznego. Ze scyssyi powstała secessya, na której czele stanął poseł dr. E d w a r d P a r m a, adwokat z Frenštata pod Radhoszczem, człowiek spokojny, umysł zrównoważony i do „borb“ wcale nie skłonny. Z głuchej walki, prowadzonej po cichu w komisyach sejmowych, niewiele dochodziło do publicznej wiadomości i kilka zaledwie osób wiedziało, że dr. P a r m a ma podejrzenie, że S t r a n s k ý siedzi na dwóch stołkach i pobiera subwencyę od rządu. Nareszcie zebrano dowody i P a r m a wystąpił publicznie z cieżkimi zarzutami. W czerwcu pojawił się „list otwarty“ dra Parmy do dra Stranskiego, pisany jeszcze ogólnikami, jakkolwiek odrazu w tym tonie, że prasa morawska odrazu się zoryentowała, że jeden z nich będzie musiał wycofać się z życia publicznego. Widocznie dr. Parma nie chciał rozmazywać skandalów i przypuszczał, że przeciwnik zrozumiawszy alluzye, sam się usunie i złoży mandat. Ale Stranský nie ustępował, lecz sam wezwał P a r m ę do złożenia mandatu. Wydał więc Parma list drugi i trzeci z początkiem lipca, pisze już wyraźnie, o co chodzi i przypomina rozmaite wydarzenia, między innemi takie:

„Kiedy za ministerstwa K ö r b r a sytucya polityczna tak się naprężyła, że wszyscy posłowie czescy zobowiązali się zerwać wszelkie osobiste stosunki z prezydentem ministrów dr. Körberem, słowem: bojkotować go, Pan sam złamałeś to zobowiązanie, tę solidarność; poszedłeś Pan do Körbera, rozpocząłeś z nim układy, a gdy to Panu wytknięto w komitecie wykonawczym (w Pradze), wymawiałeś się Pan tem, że byłeś u prezydenta skutkiem uchwały naszego (morawskiego) Klubu, której wcale nie było!“

Kłamał więc, wprowadził rozstrój i nieufność we własne stronnictwo.

Cała prasa morawska zajęta jest owemi trzema „listami otwartemi“. Najostrzej występują przeciw Stranskiemu *Hlas, Moravska Orlice* i *Nový Věk*. W tym ostatnim czytamy w Nrze 41:

„Żydziak, dr. Stranský, należy do takich polityków, którzy korzyść osobistą przenoszą nad korzyść stronnictwa, a stronnictwa nad korzyść

narodu... Słuszną walkę przeciw złemu duchowi Moraw, wszczętą przez dra Žačka i stronnictwo katolicko-narodowe, dokończy zwycięsko dr. Parma. Chociaż listy Parmy stawiają go w tak mętnem świetle, chociaż Parma wzywa Stranskiego wprost, żeby go skarżył sądownie, Stranský boi się wnieść skargę. In fuga salus".

„Postępowcy" morawscy woleliby, żeby był górą Stranský, a niektóre pisma, np. *Snaha*, poczęły urabiać opinię przeciw Parmie (zarzucając mu, że pocałował raz w pierścień arcybiskupa ołomunieckiego, kiedy mu wypadło witać go, jako gościa, w schronisku górskiem stowarzyszenia, którego dr. Parma jest prezesem; — takiemi rzeczami można tam urabiać opinię publiczną!) — ale o ile znamy stosunki, trudno przypuścić, żeby dr. Parma nie wiedział dobrze, co robi i całej kampanii z góry nie obliczył — i zdaje się, że dr. Stranský przepadł.

Książę prasy **słowackiej**, miesięcznik *Naše Slovensko*, ukończył pierwszy rocznik wydaniem zeszytu podwójnego, wakacyjnego, za lipiec—sierpień. Wychodzi w Pradze, żeby mieć wolne ręce pod każdym względem (adres: Praha II, Vyšehradská třida 39, prenumerata całoroczna (12 K.). Wspaniałe to wydawnictwo! Treść zawsze pierwszorzędnej wartości, a illustracye artystyczne w całem znaczeniu tego słowa. Miesięcznik to ważny dla filologa, folklorysty, historyka i polityka. Dokładna znajomość spraw węgierskich przydatną jest dla uprawiających politykę w Austryi — to nie ulega wątpliwości. *Naše Slovensko* jest do tego źródłem bardzo dobrem, a obfitem. Około obrazu kulturalnego i politycznego życia Słowaków gromadzi zarazem wszechstronny materyał do poznania spraw wewnętrznych dzisiejszych Węgier.

Rząd wchodzi coraz bardziej w sytuacyę bez wyjścia w swej nierozumnej walce z „narodowościami". Próbuje się teraz wytworzyć stronnictwa konserwatywno-ugodowe i tem tłumaczy się rozporządzenie ministra oświaty Apponyiego, nakazujące uczyć języka „ludowego" w seminaryach nauczycielskich i ministra Andrassego, który zamierza żądać również od urzędników administracyjnych, żeby władali „językiem ludu". Bardzo podejrzliwie patrzy na to *Slovenský Tyždennik:* „Rząd chce utworzyć między Słowakami filię madiarskiego stronnictwa ludowego. Właściwie chcieli, żeby Słowacy czy raczej „półsłowacy" przystępowali wprost do ich stronnictwa, ale to się nie udało, a więc zabierają się do ustanowienia osobnej filii tego „ludowcowego" handlu słowackiemi cuchami. Ta filia będzie się pewnie nazywać bardzo pobożnie, łaskawa i pięknie przystrojona na zewnątrz, ale będzie miała pod suknią — czarcie kopytko.... Rząd potrzebuje tych projektów, żeby przy zamierzonych szachrajstwach co do głosowania powszechnego, mógł pokazywać przed światem, że i „narodowości" są z nim".

Madiarskie stronnictwo ludowe, widząc, że nie znajdzie gruntu wśród Słowaków, założyło też stowarzyszenie „Katholikus népszövetseg" (katolicki związek ludowy), które lud nazywa sarkastycznie „nipcveczwikiem". Ale i to się nie udaje. W Nowem Mieście nad Wagiem, w Ružomberku, w Hochsztetnie i w innych miejscach nie dało się nawet urzą-

dzić zgromadzeń tego stowarzyszenia; tak niechętnie lud patrzy na akcyę, wielce sobie podejrzaną.

Redakcya *Slovenskeho Tyždennika* otrzymała akt spisany w języku madiarskim, następującej treści:

„Oświadczenie. Ja niżej podpisana oświadczam, że zakazałam memu zięciowi Juliuszowi Nikodemowi przyjmować gazetę *Slovenský Týždennik* i nie pozwoliłam, żeby go abonował. Sama poszłam na tutejszą pocztę, żeby odsyłali z powrotem gazetę, której prenumerata nie była zresztą zapłacona. Ponieważ gazeta pomimo to czasem doszła, powiedziałam dziewczynie roznoszącej pocztę, żeby powiedziała panu poczmistrzowi, żeby tej gazety w ogóle nie dawał roznosić. Wreszcie i zięć mój jest przeciwny prenumerowaniu.

Solčany, dnia 29 maja 1908 (trzy krzyżyki) Barbara z Ondruszów Hullowa.

Świadkowie: Michał Kosik, zastępca wójta; Adam Ondruš".

Na akcie jest — pieczęć gminna. Niezły przykład urzędowej agitacyi przeciw patryotycznym pismom słowackim.

Józef Žák skazany został na dwa miesiące twierdzy za artykuł „Przyczynek do statystyki naszego ucisku", ogłoszony w *Slovenskim Obzorze.* — Andrzej Obuch, urzędnik bankowy, skazany na 8 miesięcy i 1200 K. grzywny za artykuł w *Narodnich Novinach* z powodu krwawych wypadków w Czernowej. — Ciekawy proces miał Józef Pristupny. Napisał do *Ludowych Novin* o pewnym „notaru" (naczelnik gminy z nominacyi), który zbił kobietę, która przyszła do niego dać na zapowiedzi (na Węgrzech jest ślub cywilny obowiązkowy); „pan notar" bawił się właśnie i stłukł kobietę za to, że mu przeszkadza, tak, że kobieta ogłuchła. Za ten artykuł dostał Pristupny 3 miesiące i jeszcze musi dopłacić 400 K grzywien, skazany za.... „podburzanie przeciw narodowości madiarskiej". Zupełnie, jak w Warszawie za najgorszych czasów Hurki!

Na Słowaczyźnie jest o tyle gorzej, że rząd wydaje (za pieniądze skonfiskowane słowackim instytucyom kulturalnym) po słowacku pisma antysłowackie, jak *Slovenske Noviny, Krajan, Obzor* i znajduje do nich redaktorów słowackich! *k.*

Na Węgrzech dzieją się rzeczy, któreby w innem państwie (z wyjątkiem chyba Rosyi) były niemożliwe. Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy numer któregoś z pism niemadiarskich i niemadiarońskich, aby się dowiedzieć czegoś ciekawego w tym rodzaju. I tak czytamy Nrze 8. *Ludovych Novin:* W zeszłym roku mieli w Hodoninie na Morawach zjazd dziennikarze z Moraw i Śląska. Niektórzy z nich odwiedzili po zjeździe dra Blaho, posła do sejmu węgierskiego, dzielnego obrońcę słowackiego ludu, mieszkającego w Skalicy. Odwiedziny trwały krótko, bo tylko kilka godzin, wystarczyły jednak, aby w nich zwietrzyć niebezpieczeństwo „panslawistyczne". Dr Blaho został oskarżony, że nie zgłosił swych gości! Sąd zażądał od Sejmu jego wydania i Sejm wydanie uchwalił. Równocześnie odmówiono sądowi wydania pewnego posła madiarskiego, który oskarżony był o skandaliczne awantury, jak strzelanie z rewolweru w jakiemś orfeum budapeszteńskiem. Bodaj to równość madiarska!

Żandarmerya ma na Węgrzech szersze, niż u nas, pole działalności: nie-

tylko zbrodnie i niepokoje wietrzyć, ale i asystować, czy też pomagać w czynnościach czysto pokojowych, nawet kościelnych. Wiadomo, że „poświęcenie“ kościoła w Czernowie bez niej się nie obeszło.... *Ludove Noviny* donoszą w Nrze 9, że dnia 15 lutego br. do Hruština na Orawie zjechała komisya do księdza Tomanka, wikaryusza. Nie jest on zbrodniarzem, ani rewolucyonistą, ale jest dzielnym pracownikiem dla ludu słowackiego, naśladowcą i osobistym przyjacielem księży Jurigi i Hlinki. To wystarczy, aby go prześladowano ciągłemi skargami i śledztwami, a przy śledztwie dnia 15 lutego użyto żandarmeryi, by przeszkodzić jakiemukolwiek porozumieniu między oskarżonym, a parafianami. Otoczono mieszkanie ks. Tomanka i nie pozwolono przystąpić żadnemu z parafian, opodal stojących gromadnie, ani też ks. Tomankowi wyjść przed dom.

Sprawdza się przysłowie „na złodzieju czapka gore“ i drugie „strach ma wielkie oczy“, skoro rząd węgierski tak bardzo boi się jednego spokojnego księdza. *Ks. K.*

Z przeglądu prasy **chorwackiej** odnosi się wrażenie, że mimo całego roznamiętnienia rozbudzonego urzędowaniem bana Raucha, poczyna świtać jakaś nadzieja, jeżeli nie pokoju, więc przynajmniej zawieszenia broni. Zdaje się, że zawiał inny wiatr „z góry“.

Wiedeń życzy sobie, żeby stosunki chorwacko-madiarskie uspokoiły się znowu na jakiś czas. Można się tego domyślać z rozmaitych oznak, a między innemi i z następującego, na pozór drobnego, ale niezmiernie charakterystycznego faktu.

Podróżującego po kraju bana nie chciał w Kninie nikt przyjąć; zajął się nim tylko dyrektor muzeum, Marun. Kiedy mu robiono o to wyrzuty, usprawiedliwiał się listem Perića, chorwackiego posła w parlamencie wiedeńskim, w którym jest takie zdanie:

„Proszę Cię w imieniu nas z Klubu Jugoslovenske Zveze, żebyś przyjął Raucha, żebyś mu był usłużny przy zwiedzaniu muzeum, a na ludność oddziałaj, żeby zachowywała się neutralnie, jak podczas pobytu Koszuta w Dubrowniku“.

Pogłoski o ustąpieniu bana, barona Raucha, poczęły się pojawiać w chorwackich kołach politycznych. Termin oznaczają na jesień. Faktem jest, że decydujące sfery madiarskie wyrażają się o nim już bardzo niechętnie. Kursuje o nim orzeczenie, że „jest niezdatny do zawarcia pokoju i również niezdatny do prowadzenia walki“.

Ustavnost przyniosła senzacyjną wiadomość, że następcą Raucha ma zostać hr. Kulmer, najpopularniejszy dziś człowiek w Chorwacyi, że Wekerle przywołał go do Budzynia i wezwał do podania sposobów na uspokojenie umysłów i załatwienie chorwackiego przesilenia.

Chorwaci nie odrzucają a limine zgody, a posłowie ich wzięli udział w układach o kompromis. Podstawę stanowią punktacye posła Zagoraca. Większość posłów zapatruje się atoli pesymistycznie na te próby, niektórzy nawet niechętnie na nie patrzą. I lud wiejski nie bardzo się kwapi do tego, usposobiony dla Madiarów i wszelkiego „madiarońśtwa“ jak najgorzej, o czem świadczy mnóstwo nieprzyjemnych epizodów z podróży

barona Raucha, jaką odbył automobilem po kraju; wszak chłopi przyjmowali go kamieniami i zgniłemi jajami. Ale największym pessymistą co do możności ugody z Madiarami jest — rzecz ciekawa! — twórca rezolucyi rjeckiej, poseł Supilo, którego organ, *Novi List*, głosi pobudkę ostrą na nowe walki, żeby zmusić rząd budzyński do powolności.

„Postępowcy“ chorwaccy, a także starczewiczanie wzięli udział w „nieobowiązujących prywatnych“ naradach z gronem posłów madiarskiej koalicyi, czy nie dałoby się obmyśleć przynajmniej jakiegoś modus vivendi pomiędzy Zagrzebiem a Budzyniem. Artykuły *Hrvatske Slobode*, organu Mila Starčevića, pobudziły organ stronnictwa katolicko-ludowego, *Dom*, do ostrego protestu. Sam twórca stronnictwa, poseł Stjepan Radić, ostrzega, że chorwacko-serbska koalicya niepotrzebnie wdaje się w układy teraz, kiedy rząd węgierski jest w najgorszych opałach z powodu konieczności zaprowadzenia powszechnego głosowania (bo tak chce Korona), w sytuacyi, „kiedy można przeciw nim występować z korzyścią ostro i nieprzejednanie“. Przypominamy, że Radić pragnie zerwania unii chorwacko-węgierskiej, a wstąpienia w unię z Cislitawią.

I *Hrvatsko Pravo*, organ nie należących do chorwacko-serbskiej koalicyi frankowców, zaczyna się godzić z banem. „Jako człowiek jest może baron Rauch o wiele lepszym od wielu swych zwolenników z koalicyi (madiarskiej). Mówią o nim z szacunkiem ludzie szanowni, bezstronni i przyznają mu piękne przymioty i dobrą wolę użycia na korzyść narodu miejsca, które zajmuje. Że tego nie może osięgnąć, winni temu politycy z koalicyi (serbsko-chorwackiej), którzy od pierwszego dnia utrudniają mu stanowisko“.

Demonstracye przeciw swej osobie w Kninie przypisał ban serbskiemu stronnictwu „samostalców“. Zirytowało to Chorwatów, którzy chcą właśnie tego, żeby w Budzyniu i Wiedniu przekonano się, że Rauch nie ma pomiędzy Chorwatami żadnego gruntu. Popularny dziennik zagrzebski, *Novosti*, robiąc przytyk do sojuszu bana z radykalnem stronnictwem serbskiem, powiada, że ze sympatyi ku Serbom gotów ich ban widzieć wszędzie i trzymać się hasła „Srbi svi i svuda“. „Ban chorwacki powinienby znać na tyle historyi chorwackiej i statystyki, żeby nie uważać Knina za miasto serbskie, bo nawet dzieciom ze szkoły ludowej wiadomo, ze ludność miasta Knina, stolicy królów chorwackich z dynastyi narodowej, jest w olbrzymiej większości chorwacką, a tylko w okolicy mają większość Serbowie“. I dodają *Novosti* złośliwie, że ban kompromimituje swego instruktora: Kršnjavego.

Pomiędzy chorwackim ministrem Josipovićem a organami bana Raucha powstała polemika. Minister Josipović rozpuścił wiadomość, że sejm chorwacki będzie zwołany na jesień i rozwiązany, jeżeli nie zechce obradować nad przedłożeniami rządowemi. Banowi wydawało się to wtargnięciem w jego kompetencye i kazał oznajmić ministrowi, że o zwołaniu i rozwiązaniu sejmu decyduje ban, a nie chorwacki minister. Ale Josipović odwzajemnił mu się. W kilka dni ogłosił w *N. P. Journal* artykuł, że kompetencya bana nie jest wcale tak rozległą, żeby mógł p owadzić własną politykę za grzbietem rządu węgierskiego. „Możemy zwierzyć się banowi — pisze *N. Pester Journal* — że w Budzyniu opracowano już

szczegółowy plan na jesienną kampanię w Zagrzebiu, że plan ten rząd przyjął, a przeprowadzenie go zależy tylko od tego, czy uda się wznowić w ostatniej chwili pokój z koalicyą chorwacką. A to jest o wiele prawdopodobniejsze, niż ban przypuszcza".

Osamotniona zupełnie w chorwackiej publicystyce, wychodząca w Tryeście dwa razy na tydzień *Slavenska Misao* — jedyne już poza Rosyą pismo służące dawnemu „kazionnemu" panslawizmowi i rozmaitym sprawom osobistym — utraciło już do reszty wszelkie znaczenie. W ostatnich czasach broniło „samodierżawia" w Czarnogórze i tak się tem zmierziło, że powracającego niedawno z Cetynja redaktora Ante Jakića spotkały w drodze, w Kotorze, osobiste nieprzyjemności, a *Pokret*, *Narodni List*, *Hrvatska* i *Dubrovnik* umieściły z tego powodu artykuły z wyrażeniem największego zadowolenia.

Proklamowanie konstytucyi w Turcyi nie mogło nie poruszyć umysłów **w Bośni**. Serbska i muzułmańska opozycya wyzyskała już tę sposobność i zbiera się podpisy na adres do sułtana, jako do „właściwego suwerena tych ziem", ażeby „obmyślił jaki sposób, żeby i Bośna z Hercegowiną mogły korzystać z jego wielkoduszności". Projekt konstytucyi dla krajów okupowanych jest już dawno gotowy, ale rząd zwlekał z przeprowadzeniem reformy. Obecnie już i w sferach oficyalnych przeważa przekonanie, że nie można dłużej zwlekać i trzeba będzie ogłosić konstytucyę w najbliższym czasie.

Być może, że naprężone stosunki w Bośni zmuszą rząd do tego. Ale będzie to dla Austryi ciężki kłopot. Przy ustroju parlamentarnym, w razie ustanowienia sejmu bośniackiego, wzmógłby się w jednej chwili znacznie żywioł słowiański, a przez to samo osunęłaby się znowu o jeden szczebel niżej hegemonia niemiecko-madiarska. Kwestya wcielenia ziem „okupowanych" do monarchii nabrałaby większej aktualności, ale ludność słowiańska nie chciałaby należeć do „krajów korony św. Szczepana" i wyłoniłaby się kwestya „Wielkiej Chorwacyi", ten największy taran na „dualizm". I tak s rawa bośniacka mogłaby stać się wstępem do przeobrażenia monarchii austryacko-węgierskiej.

Smutną nader pochwałę otrzymali **serbscy** radykali pod berłem węgierskiem od głównego organu Kossutha, *Magyarorsag*:

„Serbscy radykali starali się czynami przekonać opinię madiarską o tem, że ich przychylność jest szczera. Szli przeciw opozycyi narodowej, nie brali udziału w walce przeciw wnioskom szkolnym Apponyiego. Kiedy nastało nieporozumienie pomiędzy narodem madiarskim a koalicyą chorwacko-serbską, radykalni posłowie serbscy wystąpili z tej koalicyi". *Magyarorsag* marzy o tem, jakby usunąć z widowni politycznej serbskich „samostalców", żeby „radikalci" byli jedynymi reprezentantami Serbów w sejmie zagrzebskim. Ale to już będą kwaśne winogrona! Organ samostalców, *N. Srbobran.* zyskuje właśnie coraz większe wpływy.

Przesilenie w Królestwie serbskiem zażegnano ciekawym kompromisem:

Samouprava ogłosiła protokół delegatów klubów poselskich — radykalnego i niezawiśle-radykalnego (przeliczne, a efemeryczne stronnictwa serbskie nie mogą nastarczyć wymyślać sobie nazwy!), podpisany przez P. Velimirovića i Ljubę Stojanovića. We wstępie powiedziano, że reprezentanci obydwóch klubów zgodzili się, żeby Velimirović utworzył ministerstwo prowizoryczne, skoro Milanovićovi nie udało się złożyć gabinetu. Ministerstwo Velimirovića przeprowadzi w obecnej nadzwyczajnej sesyi skupsztyny budżet na rok 1908 bez apanażów, traktat handlowy z Austryą i inne „konieczności państwowe“. Po ukończeniu tej sesyi nadzwyczajnej uzupełni Velimirović gabinet swój trzema członkami ze stronnictwa niezawisłych radykałów. Rząd zobowiązuje się zmusić urzędników, ażeby przestrzegali ściśle ustaw, a to pod surowemi karami. Na jesień zwoła się zwyczajną sesyę skupsztyny, która załatwi budżet na rok 1909, przeprowadzi reformę ordynacyi wyborczej sejmowej i gminnej, poczem będzie rozwiązana, a nowe wybory rozpisze rząd koalicyjny na podstawie nowej ordynacyi wyborczej najpóźniej do 8 (21) września 1909.

Belgradzka *Domovina* w artykule „Dinastičko pitanje u Crnoj Gori“ wyraża się w taki sposób: „Od początku narodu serbskiego ginęli serbscy panujący od bratniej ręki, a dzieje serbskie są całe opryskane krwią panujących“.

Znalazł się przecież sapere ausus, wzywający do zgody w imię ogólniejszych interesów. Belgradzki *Trgovinski Glasnik* pisze: „Zaniechajcież na teraz wzajemnych obrachunków i zapomnijcie uraz wzajemnych! Dziś będzie miał zasługę wobec narodu, Serbii i Słowiańszczyzny ten, kto pierwszy wyciągnie dłoń do brata. Dziś potężne mocarstwa szukają sprzymierzeńców, wszędzie znać dążność do zawierania sojuszu — przeciw „trzeciemu“; jakżeż mogą nie pomyśleć o tem państwa, nie będące mocarstwami, a które mają ludność jednej krwi, wiary i języka?... Tego wymaga od nich cały naród serbski, a zwłaszcza ci bracia, którzy cierpią dotychczas w niewoli tureckiej. Oby niedola ich powróciła rozum naszym mężom stanu!“

Byłoby bardzo pożądane, żeby ten rozumny głos znalazł posłuch i w Cetyniu i w Belgradzie. Nadziei jednak jest mało i prawdopodobniejszem jest, że interesy narodu całego nie wiele będą ważyły wobec interesów dynastycznych dwóch rywalizujących z sobą serbskich dynastyj, Petrovićów i Karadżordżewićów. *k.*

Recenzye i sprawozdania.

Mik. Dubrowskij. Офиціальная наука въ Царствѣ Польскомъ. Варшавскій Университетъ по личнымъ воспоминаніямъ и впечатлѣніямъ. (Nauka oficyalna w Królestwie Polskiem. O Uniwersytecie Warszawskim według wspomnień i wrażeń osobistych). Petersburg, 1908, str. 138.

Nareszcie uniwersytet warszawski doczekał się należytej oceny ze

strony inteligenta rosyjskiego. Kiedy w r. 1905 młodzież warszawska przeprowadziła bojkot tej rządowej wszechnicy, niektóre organy prasy rosyjskiej, liberalnej, osądziły ten krok stanowczy surowo i pochopnie. Naturalnie przyczyną takiego pospiesznego i zbyt subjektywnego sądu była powierzchowna znajomość stosunków panujących na uniwersytecie warszawskim, której społeczeństwo polskie nie potrafiłosprostować, zwłaszcza, że i w łonie jego wynikły poważne na tę sprawęróżnice w zapatrywaniach, trwające aż dotąd.

Dopiero, kiedy cała ta sprawa nieco ucichła wobec pomyślnego prosperowania Wyższych kursów Naukowych w Warszawie, założonych przy pomocy sił i środków naszego społeczeństwa, rozległ się poważny głos Rosyanina, który na zasadzie osobistych wspomnień przejrzyście scharakteryzował atmosferę naukową uniwersytetu warszawskiego i rzucił objektywne światło na całą dotychczasową jego działalność. Odtąd inteligencya rosyjska nauczy się, zdaje się, trafnie odróżniać urzędowych „warszawskich uczonych" od prawdziwych pionierów nauki i zrozumie łatwo, że bojkot przeprowadzony został bynajmniej nie pod wpływem jakiejś niechęci, czy nieprzyjaźni do kultury rosyjskiej, ale wskutek obrzydzenia do tych helotów intelektualnych na katedrach uniwersyteckich w Warszawie, którzy codziennie z „przybytku wiedzy" czynili trybunę oszczerstwa i polityki rusyfikacyjnej.

Nic więc dziwnego, że skutkiem takiego postawienia nauki wyższej w Warszawie, ilość studentów Polaków w uniwersytecie warszawskim, jak to cyfrowo wykazuje Dubrowskij, zawsze była stosunkowo niską i, rzecz charakterystyczna, nigdy nie dosięgła poziomu liczbowego uczniów Szkoły Głównej. Ilość studentów Rosyan również była nieznaczną (przez cały 37-letni okres istnienia uniwersytetu nigdy nie przekroczyła cyfry 246), nie bacząc na wszelkie zabiegi ze strony administracyi do powiększenia tej cyfry, np. przez ułatwianie wstępu młodzieży rosyjskiej bez należytego cenzusu wykształcenia, przez nadawanie stypendyów polskich — Rosyanom itd.

Na zasadzie tego wszystkiego autor konkluduje, że uniwersytet warszawski, jako instytucya czysto polityczna, jest zbyteczny, gdyż Polaków odpycha, a naukę rosyjską kompromituje, profanuje.

Do tych wniosków nieuniknienie dojść musi i czytelnik rosyjski, zwłaszcza, skoro się przypatrzy z kolei całej galeryi „gwiazd naukowych" uniwersytetu warszawskiego, których udatne, prawdziwe, choć dosadne charakterystyki Dubrowskij podaje.

I oto przesuwają się przed oczyma czytelnika takie ciekawe okazy rosyjskich biurokratycznych „kulturträgerów", jak głośny etnograf Kułakowskij, który następnie zamienił z lekkiem sercem katedrę uniwersytecką na stanowisko redaktora półurzędowej gazety rosyjskiej w Warszawie; jak znany „historyk rosyjski" Filewicz, za pracę patryotyczną o „Zabużji" wyniesiony przez Apuchtina na katedrę uniwersytecką; jak wielki polityk, poseł do Dumy, Sozonowicz, profesor literatury powszechnej, a jednocześnie złotousty obrońca sądów polowych i konieczności utrzymania kary śmierci w parlamencie rosyjskim; jak szczwany lis, Lubowicz, historyk, w oczy przymilający się Polakom, a poza oczy ich oczerniający; jak filozof bizantyjski, Błok, prawo państwowe wykładający; jak znany ze swej nie-

przyjaźni do Polaków, Simonienko, profesor ekonomii politycznej, niestrudzony pogromca Marksa i niezrównany podrabiacz danych statystycznych o Królestwie Polskiem, jako dożywotni redaktor „Prac Warszawskiego Statystycznego komitetu"... et tutti quanti.

Naturalnie wśród takich okazów zdarzają się i jednostki uczciwe, a są to jednostki, które na palcach wyliczyć można, jak profesorowie: Pietruszewskij, Wulf, Nasonow, Szczerbak, Gorbunow, Pogodin, których też wylicza autor imiennie, dodając, że wszyscy jaknajspieszniej uciekają ze swoich stanowisk, nie mogąc znieść dusznej atmosfery uniwersytetu warszawskiego.

Wyświetliwszy to wszystko, dowodzi autor, że w Warszawie prawdziwa wszechnica naukowa może być tylko polską i w tym kierunku poucza właśnie inteligencyę rosyjską. I aczkolwiek broszura Dubrowskiego przyszła nieco z opóźnieniem, spełni jeszcze niewątpliwie swoje wobec oświeconej części społeczeństwa rosyjskiego zadanie.

Nadmienić tutaj musimy, że autor broszury, p. Dubrowskij, jest wychowańcem uniwersytetu warszawskiego, co mu tak ułatwiło napisanie broszury, oraz znawcą stosunków miejscowych, gdyż jest profesorem literatury rosyjskiej w szkołach polskich, gdzie cieszy się zasłużonem poważaniem i uznaniem ogólnem. *Edw. Chwalewik.*

Dr. Józef Rostafiński, prof. Uniw. Jagiell.: *O pierwotnych siedzibach i gospodarstwie Słowian przedhistorycznych.* Kraków 1908, str. 28, z mapą. (Odbitka ze Sprawozdań z posiedzeń Akademii Umiejętności).

O pierwotnych siedzibach i gospodarstwie Słowian w przedhistorycznych czasach przygotowuje obszerną pracę prof. Józef Rostafiński, profesor botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim. Tymczasowy komunikat, stanowiący zarazem streszczenie pracy i opisujący jej metodę, wyszedł w sprawozdaniach Akademii Umiejętności wydziału historyczno-filozoficznego za miesiąc marzec 1908 r.

Prof. Rostafiński zajmuje się już oddawna historyą flory polskiej i wydał dużo prac w tym zakresie; badania te wprowadziły go do studyów z zakresu historyi gospodarstwa. Już przed 20 laty wydał cenną rozprawę p. t. „Polska z czasów przedhistorycznych pod względem fizyograficznym i gospodarskim" (Rocznik Akademii Umiejętności, 1887), pełną nowych a bardzo racyonalnych pomysłów do tej sprawy. Można powiedzieć o prof. Rostafińskim, że w naukach przyrodniczych odkrył nową ich stronę, czyniąc z nich naukę pomocniczą historyi.

Na podstawie geografii roślin i nazw drzew w językach słowiańskich dochodzi prof. R. do wniosku, że pierwotną ojczyzną Słowian były środkowe obszary Rosyi, tak jednak, że nie stykali się z granicą buku i cisu na zachodzie. Inwazya Scytów zmusiła ich cofnąć się ku północy i część Słowian zajęła wtedy Polesie, tudzież puszcze leśne na wschodzie. Póki nie było Scytów, stykali się bezpośrednio z Grekami, a potem dostawali się Grecy do nich rzekami czarnomorskiemi.

Wyraz „lach" nie oznaczał pierwotnie pochodzenia etnograficznego, ale rodzaj zajęcia. Lachowie — to tacy rolnicy, którzy zdobywają rolę przez wypalanie lasu, i gospodarze na „lędzinie". Lachami byli nestorowi Radymicze i Wiatycze. Byli to ruscy „lachowie", którzy siedzieli gdzieś

od pradoby, a od nich oddzieliła się potem część rodów i przeszła nad górną Wisłę, zakładając nową krainę polskich „lachów“. Osiedlenie dolnej Wisły i Wielkopolski dokonało się z Polesia.

Stwierdzony już dawniej przez profesora archeologii Demetrykiewicza fakt, że wschodnia grupa wykopalisk słowiańskich jest daleko bogatsza i wykazuje wyższą kulturę od zachodniej — tłumaczyłby się hypotezą prof. Rostafińskiego całkiem jasno: „kto pozostaje w swej ojczyźnie, nic nie traci z kultury — emigrant wnosi z sobą tylko właściwości rodowe“. Na zachodnią Słowiańszczyznę oddziaływała zrazu cywilizacyjnie tylko Skandynawia.

Pierwotni Słowianie byli już rolnikami. Od Greków dostali rżę (żyto), a żelazo wyrabiać nauczyli się od Scytów. Rudy nie brakło na Polesiu. Przez Słowian dopiero dostała się sztuka wyrabiania żelaza do Skandynawii, a po rozejściu się Słowian sztuka wypalania lasów rozeszła się w północno-zachodniej Europie.

Znali pierwotni Słowianie i pług i sochę, bo pługu używali na stepie, a soch na lędzinach w puszczy.

Na Podkarpacie doszli Słowianie drogą naturalną, wskazaną przez pokłady lotnej gliny (loess). Wydanie mapy Europy z oznaczeniem pasm „loesu“ wyjaśniłoby niejedno zagadnienie z wędrówek ludów. Lotna glina nie porasta bowiem nigdy lasem.

МИРОСЛАВ СІЧИНСЬКИЙ: Історичні пісні українского народа впорядкував ... Ціна 8 кот. Львів 1908. Накладом українскої академічної молодїжи.

Książka, a właściwie broszurka, opracowana przez zabójcę hr. Andrzeja Potockiego! Mimowoli wzbudza ciekawość, tembardziej że — jak słychać — oddana została do druku przez Siczyńskiego w przeddzień dokonania mordu. Cel tej broszury wyraźnie agitacyjny; świadczy o tem cały układ, a zupełnie otwarcie przyznaje to przedmowa w swym końcowym ustępie: „puszczamy znów między naród dawne pieśni. Niech ludzie nasi czytają je, niech rozpamiętywają dawną sławę i niech podejmą na nowo walkę o Ukrainę“.

Na 27 stronicach znajduje się 24 śpiewów, ugrupowanych w trzy działy: 1) Tatarzy i Turcy, 7 śpiewów zajmują 5 i pół strony; 2) Walka z Polską, 13 śpiewów zajmują 15 stron i 3) Walka z Moskwą, 5 śpiewów zajmnje 2 i pół stronicy.

Tendencya więc broszurki widoczna, a odbito ją w 15 tysiącach egzemplarzy, t. j. w ilości trzy razy większej, niż pierwszą broszurkę z tego samego cyklu wydawnictw „Taniej biblioteki“ (Дешева библїотека). Oczywista spekulacya na popularność mordercy.

АНТОНЪ ЖВАНЪ: Политическіе очерки. Варшава, 1908 r. (str. 82).

Książka rosyjska pisana przez Polaka, a poświęcona „wszystkim Rosyanom o słowiańskiej duszy“. Zjawisko nie częste! Skwapliwie wglądamy więc w treść i dochodzimy do przekonania, że nowych myśli autor w swej książce nie rzucił, co nie przeszkadza, iż dla czytelników rosyjskich będą w niej nowości na każdym kroku, bo stosunki polskie są w społe-

czeństwie rosyjskiem ciągle jeszcze zbyt mało znane, a sprawa polska stale źle pojmowana. Z tych powodów takie informacyjne książki rosyjskie o nas i o naszych stosunkach zawsze będą pożyteczne. Na treść tych „Szkiców politycznych" składa się pięć artykułów: 1) Stosunki polsko-rosyjskie w ostatniem trzechleciu; 2) Z powodu sprawy ruskiej; 3) Czy jest możliwe porozumienie polsko-rosyjskie? 4) Co należy uczynić dla osiągnięcia porozumienia polsko-rosyjskiego? i 5) Z ostatnich dni.

Tam, gdzie autor opiera się na materyałach z pism i gdzie jest tylko referentem, informującym czytelnika rosyjskiego, wszystko jest w porządku — ale z chwilą, kiedy stawia od siebie wnioski i wywody, znać, iż mamy do czynienia z przedstawicielem „polityki realnej" dawniejszego autoramentu. Nazbyt silne robienie nacisku na dbałość o dobro Rosyi musi na przeciętnym Rosyaninie zrobić wrażenie nieszczerości, a twierdzenie, że objawy współczucia ze strony narodu rosyjskiego z powodu wywłaszczenia w Poznańskiem przyjęte byłyby przez nas z większym zachwytem i wdzięcznością, niż nadanie samorządu, jest sobie frazesem, którego autor nie powinien był wyrażać w liczbie mnogiej.

Pomimo jednak tych wszystkich usterek, pomimo pewnych braków stylu i języka, książka p. Żwana zasługuje na uznanie, jako dążenie do przysłużenia się sprawie ojczystej. *Ad. L. S.*

Stefania Laudynowa: *Kwestya Polska* i inne. Listy polityczne „Polki" drukowane w gazecie *Ruś* od 1 (14) października 1904 r. po 10 (24) listopada 1907 r. Warszawa 1908, w 8-ce str. 98.

Listy te obiegały niedawno całą inteligencyę rosyjską — im zawdzięczała w niemałym stopniu *Ruś* swoją popularność. Przypuszczano zrazu, że Orzeszkowa jest tą pisarką. Dobrze zrobiła autorka, że zdecydowała się wydać je w polskim przekładzie. Prawdziwy to dokument historyczny, bo „listy" idą tokiem wypadków tak brzemiennych w ważne wydarzenia lat, a w dyskusyi publicznej wiodą często prym, dając nieraz inicyatywę do podjęcia pewnej kwestyi lub jasnego jej określenia. Wszak to p. Laudynowa pierwsza wyrzekła słowo: „autonomia!", gdy ze strony rosyjskiej zapytywano, na jakich warunkach może nastąpić porozumienie. Autorka przemawiała zawsze wyraźnie i szczerze. Pragnąc gorąco pogodzenia się Polski z Rosyą, pozostając na gruncie państwowości rosyjskiej, przemawia jednak z otwartą przyłbicą, w takie np. słowa:

„Bądźcież sprawiedliwi! Wszak do dziś dnia święcicie rocznicę kulikowskiej bitwy, w której zrzuciliście z siebie jarzmo tatarskie... które przecież nie dotykało ani języka waszego, ani religii, ani urządzeń krajowych. Błogosławicie wszak dzień ten, uwielbiacie jego bohaterów..."

Stawiając kwestye polityczne z całą bezwzględnością rozsądku i konieczności, a określając je dobitnie, dosadnie, nie wychodzi jednak p. Laudynowa z zimnych rachub, jako ze swych założeń. Sama za marzycielkę się podaje, staje w obronie „marzycieli" i polemizuje z nadzwyczajną werwą o to, że marzycielstwa nie należy bynajmniej uważać za wadę narodu polskiego.

„Słabi tylko upadają pod naporem losu; silni prostują się, wyniośle rzucając wyzwanie losowi — odradzają się" — czytamy w jednym z „listów".

— „Być może, że nieszczęsna ta wojna stanie się dla was kiedyś najbardziej znamiennem świętem, od którego zaczął się pochód Rosyi ku światłu .

Gorżką prawdę mówiła autorka zawsze otwarcie, bez osłonek, — a jednak w artykułach jej niema zgoła tonu moralizatorskiego, ale wieje z nich zawsze serdeczne ciepło. Polka na wskróś — istne uosobienie typu Polki, — a miłość Ojczyzny opiera na wszechludzkich ideałach i wierzy, wierzy głęboko, w chrześcijaństwo. Szlachetność ducha połączona z wyrobieniem ducha — oto charakterystyka autorki.

Czyta się te „listy“ z wielkiem zajęciem nietylko dlatego, że ich tok stanowi niejako dobre repetitorium doby, która zdecydowała o kolejach życia publicznego nietylko w Polsce i w Rosyi, ale pośrednio o nowej polityce całego świata; czyta się je mile i dla tych licznych uwag, porozsiewanych przy każdej sposobności w imię najwyższych ideałów, a pięknych i trafnych zarazem, a nadto ujętych w doskonałą formę. I tu dochodzi się do pewnego wniosku o autorce:

Ten styl oryginalny, sposób obrazowania, szczególny dobór akcentów ideowych, zdolność wydobycia silnych wrażeń sposobami prostemi, a zdatność sprawiania wrażeń rozmaitych, wzbudzania i refleksyi i zapału — naprowadzają na wniosek, że „rubryka polska“ w *Rusi* dopomogła do objawienia się nowemu talentowi literackiemu. Tak jest, p. Laudynowa posiada widocznie ten talent i powinna poświęcić się piśmiennictwu.

F. K.

KRONIKA.

Podwójny zeszyt, za sierpień i wrzesień, wydajemy, — jak w zeszłym roku — z góry, z początkiem lipca. Konieczność wypoczynku dla współpracowników łączy się tu ze zmniejszonem zajęciem samych prenumeratorów, rozpraszających się w letnich podróżach. Praktyka ta przyjmuje się coraz bardziej w redakcyach miesięczników, z których jedne wydają zeszyty podwójne za lipiec-sierpień, drugie za sierpień-wrzesień.

Następny zeszyt wyjdzie 1-go października.

Rozprawa p. Gorskiego o niemieckich organizacyach w Królestwie Polskiem wyszła w tłumaczeniu rosyjskiem B. G. Kniaziewa — a przekład obiega całą prasę rosyjską, podobnie, jak oryginał obiegł polską. I niemiecka prasa poruszyła się, bo wywody autora trafiły dobrze w osie gniazdo. Rumor pójdzie dalej na zachód, do Francyi i Anglii.

Autor spełnił prawdziwie czyn obywatelski i kto wie, czy praca jego nie wyda konkretnych skutków. W gubernii piotrkowskiej spisuje się majątki niemieckie, a ministerstwo wydało polecenie, żeby zbadać naturę strategiczną niemieckiego osadnictwa w Królestwie Polskiem. Ale... jeżeli wykonania tego polecenia nie powierzy się jakiej komisyi mięszanej, złożonej z oficerów rosyjskich i polskich, jeżeli mają to robić sami czynownicy — pożal się Boże! Wszak władze rosyjskie w Kongresówce są już dawno „zjednane“ przez Prusaków!

Goście słowiańscy w Krakowie. Poseł do sejmu zagrzebskiego, p. **Stjepan Radić**, twórca chorwackiego stronnictwa ludowego, bawił w Kra-

kowie w pierwszej połowie lipca. Miał odczyt w Klubie słowiańskim, po polsku wygłoszony, którego część podajemy w niniejszym zeszycie.

Postać to znana dobrze naszym czytelnikom z częstych wzmianek o nim w *Świecie Słowiańskim* i ze sprawozdania o pięknem jego dziele Uzeničke Ispomene (wspomnienia więzienne), które wartoby przetłumaczyć na język polski.

Człowiek niesłychanej rzutkości i przedsiębiorczości, nadzwyczajnej odwagi cywilnej, a zapatrzony w przyświecającą mu ideę tak rzeczywiście fanatycznie, z zupełnem poświęceniem wszelkich względów osobistych, że niewiele można spotkać podobnych przykładów. Syn ludu, ludowi całkowicie się poświęca i wszczyna ruch ludowy, potężny, żywiołowy, ale nie jako walkę klasową, nie jako opozycyę przeciw społeczeństwu, lecz jako niezbędne dla normalnego rozwoju społeczeństwa uzupełnienie. Jego pučka stranka jest stronnictwem katolickiem i nie wzywa do nienawiści względem nikogo. Radić jest niezrównanym mówcą wiecowym. Łączy spryt ks. Stojałowskiego z wymową Daszyńskiego i Stapińskiego, ale ma nadto jeszcze — wysoki poziom umysłu, nie mówiąc już o poziomie etycznym, wzbudzającym cześć u każdego, kto miał sposobność bliżej go poznać.

Ten na pozór typowy agitator chłopski — to dobry ekonomista, uczeń paryskiej Ecole des sciences politiques, wielki bywalec, znający doskonale kulturę Zachodu, władający niemal wszystkiemi językami europejskiemi; on nie dlatego jest agitatorem, że to intratny zawód dla człowieka, który inaczej byłby bakałarzem wiejskim lub dyurnistą, a może pisarzem pokątnym — jak mamy takich okazów dosyć, — ale człowiek, który najpierw się uczył dużo i posiadł wszelkie kwalifikacye, a potem poświęcił się na agitatora. Agitacya, wiece itp. nie są też dla niego celem, tylko środkiem, którego używa w miarę potrzeby, a celem nie lud, lecz naród.

Stjepan Radić nie jest bowiem wcale politykiem „ludowym“, lecz narodowym, pragnącym polityce narodu chorwackiego dodać nowych sił przez dorzucenie sił ludu do pracy narodowej. Patrzy w przyszłość daleko. Należy pod tym względem do najbardziej przewidujących polityków chorwackich.

Należał od początku do przeciwników rezolucyi rjeckiej.

W poglądach na sprawy słowiańskie zgodny najzupełniej ze *Światem Słowiańskim,* pełen sympatyi dla wszystkiego, co polskie, jest tem cenniejszym przyjacielem, że doszedł do tych przekonań własną pracą, poznawszy wpierw dobrze Rosyę.

W Krakowie bawił już raz przed kilku laty; zbliżając się coraz bardziej do polskiej kultury i polskiej myśli politycznej, zabrał obecnie do systematycznego studyowania naszej historyi, literatury i stosunków społecznych.

Charakterystycznem dla tego „agitatora ludowego“ jest, że posłał z Krakowa do Zagrzebia artykuł o polskiej arystokracyi, pełen dla niej pochwał za jej patryotyzm i ducha obywatelskiego.

U madiarskich slawofobów zapisany jest Stjepan Radić wielkiemi głoskami; miał nazbyt wiele sposobności zapoznać się z madiarskimi sądami i więzieniami. Nie lubią szczególniej jego wycieczek do „Cislitawii!“.

Organem Radića jest *Dom*; przedtem wydawał przez kilka lat miesięcznik *Hrvatska Misao*.

Miłego gościa spodziewamy się zobaczyć znowu jesienią, i to na czas dłuższy. Oby nie zaszły żadne przeszkody w spełnieniu tego zamiaru!

Ks. Dr. Leopold Lenard, nasz dzielny słowieński przyjaciel i łaskawy współpracownik naszego pisma, bawił w Krakowie z początkiem lipca w powrocie z Warszawy. Chcąc bowiem poznać z autopsyi stosunki polsko-rosyjskie, spędził w Warszawie trzy kwartały, a spędził je bardzo pracowicie, wyzyskawszy czas doskonale.

Przez cały ten czas władze warszawskie „opiekowały się“ naszym przyjacielem, aż w końcu poproszono go, żeby opuścił „Priwislinje“. Przez kilka dni ostatnich przypominano mu w sposób „istinnie“ prymitywny, że ma wyjechać, interesując się nawet godziną wyjazdu. Prawdopodobnie

„opieka“ towarzyszyła mu tym samym pociągiem do granicy.

Szkoda, że doświadczeń zebranych przez naszego przyjaciela w Warszawie nie można publikować, bo to pierwszorzędny materyał do psychologii, warszawskiego generał gubernatorstwa.

O pobycie **delegatów rosyjskich**, wracających z konferencyi praskiej, w Krakowie, zobacz niżej w rubryce: „Konferencya praska“.

Akademia Cyrylo - Metodejska ma powstać na Welehradzie morawskim, a więc pod opieką tamtejszego kolegium jezuickiego. Katolicki tygodnik praski *Nový Věk* donosi, że znalazł się mecenas, składający znaczny fundusz na założenie tej Akademii. Ma to być powszechnie-słowiański wydział teologiczny, uprawiający przytem specyalnie słowiańską historyę kościelną i punkty sporne pomiędzy kościołem rzymskim, a cerkwią wschodnią. Prócz przedmiotów teologicznych, mają być wykładane języki i literatury słowiańskie i nauki socyologiczne. *Nový Věk* wzywa uczonych z pośród młodszego duchowieństwa czeskiego, żeby się przygotowywali już teraz do habilitacyi w tej Akademii.

„Idea cyrylo - metodejska“, propagowana przez Jezuitów z Welehradu,—to dążenie do wzmocnienia unii brzeskiej w całem państwie rosyjskiem, stare marzenie o pozyskaniu Rosyi dla katolicyzmu za pomocą unii. Akademia welehradzka miałaby więc na celu wychowywanie unickich misyonarzy dla propagandy na Rusi i w Rosyi.

Frekwencya politechnik austryackich. Najwięcej uczniów miała politechnika wiedeńska, 2901, na drugiem miejscu czeska praska 2541, lwowska 1494, niemiecka praska 1030, gradecka (Graz) 693, niemiecka w Bernie 603, a czeska tamże 411.

Konferencya praska.

Jakkolwiek zewnętrzna podnieta do odbywającej się w Pradze „konferencyi słowiańskiej wyszła z Rosyi (znana ofiara 100.000 rubli prof. Borzenki na odbywanie peryodyczne zjazdów słowiańskich), jednakże istotna inicyatywa moralna wyszła z Czech i z Polski. To, co się dzisiaj „neoslawizmem“ zowie, a co dopiero od niespełna roku odbywa się w Rosyi, nie jest niczem innem, jak tylko cząstką programu krakowskiego Klubu Słowiańskiego, założonego w grudniu 1901 r., programu wykładanego konsekwentnie przez krakowski miesięcznik *Świat Słowiański*, wychodzący od stycznia 1905 r. Kilkoletnia działalność Klubu i pisma przygotowała w opinii polskiej grunt pod przyjęcie idei słowiańskiej, nadawszy jej od początku formę taką, że można ją było przyjąć bez szkody dla interesów narodowych i bez uszczerbku dla godności narodowej. Proste rozpatrzenie się w datach chronologicznych stwierdza, że kierunek nowego prądu słowiańskiego wyszedł z Krakowa i stąd rozchodzi się powoli po Słowiańszczyźnie.

Potrzebę rewizyi programu „wzajemności słowiańskiej“ odczuli Czesi w r. 1906., nie bez wpływu krakowskich prac w tym kierunku. Ale sprawa szła w Pradze w tempie powolnem i zabierano się do niej z wielką ostrożnością, jako do kwestyi „drażliwej“. Dawny panslawizm bankrutował, nowego programu Czesi nie obmyślili i w publicystyce czeskiej można było czytywać nierzadko zdania, że naród czeski nie ma właściwie w idei słowiańskiej żadnych realnych interesów. Ale w Czechach jest niezmierne przywiązanie do tej idei, ogromnie napięta uczuciowa strona przedmiotu, poczucie słowiańskie silne nad wyraz. I szukaniem dróg nowych zajęli się nie politycy (popadający w coraz większy sceptycyzm), ale — poeci, powieściopisarze, literaci, zorganizowani w stowarzyszeniu zawodowem: Maj i wydający tygodnik pod tym samym tytułem.

W kwietniu 1906 r. urządziła redakcya *Maja* ankietę (pisemną) na temat: Czy możebna jest wspólna akcya słowiańska w Austryi? *Świat Słowiański* zdawał szczegółowo sprawę z przebiegu tej ankiety w swych stałych „przeglądach prasy słowiańskiej , w zeszytach od maja do sierpnia 1906. Reasumując wyniki ankiety w artykule wstępnym zeszytu z sierpnia 1906, stwierdzała redakcya *Świata Słowiańskiego*, że

„myśl czeska uczyniła krok ku polskiej i to krok znaczny".

Politycy nie kwapili się pójść za pisarzami, ale w końcu poszli. W roku 1907 zrobiła redakcya *Maja* dalszy krok: podała pod rozwagę czeskiej Rady Narodowej projekt. żeby przy tej poważnej instytucyi — stanowiącej niejako wydział wszystkich stronnictw, a więc i łącznik ich zarazem — utworzyć osobny komitet do spraw słowiańskich z tą dyrektywą, żeby komitet ten dążył do zwołania zjazdu słowiańskiego. Projekt przyjęto. Zajmował się nim gorliwie ś. p. poseł Herold, prezes Rady Narodowej i jej wiceprezes Dr. Władysław Černý (którego odróżniać należy od redaktora *Slovanského Přehledu,* Adolfa Černego). W sprawie zjazdu słowiańskiego odbył ten komitet 9 posiedzeń, a raczej zjazdów mężów zaufania, ale głośne wystąpienie z hasłem zjazdu uważano za przedwczesne. Ułożono na razie broszurę o owej ankiecie *Maja,* przetłumaczono ją na 7 innych języków słowiańskich (na słowackie z czeskiego tłumaczyć nie trzeba, tak bliskie sobie są te języki) i porozsyłano do wybitniejszych Słowian w Austryi z prośbą o opinię.

Akcya czeska ograniczała się tedy do granic monarchii austryacko-węgierskiej. Poza te granice nie mogli się posunąć inaczej, jak tylko po obmyśleniu nowej formuły na stosunki polsko-rosyjskie. A do tego (Bogiem a prawdą!) nie mieli ochoty, bojąc się tykać tej sprawy „drażliwej". Formułę taką ogłosili wprawdzie Polacy już w r. 1905., zaraz po pierwszych epizodach „rewolucyi" — ale możnaby na palcach policzyć Czechów, którzy mieli odwagę przyjąć ją za swoją. Niewyraźność stanowiska w sprawach polsko-rosyjskich, dwulicowość, jest jeszcze teraz znamienną cechą głównego dziennika czeskiego, *Narodnich Listów.* Literaci czescy dawno już powiedzieli sobie, że Królestwo Polskie powinno mieć autonomię, a w każdym razie język polski urzędowy w szkole, w sądzie i w urzędzie; politycy czescy dziś jeszcze nie zdobyli się na to, żeby powiedzieć to jasno i wyraźnie i zwykli nawet teraz jeszcze używać frazesów z nieoznaczonemi wartościami, jak np. „dać Polakom, co im się należy" — „urządzić stosunki na podstawie wolności i braterstwa" i t. p. Są to frazesy, na pozór ogromnie dużo w sobie mieszczące, do których można jednak także dodać interpretacyę dowolną i wykręcić ich sens, jak się komu spodoba.

Opinia publiczna czeska parła więc na polityków, żeby się zajęli sprawą słowiańską, ci zaś nie chcąc brać na siebie krytyki stosunków polsko-rosyjskich ograniczyli się do austro-slawizmu.

Dopiero, gdy Rosyanie sami zrobili to, czego zrobić bali się Czesi, (żeby się nie narazić Rosyanom), gdy grono poważnych polityków rosyjskich przyjęło (w zasadzie przynajmniej) formułę polską, gdy rzucono myśl, żeby w Zakopanem odbyła się konferencya, chwycił się Dr. Kramař hasła „neoslawizmu", a nawiązując projekty Borzenki i akcyę petersburskiego „Klubu Działaczy społecznych" do dawniejszych projektów redakcyi *Maja* — obmyślono „konferencyę praską".

Komitet do spraw słowiańskich przy czeskiej Radzie Narodowej odbył posiedzenie w wigilię konferencyi, dnia 11. lipca 1908, wybierając prezesem swym Dra Kramařa.

Komitet ten utworzył 4 sekcye: informacyjną do spraw publicznych, oświatową, ekonomiczną i turystyczną.

Komitet ten ma się też ewentualnie zająć przeprowadzeniem uchwał konferencyi praskiej (oczywiście w sprawach niepolitycznych).

Tak było w samą wigilię konferencyi. Wszyscy bowiem niedowierzali, czy się konferencya uda; na wszelki więc wypadek chcieli Czesi mieć coś, co przedstawiałoby jakiś ciąg idei, żeby ją jako tako przetrzymać do lepszych czasów i nie dać jej przynajmniej formalnie upaść. W najgorszym więc razie komitet słowiański Rady Narodowej zbierałby okruchy konferencyi, starając się coś z nich zrobić. Przezorność chwalebna, godna największego uznania, świadcząca, jak poważnie rzecz traktowano.

Konferencya jednak udała się nadspodziewanie dobrze.

Nie opisujemy jej przebiegu, bo cała prasa polska podawała sprawozdania jak najdokładniejsze, szczegółowe. Jeden chyba tylko szczegół pominięto, a mianowicie drobiazg, ale znamienny dla nastroju panującego w Pradze, że rosyjscy delegaci Bobrinskij, Makłakow, Lwow, Giżickij, Iskrickij, Sobolew i Komarow wpisali się w Pradze na członków tamtejszego „Sokoła", dali sobie tam szyć mundury sokole i pokazywali się już w Pradzę w tem ubraniu. Donosiła o tem *Českoslovanská Korespondence.*

Silnem podkreśleniem całej konferencyi było przybycie rosyjskich delegatów do Krakowa i Lwowa, — a zwłaszcza, że byli to październikowcy i członkowie prawicy: Lwow, Bobrinskij, Giżyckij, a tylko Wołodimirow z góry „pewny", jako skłaniający się ku partyi mirnawo obnowlenja. Szczegółowe opisy przyjęć i mów były w gazetach. Tu tylko notujemy pro rei memoria słowa Bobrinskiego:

„Rozumiemy krzywdę, jaką wam wyrządzamy i wyrządzaliśmy. Takich pośród nas jest coraz więcej..... Rychła zgoda między nami, to nieubłagana konieczność, niezależna od jakichkolwiek okoliczności. Nastąpić ona musi, musi zamienić dotychczasową niezgodę na obopólną przyjaźń. To jest nasz cel wspólny i interes. W waszym prastarym grodzie dziękujemy wam za gościnność i serce tym oto toastem, wychylonym za waszą swobodę i wasz przyszły rozwój".

Giżyckij, członek skrajnej prawicy, mówił, że miał przez długi czas wątpliwość, czy może kiedykolwiek przyjść do zgody pomiędzy Polską a Rosyą, a nawet sam był tej idei przeciwnikiem, ale przekonał się, że ideę tę można popierać i będzie ją też na przyszłość gorliwie popierał.

We Lwowie przyjęcie było efektowniejsze — jak zawsze wszystko we Lwowie — i zgadzamy się w tem ze *Słowem Polskiem,* że wiceprezydent miasta Rutowski niepotrzebnie wyskoczył poza ramy konferencyi praskiej, mówiąc tak, jakby już wszystko pomiędzy nami było załatwione! Wzorem pod tym względem mogły być krakowskie przemówienia pp. Morawskiego i Zdziechowskiego.

Nienawistnie względem konferencyi usposobieni **ukraińcy**, wołający, że to nowy zamach Polaków, tym razem w spółce z Rosyanami, na ich krzywdę i zniszczenie, doczekali się podczas samej konferencyi dowodu na to, a mianowicie takiego, że Polak p. Łypacewicz (delegat postępowców warszawskich) żądał dla nich miejsca w komitecie centralnym wykonawczym

W Przemyślu i we Lwowie urządzili **ukrainofile** demonstracye przeciw delegatom rosyjskim i moskalofilom. Zadowolona z tego prasa niemiecka, zwracała uwagę na niekompletność prądu słowiańskiego, skoro brak w nim „33,000.000" Rusinów. Warto z tego powodu utrwalić, co redaktorowi *Słowa Polskiego* mówił na temat stanowiska ukrainofilów wobec zjazdu hr. Bobrinskij:

„Nie mogę nic konkretnego powiedzieć, bo nie znam stosunków tutejszych. To tylko muszę stwierdzić, że w delegacyi rosyjskiej przeszło połowę stanowili Małorusini. Zresztą nic przyjemniejszego dla nas nie było, jak słuchać przemówienia ks. Dawydiaka, wygłoszonego w narzeczu małoruskiem, na które w tem samem narzeczu odpowiadali nasi delegaci. Więc byli na zjeździe Małorusini, a nie było tylko „ukraińców". Wielkorosyanie, jak ja sam, chociaż w południowej Rosyi nigdy nie byli, rozumieli ten język jak swój rodzony. U nas w Rosyi „ukrainizm" istnieje w znaczeniu terytoryalnem, jako prowincyonalizm, powiedzmy, jak prowincyonalizm prowansalski lub t. p., ale nikt nie śmie mówić o „samostijnosti" nie dlatego, że to zakazane, ale że przyjętoby to śmiechem. Klasyczny przykład mieliśmy podczas zjazdu moskiewskiego w czasie tworzenia się konstytucyi. Kiedy mówiono o autonomii Polski, jedni godzili się na nią, drudzy nie, ale wszyscy uważali tę kwestyę za kwestyę poważną, aktualną, a gdy jakiś pan wyrwał się z postulatem autonomii Ukrainy, wywołał „dobroduszmiju ułybku". Zresztą gdzie wolność, tam niema

ukrainofilstwa, bo to choroba, która istnieć może tylko w chorym organizmie, a z wyzdrowieniem organizmu i choroba zniknie".

Notujemy to, bo nasuwa się nam myśl, czy też i galicyjskie ukrainofilstwo nie straciłoby żądła, gdyby udało się przeprowadzić reformę administracyi. Już w pierwszym roczniku *Świata Słowiańskiego* zwracaliśmy uwagę, że kwestya ruska w Galicyi jest przedewszystkiem... niedomaganiem naszych urzędów administracyjnych. Z biegiem czasu utwierdzamy się też coraz bardziej w mniemaniu, że lwia część przykrej strony tej sprawy ma źródło nie gdzieindziej, jak w złej administracyi kraju.

Może i u nas radykalne ukrainofilstwo jest tylko objawem „chorego organizmu"?

Fronda warszawska.

W stronnictwie zwanem vulgo wszechpolskiem, a zwącem się narodowo-demokratycznem (N-D- „endecy") była już dawno opozycya przeciw p. Dmowskiemu. Wybuchnęło to jawnie i głośno, gdy Prezes Koła polskiego w Petersburgu oświadczył się za udziałem w prądzie słowiańskim; opozycya chwyciła się tej sposobności i powstała w Warszawie grupa, którą nazwano tam „frondą", a której organem *Goniec*. Odłam ten wyzyskuje brak informacyi o sprawach słowiańskich wśród szerszej publiczności, (*Świat Słowiański* nie ma debitu w państwie rosyjskiem), a przedstawiając tę sprawę tak, jak ona się miała za najlepszych czasów „kazionnago sławjanofilstwa", zarzuca p. Dmowskiemu odstępstwo, zatratę godności narodowej i t. d. i prowadzi ostrą kampanię celem „ochrony ideałów narodowych" od „zatonięcia" w niebezpiecznem ze względu na Rosyę „poczuciu plemiennem"; słowem, ruch słowiański jest dla nich pansławizmem i rusyfikacyą.

Stanowisko przestarzałe może wystarczyć tylko dla organizacyi sztucznej, czerpiącej siłę nie tyle z haseł, ile z poparcia rządu — i w historyi najnowszej Europy jest kilkanaście przykładów stronnictw wcale silnych, chociaż obstających przy przestarzałych założeniach swych programów; bywały to zawsze stronnictwa rządowe. Ponieważ w tym wypadku nie może być mowy o takiej kombinacyi, trudno więc przypuścić, żeby z „frondy" wyrobiło się regularne, zorganizowane, poważne stronnictwo. Należeć będą do niej tylko osoby z reguły mniej zajmujące się życiem publicznem, mniej czytujące, mniej ukształcone, powtarzające machinalnie formułki przyswojone dawniej — słowem frazesowicze, nie bardzo wiedzący, co się dzieje na Bożym świecie, ale lubiący wszystko krytykować. Jakżeż z takich żywiołów utworzyć porządne stronnictwo, tj. organizacyę polityczną? Ten i ów może zrazu należeć do takiej partyi z głębszego przekonania; ale wystarczy, żeby się wzbudziło większe zamiłowanie do czytania, żeby się bardziej wykształcił i oświecił, a opuści partyę! Taka partya może być zdatna do burd, ale nigdy do czynu politycznego. Zaniosło się więc na opozycyę hałaśliwą, ale bez politycznego znaczenia.

Niemniej przeto „endecya" nie powinna lekceważyć „frondy", pomnąc, że szkodzić może każdy.

Jakie rozmiary przybierze „fronda", przewidywać trudno. Bardzo być może, że na ilość będzie się przedstawiać pokaźnie — bo społeczeństwo pozbawione od dwóch pokoleń życia publicznego, nie może się odznaczać zmysłem politycznym. Z tą okolicznością trzeba się liczyć i być na wszystko przygotowanym. Ale choćby „fronda" była jak najliczniejszą, nie będzie miała nigdy dobrego sztabu, ani też stałego kierunku, bo nie może obfitować w wybitne indywidualności. Będzie to masa nieskrystalizowana, w której będą wyławiać z boku adeptów inne stronnictwa: socyaliści i postępowcy.

Znamiennem już jest, że postępowcy urządzają właśnie nagonkę na swe komitety i zarząd główny za wysłanie delegacyi do Pragi. Z tej równoczesności objawów można wysnuć pewne wnioski...

Dla siły politycznej społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim byłoby w każdym razie klęską powstanie liczniejszej partyi z programem wyłącznie ne-

gatywnym, a więc właściwie bez programu. Byłoby to coś nakształt Rusinów „ukraińców“ w Galicyi, którzy wiedzą tylko, czego nie chcą, ale nigdy nie wiedzą, czego chcą. Umieją narobić hałasu, narobić kłopotu, słychać ich na cały świat, — ale są przytem politycznie słabi. Bałamuctwo, dezoryentacya polityczna, błąd po błędzie, skutki wręcz przeciwne zamiarom — oto zwykłe koleje partyj tego rodzaju.

Jeżeli już ma być opozycya przeciw p. Dmowskiemu i słowianofilstwu polskiemu, niechże będzie porządna, a nie jakaś tromtadracya w nowem, ale spóźnionem wydaniu.

Goniec nie należy do pism, utrzymujących z nami wymianę wydawnictw. Pośrednią drogą dowiadujemy się, że rozpoczął kampanię przeciw *Swiatu Słowiańskiemu,* głosząc że pismo nasze szkodliwe jest dla sprawy polskiej—a robiąc to w formie prostackiej.

Nasza redakcya nie takie wytrzymała ataki, wszak cała niemal prasa polska uważała nas z początku za szkodliwych. Niemal wszyscy zwolennicy *Swiata Słowiańskiego* składają się z niedawnych jego nieprzyjaciół!

Na polemiki nie traciliśmy nigdy czasu. Trzymamy się w pracy naszej wyłącznie metody pozytywnej, t. j. robimy swoje, licząc na to, że sama nasza robota najlepiej przekona przeciwników.

Polemizować warto tylko z kimś, kto się zna na rzeczy. Ale, nie zdarzyło się nam dotychczas jeszcze ani razu spotkać się z przeciwnikiem obeznanym ze sprawami słowiańskiemi. Takiego przeciwnika traktowalibyśmy poważnie. Ale oświadczać się przeciw czemuś, czego się zgoła nie zna — toć histerya, a nie opozycya! Opozycyonista musi znać dokładnie przedmiot swej opozycyi, bo bez tego cała opozycya jest pozbawiona wartości.

Jeżeli więc *Goniec* chce gruntownie zwalczać prąd słowiański w Polsce, musi się postarać o współpracowników obytych należycie z narodami i sprawami słowiańskiemi. Inaczej powiedzą o nim, że pisuje o rzeczach, na których się nie rozumie.

Powtarzamy, że wśród przeciwników słowianofilstwa nie zdarzyło nam się jeszcze ani razu spotkać znawcę tych spraw; a zatem wszyscy polscy znawcy słowiańśtwa są zarazem słowianofilami. Ten fakt powinien zastanowić każdego, kto nam zechce zarzucać, żeśmy „szkodliwi“.

My ogłosiliśmy zaraz na początku, w r. 1905, hasło „słowianofilstwa bez ustępstw“. Czyżby *Goniec* nawet tyle nie wiedział?

Wiemy, że kieruje *Gońcem* miłość dobra pospolitego, a więc opozycya jego jest w zasadzie szanowną. Tem bardziej godziłoby się nadać jej także formę, godną szacunku, a nie — jak dotychczas — prostacką!

Boi się *Goniec*, że z prądu słowiańskiego skorzysta tylko Rosya na niekorzyść Polski. Kto tam jeszcze wie, czy prąd ten jest za Rosyą, czy przeciw niej?! To zależeć będzie od tego, czy Rosya ugodzi się z nami. Jeżeli nie, będzie eliminowaną, wykluczoną z polityki słowiańskiej. Można więc n sze słowianofilstwo uważać równem prawem za wymierzone przeciw Rosyi, jak za „moskalofilstwo“.

Boi się *Goniec* zatraty wpływów i kultury polskiej na Litwie i Rusi? Ależ program *Świata Słowiańskiego* należałoby raczej uważać za imperyalizm polski i nieporozumienie jest tu, tak widoczne, a tak duże, tak zabawnie duże, że tłumaczyć je można tylko nieznajomością naszego pisma. A więc znowu opozycya przeciw... „niewiadomemu“.

Zobaczymy, co wyniknie dla „sprawy polskiej“ z opozycyi prowadzonej taką metodą.

A *Świat Słowiański* jest dziś taki sam, jakim był, kiedy byli wszyscy przeciw niemu. Dzisiaj nie przemawia innym tonem, jak w r. 1905 — i nadal pozostanie jednakim. Ma pewność siebie, bo wie dokładnie, czego chce i jakiemi środkami cel osięgać. My te rzeczy znamy dokładnie i dlatego nic nas nie zbije z tropu.

Rosya i Prusy.

Podczas gdy wśród październikowców, a nawet wśród prawicy rosyjskiej Dumy należy przewidywać rozłam z powodu różnic zapatrywań na sprawę polską i stosunek

do Niemiec. — Rosya oficyalna tkwi po uszy w najserdeczniejszem prusofilstwie, a konsul niemiecki w Warszawie jest istnym panem miasta, kraju i swego chochoła — generał-gubernatora S k a ł ł o n a.

Doskonale określa tę sytuacyę artykuł p. H. W i e r c i e ń s k i e g o w *Tygodniku Illustrowanym* p. t. „M a r g r a f o w i e w a r s z a w s c y“, wart, żeby za naszem pośrednictwem dostał się do prasy słowiańskiej:

„Nie zdajemy sobie zwykle sprawy, lub niedostatecznie rozumiemy te czynniki, jakie oddziaływają w kraju naszym zarówno na politykę władz, jak i nasze własne poglądy. Czynników tych jest wiele. Do nich zaliczyć wypada organizacyę zakulisowych rządów niemieckich w krajach polskich.

Zdawałoby się to bajką. Tak jednakże nie jest. Liczą się z nią najwyżsi nawet zwierzchnicy kraju tutejszego, w obawie, ażeby w razie przeciwdziałania tym rządom, sami nie padli ofiarą intryg i insynuacyi. A jako przykład przytoczę, że nawet tak samodzielny generał-gubernator warszawski, jakim był generał H u r k o, liczył się z wpływami Niemców i z niebezpieczeństwem narażenia się im; bo, kiedy za jego wielkorządztwa zdarzyło się, że w jednej z gubernii kraju tutejszego zeszło się naraz dwóch Niemców na stanowiskach gubernatora i wicegubernatora, co w oczach jego było niedobrem (eto niełowko), nie odwołał tych nominacyi najprostszą drogą, lecz uciekać się musiał do cichych zabiegów dyplomatycznych z podwładnymi swymi, ażeby wicegubernatora „Niemca“ (właściwie protestanta) przenieść do gubernii, której naczelnikiem był Rosyanin, a nawzajem, wicegubernatora Rosyanina dać za współpracownika gubernatorowi Niemcowi.

Nie innym pobudkom przypisać należy dozwalanie Niemcom na tworzenie towarzystw nietylko sportowych, ale i strzeleckich, a jednocześnie zamykanie ich dla ludności rdzennej, miejscowej. Sprzyja to Niemcom, że wobec nich będziemy bezbronni“.

Autor dowodzi dalej, że w kraju naszym istnieje cała „organizacya wywiadowcza niemiecka“, i że organizacya ta ma nietylko kierownictwo z centrum państwa, ale i w granicach naszego kraju.

„Jest ktoś — kończy p. H. W. — co nietylko obserwuje tętno życia naszego wewnętrznego, ale je bada, styka się z niem bezpośrednio i trzyma rękę na jego pulsie. Nie może być więc nim ktoś, siedzący zdala. Zakapturzony ów szef armii osadniczej i wywiadowczej niemieckiej w kraju naszym wśród nas przebywać musi. Ze względu na obszar działalności, na wielką odpowiedzialność, jaka na nim ciąży, gdyby niezręcznym jakimś krokiem skompromitował urzędowych swych zwierzchników, nie może to być człowiek tuzinkowy. Pod skromną może powierzchnością jakiegoś burżuja ani się domyślamy męża zaufania“ swego rządu i dostojnika, bo w istocie m a r g r a f a w a r s z a w s k i e g o, torującego drogę do podbojów w przyszłości“.

Głos warszawski podał następującą wiadomość:

Pod Łochowem i pod Stoczkiem schwytano kilkanaście pruskich gołębi pocztowych. Jednego z tych gołębi miał sposobność widzieć nasz korespondent. Gołąb ma na lotkach pruskie orły, a na nóżce obrączkę metalową z literami „M. B. Sp. — 127—907“. To podróżowanie gołębi pocztowych pruskich w obrębie Królestwa Polskiego świadczy najwyraźniej, iż Prusy zorganizowały już na terytoryum naszego kraju zupełnie prawidłową wojenną służbę wywiadowczą“.

Rozprawa p. G o r s k i e g o „N i e m i e c k i e o r g a n i z a c y e w K r ó l e s t w i e P o l s k i e m“ narobiła Niemcom dużo złej krwi i wywołała sporo głosów w prasie niemieckiej, w Rosyi i w Rzeszy. Nie mamy miejsca na przytaczanie ich, ale nie możemy się wstrzymać od zacytowania jednego głosu w *Düna Zeitung*, przedrukowanego następnie w *Neue Lodzer Zeitung* i stąd przychwytanego przez prasę warszawską; głos to bowiem nader znamienny swą szczerością, butą, dochodzącą aż do naiwności. Tak mówić może tylko człowiek p e w n y s w e g o, wierzący niezachwianie, że R o s y i o f i c y a l n e j z a w s z e b ę d z i e N i e m i e c m i l s z y o d P o l a k a. Jakiś „Herr

von K.“, syn kolonisty, mającego dwór na górze, otoczony murami i nazywany w okolicy „twierdzą pruską“, przemawia w ten sposób:

„Jesteśmy przecież, jak się samo przez się rozumie, i w przeciwieństwie do Polaków tym żywiołem na zachodniej granicy, który uważać musi silne rosyjskie państwo za najbardziej korzystne dla swoich interesów, dobrze wiedząc, coby nas czekało pod polskiem panowaniem. Przez specyalne przedstawicielstwo Niemców (z Królestwa Polskiego) w Dumie wytworzyłaby się dopiero nasza wspólność (z państwem), ustaćby musiało wszelkie nawracanie (Niemców na Polaków), a państwo otrzymałoby pewny trzon ludzi, którzyby jego skład bez kwestyi uznali za prawny, czego Polak nie uczyni nigdy“... „Niebezpieczeństwo tego uzdrowienia niemieckości w Polsce i wzmocnienia idei państwowej na granicach czują Polacy i lękają się go bardziej, niż czegokolwiek innego. Stąd te oszczerstwa spokojnych, niedbających o politykę kolonistów“...

Jak tam rosyjska opinia publiczna— pisze *Przegląd poranny* — przełknie całą bezczelność tego rozumowania, że Niemcy w Królestwie Polskiem są niezbędni, aby strzedz... zachodniej granicy przed niebezpieczeństwem zagrażającem państwu rosyjskiemu, to oczywiście zależy już tylko od zdrowia umysłowego publicystów rosyjskich.

Niemcy w Galicyi.

(Działalność „Schulvereinu“ w Galicyi i „Związek Niemców galicyjskich“).

W ostatnich czasach w codziennych pismach galicyjskich pojawiły się krótkie notatki o coraz bardziej budzącym się ruchu niemieckim w Galicyi. Nikt jednak nie wspominał, kto wywołuje sztucznie ten ruch, kto daje fundusze i kto wspiera „niemieckość galicyjską“.

Rąbka tajemnicy uchyla nam ostatnie sprawozdanie słynnego i znanego z działalności w całej Austryi niemieckiego stowarzyszenia oświatowego „Schulverein“. — Jest to bardzo bogate stowarzyszenie, które w ciągu swego istnienia wydało już przeszło 12,000.000 koron na cele oświatowe niemieckie. Na Śląsku cieszyńskim działalność tego stowarzyszenia jest czysto germanizacyjna; ludność polska na Śląsku wie na własnej skórze, co to jest ów „Schulverein“. Otóż pojawiło się obszerne, drukowane sprawozdanie tego towarzystwa — i z niego dowiadujemy się o działalności Schulvereinu w Galicyi, chociaż tylko ogólnikowo.

Schulverein popiera gorąco kolonie niemieckie. I tak np. główny zarząd tego towarzystwa wysłał w ubiegłym roku 1000 książek do 9 kolonii niemieckich w Galicyi wschodniej. Nową grupę miejscową założono w Stanisławowie. Sprawozdanie mówi, że dotąd przystąpiło 37 członków. Jest to dowód — czytamy w sprawozdaniu — że duch niemiecki coraz bardziej się w polskiej Galicyi rozwija. Osobny ustęp poświęca w sprawozdaniu Związkowi Niemców w Galicyi, który utrzymuje ścisły kontrakt z Schulvereinem. W sprawozdaniu czytamy o przebiegu ostatniego walnego zgromadzenia tego Związku, który nosi urzędową nazwę: Bund der Deutschen in Galizien. Na ostatnie walne zgromadzenie przybyło, jak zapewnia sprawozdanie Schulvereinu, mnóstwo Niemców z całej Galicyi; przybyli katolicy, protestanci i Mnemonici. Przewodniczył prezes Związku p. Karol Kühner. O „Znaczeniu niemieckości w Galicyi“ referował Dr. Józef Starck, agitator Związku katolickich Niemców na Bukowinie. Co mówił, sprawozdanie dyskretnie milczy. Nie pisze również sprawozdanie, co mówił w swoim referacie „O gospodarczych zadaniach Związku“ p. Karol Kühner. Ze sprawozdania dowiadujemy się również bardzo cennej rzeczy, mianowicie, że istnieje plan zbudowania domu niemieckiego we Lwowie. Niemiec, ksiądz Zöckler ze Stanisławowa nawoływał do ofiarności i pracy w duchu niemiecko-narodowym. „Wenn die Polen die elementare Gewalt unserer Volksbewegung erkennen werden, werden sie auch darauf Rücksicht nehmen“, mowił ks. Zöckler. Te

słowa przytacza sprawozdanie Schulvereinu. Następnie wybrano Wydział (11 członków ze Lwowa, 9 z prowincyi). Przy końcu zgromadzenia nauczyciele: Roland i Mauthe, komisarz Neubeck, oraz naczelnik gminy Kolb, postawili cały szereg wniosków, tyczących się organizacyi i działalności Związku. Jednogłośnie zamianowano Dra Stransky'ego, znanego wszechniemca z parlamentu austryackiego, honorowym członkiem Związku.

Prasa galicyjska za mało się interesuje tem, że Niemcy mając fundusze, chcą sztucznie wywołać „kwestyę niemiecką“ w czysto słowiańskim kraju, jakim jest Galicya. — A to źle, gdyż inaczej będziemy prócz ruskiej, syońskiej, mieli jeszcze i niemiecką kwestyę w Galicyi.

h.

Prześladowanie w zaborze rosyjskim.

Przepyszną przygrywkę urządziła nam Rosya oficyalna do konferencyi praskiej, zakazując obchodu na uczczenie pamięci Słowackiego.

W lutym b. r. zawiązał się w Warszawie komitet w celach obmyślenia i zorganizowania obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego w roku przyszłym. Komitet ten nie uzyskał legalizacyi władz. Wskutek tego ordynat Adam hr. Krasiński ponowił osobiste zabiegi o legalizacyę u generał gubernatora, od którego otrzymał był ostatecznie wiadomość, że na przedłożenie sprawy tej do decyzyi ministra spraw wewnętrznych, nadeszła z Petersburga odpowiedź odmowna.

Słusznie powiada *Głos Warszawski*: „Żałować należy, że nie poruszono tej kwestyi na zjeździe słowiańskim“.

Do granic idyotyzmu dochodzi już zaciekłość urzędów rosyjskich przeciw wszystkiemu, co polskie, skoro w Wilnie zakazano obchodu... „wianków“; chyba tylko dlatego, że to nie jest rosyjski zwyczaj?

Łucki sąd okręgowy rozpoznawał sprawę mecenasowej Bohdanowej Felińskiej i p. Zaleskiej, oskarżonych o początkowe nauczanie dziatwy polskiej bez zezwolenia władzy. P. Zaleską skazano zaocznie na 50 rb. kary. Sprawę p. Felińskiej odłożono.

W nielicznych już naszych szkołach prywatnych kazano prowadzić dzienniki wpisowe i klasowe w języku rosyjskim i przykazano, że język rosyjski, historya i geografia nietylko muszą być wykładane po rosyjsku, ale „tylko przez osoby pochodzenia rosyjskiego“.

Jeden z nauczycieli szkoły handlowej włocławskiej, którego, jako Polaka, dotyka nowy okólnik, wniósł — jak donosi *Gazeta Kujawska*, - na Najwyższe Imię skargę na to postanowienie Rady ministrów, motywując ją tem, że rozporządzenie takie dawniej nie istniało, jako więc nowe zasadnicze prawo winno było przejść przez Dumę i Radę Państwa. Skarżący spodziewa się otrzymać odpowiedź w ciągu miesiąca, czyli przed rozpoczęciem roku szkolnego. Treść odpowiedzi nietylko przez niego będzie oczekiwaną z wielką niecierpliwością.

Warszawski urząd gubernialny, zatwierdzając Towarzystwa kooperacyjne, których ustawy odpowiadają przepisom normalnym, z góry żąda od założycieli, ażeby prowadzenie biurowości w Towarzystwach odbywało się w języku rosyjskim stosownie do przepisów, wydanych dnia 19 czerwca 1905 r. w sprawie używania języka rosyjskiego w prywatnych stowarzyszeniach Królestwa Polskiego. Bez powyższego zastrzeżenia, ustawy Towarzystw nie są zatwierdzane.

Dnia 1 stycznia 1908 w magistraturze Izb sądowych w Królestwie Polskiem nie było ani jednego Polaka i tylko jeden Polak był pomocnikiem sekretarza. W liczbie 35 prezesów sądów okręgowych było tylko 2 Polaków. Na 124 członków sądów okręgowych i handlowych było 15 Polaków; na 169 sędziów śledczych — 31 Polaków.

Z cerkwi rosyjskiej.

Z powodu prawosławnego zjazdu misyonarskiego w Kijowie pojawił się w *Pieterburskich Wiedomostiach* artykuł o trybie życia pra-

wosławnych zakonników, z którego podajemy niektóre punkty:

„Wstyd powiedzieć: pijaństwo już się nie uważa wśród zakonników za występek. Umiarkowana rozpusta, „byle bez skandalu“, jest uważana również prawie za niewinną rozrywkę zakonnika. Bywanie na nabożeństwie w klasztorze — to już zasługi nadzwyczajne. W wielu klasztorach starsza brać zupełnie uwolniła się od tej pracy. Gromadzenie kapitałów wszelkimi godziwymi i niegodziwymi sposobami — to również nie jest uznawane za pogwałcenie istoty powołania zakonnego.

„Słowem, współczesny zakonnik jest zwykłym kawalerem, nie odmawiającym sobie niczego — włącznie do wszelkich hulanek i leczenia chorób wenerycznych.

„Przełożonym klasztoru zostaje 50—60-letni protojerej, ojciec dwóch do trzech córek.

„O życiu klasztornem w całem słowa znaczeniu nie ma pojęcia. Starość nie pozwala mu odprawiać nabożeństwa według pełnego regulaminu klasztornego. Zaczynają się skracania, a jednocześnie rozwija się w klasztorze i pijaństwo, i rozpusta i t. d., i t. d. Następnie do klasztoru dostają się krewni przeora ze służbą kobiecą. Klasztor zamienia się na miejsce spacerów, i powoli z dobrze zorganizowanego klasztoru nic nie zostaje...

„To nie fantazya, to fakt! Ale oto jeszcze fakt, znacznie znamienniejszy:

„Prawie wszyscy nasi arcybiskupi dyecezyalni są przeorami jednego lub dwóch najlepszych klasztorów w swej dyecezyi. Te klasztory arcybiskupie są prawdziwym b czem dla życia zakonnego!

„Przepych otoczenia arcybiskupiego i jego blizkość z początku oślepiają mnichów, później ich demoralizują. Prócz tego nasi arcybiskupi, którzy nigdy nie byli zakonnikami, zbliżają do siebie i popierają nie najlepszych ludzi, ale najzręczniejszych, t j. najniebezpieczniejszych pod względem moralnym.

„I oto są kandydaci na przyszłych zakonników. Z początku poprostu faworyci, następnie byli faworyci, wreszcie zwyczajni pijacy, których po pierwszym występku przenosi się z klasztoru arcybiskupiego do innych. W ten sposób zaczyna się demoralizacya wszystkich klasztorów dyecezyi, począwszy od arcybiskupiego z jego winy! Wyobraźcie sobie, że w niektórych dyecezyach tacy wygnańcy, wysyłani z jednego klasztoru do drugiego za pijaństwo, stanowią prawie dwie trzecie wszystkich zakonników.“

W Moskowskich Wiedomostiach ogłasza biskup kazański, Andrzej, list otwarty do Związku Narodu rosyjskiego, w którym staje w opozycyi, nie zgadzając się z urządzaną przez „Związek“ nagonką na „prawosławnych inorodców“. Wskazuje, że w jego biskupstwie (kazańskiem) zdarzają się istotnie wypadki częste porzucania prawosławia przez Tatarów i powrót do wiary mahometańskiej, ale to tylko dzięki niewłaściwemu zachowaniu się pasterzy prawosławnych rosyjskich, pomiędzy którymi jeden np. był psychopatą, drugi pił przez ośm lat z rzędu, inni nie znali języka tatarskiego, inni wreszcie przy pomocy władz sądowych wyciskali z owieczek grosz ostatni. A tymczasem tym prawosławnym „inorodcom“ pomoc okazać należy, okazać im współczucie serdeczne, nie odsuwać ich, wytykając im ich pochodzenie na każdym kroku. Przecież ci inorodcy znają tylko Boga na niebie i Cesarza na ziemi“; a dalej, już w stylu ewangeliczno-biblijnym, tak kończy list swój biskup Andrzej: „Przecież jak w Palestynie zapomniani przez misyonarzy Arabowie prawosławni, tak i u nas dziesiątki tysięcy prawosławnych Tatarów są tem okienkiem otwartem na olbrzymi i potężny świat islamizmu. Okienko to przez niedbałość w znacznej mierze już utraciliśmy, ale pozostało jeszcze. Zatrzymajcie to okno!“...

Tolerancya religijna.

Kilka lat temu włościaninowi Woronce ze wsi Sniczan, parafii sidrzańskiej w gub. grodzieńskiej, urodziło się dziecko. Matka prawosławna chciała, by chrzest odbył się w cerkwi, czemu znowu stanowczo opierał się ojciec, katolik. Sprawa nabrała rozgłosu. Z klasztoru Rożanostockiego przyjeżdżały mniszki, by skłonić ojca do oddania dziecka na

prawosławie. Gdy i to nie pomogło, do Woronki niespodzianie zjechała policya — sprawnik, asesor i kilkunastu strażników, przybyły też i mniszki. Woronko został aresztowany, chociaż najspokojniej się zachowywał i odesłany do powiatu, gdzie niezwłocznie go uwolniono. A mniszki korzystając z nieobecności Woronki, zabrały dziecko i ochrzciły w Różanostoku. Fakt ten wywarł przygnębiające wrażenie na Woronkową i gdy w roku bieżącym urodziło się im znowu dziecko, oboje wspólnie postanowili ochrzcić je w kościele katolickim. Zwrócili się z prośbą do proboszcza sokolańskiego, ks. Makarewicza. Ten jednak, ze względu na awanturę przeszłą i obecne czasy — odmówił. Wówczas biedacy sami sobie poradzili i ochrzcili dziecko przy studni wioskowej, z pomocą staruszka jakiegoś.

Władze miejscowe zawiadomiły gubernatora, że dziecko ochrzcił proboszcz sokolański. Gubernator nakazał surowe śledztwo i dnia 8-go lipca asesor zjawił się do proboszcza w Sokolanach, spisał protokół, wzywał świadków, jeździł po wsiach, szukając studni, przy której chrzest się odbył, pytał ludzi, dzieci nawet, o szczegóły sprawy. I chociaż zarzuty przeciw ks. Makarewiczowi nie potwierdziły się — sprawę skierowano do sędziego śledczego.

Podoficer Antoni Radziuk, włościanin z pow. lidzkiego, przesłużył w armii rosyjskiej 30 lat, w tem w randze podoficera 25 lat i w czasie służby odznaczony był medalami, oraz otrzymał chlubne świadectwa od władzy wojskowej. Radziuk i jego rodzina do czasu wydania ukazu tolerancyjnego uważani byli za prawosławnych, jakkolwiek wyznawali, potajemnie oczywiście — katolicyzm. Po ukazie tolerancyjnym przeszli jawnie na katolicyzm i wówczas bez żadnego powodu Radziuk został usunięty ze służby i pozbawiony oczekiwanej za tyloletnie zasługi zapomogi w sumie 1000 rubli. Radziukowie bardzo przykładnie wychowują swe dzieci; trzej ich starsi synowie są w średnich zakładach naukowych — w 2, 3 i 5-ej klasie, czwarty zaś dzięki ofiarności pewnej obywatelki, przygotowuje się do egzaminu wstępnego. Wskutek usunięcia ze służby ojca, cała rodzina znalazła się teraz w krytycznem położeniu. Rodzice nie mając sami prawie co jeść, gdyż rzeczy i przedmioty wartościowe już wysprzedali, zwracają się obecnie, jak pisze *Goniec Wileński*, do społeczeństwa i polecają współczuciu ludzi ofiarnych przedewszystkiem dzieci swe, które chcą nadal kształcić. Radziukowie mieszkają w Wilnie.

Na świeżo odbytych rozprawach sądu okręgowego w Owruczu, bez udziału przysięgłych, na ławie oskarżonych zasiadali: ks. dziekan Jan Brydycki, proboszcz z Wielednik i panna Antonina Kończakowska, za nauczanie dziatwy ubogich rolników w rozległej osadzie polskiej i katolickiej w Pełczy — religii i katechizmu. Na pomoc w obronie obwinionych o takie „przestępstwo“ pospieszył z Żytomierza bezinteresownie adw. przys. August Kuryło. Po jego świetnej i z sercem obronie, przeciw której sam towarzysz prokuratora, p. D. nie oponował, podsądnych sąd uniewinnił.

Witebskija Gubernskija Wiedomosti podały w Nrze 130 znamienną mowę prawosławnego biskupa połockiego Serafima, wypowiedzianą w soborze w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Świątobliwy, pełny uczuć chrześcijańskich biskup prawosławny, zakończył swoje przemówienie takiem przekleństwem: „Przeto wzywam na głowy Białorusinów, ochrzczonych w cerkwi prawosławnej, ale ciążących do Kościoła katolickiego, wszystkie nieszczęścia, które zapowiada odstępcom widzenie proroka, t. j. nieszczęście w każdej sprawie ich rąk, choroby śmiertelne, zamroczenie umysłu, bezdzietność, sieroctwo, ruinę materyalną i zgodnie z daną nam władzą upełnomocniam wszystkich podległych mi pasterzy, ogłaszać na przestępujących próg kościoła katolickiego Białorusinów prawosławnych — przekleństwo — anathemę“.

Rządy czynownicze.

Z oficyalnego wydawnictwa głównego zarządu do spraw prasowych w Petersburgu, *Kniżnaja Letopiś*, dowiadujemy się, jaka jest w Rosyi obecnie „wolność prasy“. W okresie

pięciu miesięcy — od stycznia do maja r. b. włącznie — zawieszono 44 pism, w tej liczbie 32 rosyjskich, 7 polskich, 3 gruzińskie i 2 tatarskie.

Najwięcej zawieszono pism w Petersburgu — 16. Dalej idzie Moskwa z liczbą 10. Z zawieszonych pism polskich wymienia kronika urzędowa następujące wydawnictwa: *Gazeta Codzienna, Gazeta Wieczorna, Myśl Polska, Szczutek, Promień, Biblioteka Parafialna.* Kronika urzędowa pomija, jak widzimy, zawieszenie *Narodu, Siewcy* i innych.

Zwracaliśmy już raz uwagę na fakt, że lwią część budżetu pochłania policya, ale kto ją chce mieć naprawdę, musi ją urządzić na koszt własny i uważać to za szczęście, jeżeli mu rząd na to pozwoli. — Generał-gubernator Skałłon, uwzględniając starania przemysłowców Zagłębia Dąbrowskiego, pozwolił na utworzenie w powiecie będzińskim straży policyjnej na koszt przemysłowców i zatwierdził etat nowej policyi na lat dwa. Skład zreorganizowanej policyi wynosić będzie 298 ludzi, a koszt ich utrzymania wyniesie 199.180 rubli. Prócz tego etat obejmuje 900 rub. rocznie na wzmocnienie kancelaryi powiatu, rocznie więc fabrykanci i przemysłowcy powiatu będzińskiego płacić będą na utrzymanie policyi 195.080 rubli, nie licząc wydatku jednorazowego, jaki ponieśli na kupno koni, broni dla policyi i urządzenie 4 kancelaryi dozorów policyjnych.

W powiecie częstochowskim skład policyi powiększono o 35 strażników, z etatem 16.276 rubli, a w Noworadomsku o 18 strażników z etatem 6.565 rubli bez mieszkania, opału i oświetlenia, które fabrykanci dadzą w naturze. Umundurowanie, uzbrojenie, kupno koni i t. p. wydatki ponoszą również fabrykanci.

Na charakter i sposób urzędowania policyi i żandarmeryi rosyjskiej rzuca jaskrawe światło następujące zdarzenie:

Uwięzionej za udział w spisku na generał-gubernatora Skałłona socyalistce Owczarkównie zaproponowano wybór obrońcy. Wybrała adwokata Patka, którego osobiście jednak nie znała. W kilka dni potem przybył do jej celi ktoś, kto przedstawił się, jako koncypient chorego rzekomo adwokata Patka. Owczarkówna udzielała mu tedy wszelkich informacyj, mówiąc otwarcie i swobodnie — podczas gdy za ścianą zapisywali każde jej słowo agent „ochrany" i — rotmistrz sztabu. Nie koniec na tem. Pod pozorem, że w tak ważnej sprawie koncypient waha się wystąpić samodzielnie i że Patek broniłby oskarżonej pewnie osobiście, mimo choroby, gdyby znał te szczegóły, namówił Owczarkównę, że napisała list do Patka, który stanowił w ręku ochrany istny własnoręczny protokół zeznań i przyznania się! A że list ten zaczynał się od wyrażenia „Szanowny Towarzyszu!" — więc bez jakiejkolwiek innej przyczyny — aresztowano tego samego wieczora Patka i odbyto u niego rewizyę. Przesiedział pod kluczem trzy tygodnie, nie wiedząc nawet, o co chodzi. — Owczarkównę oddano pod sąd wojenny — gdzie adwokat Patek bronił jej pomimo wszystkiego i skazano na karę śmierci, którą zamieniono następnie na 15 lat ciężkich robót.

W sprawie tej zgłoszono interpelacyę w Dumie.

W taki sposób wyciąga się od podsąd·ych zeznania. Pomysłowości nie można czynownictwu odmówić!

Pomysłowość ta bywa często genialną, wprowadzając w czyn rzeczy, które wydawałyby się poza Rosyą absolutnie niewykonalnemi.

Czy np. można ukraść cały pociąg kolei żelaznej?

W Rosyi można! A robi się to tak:

Pociąg, dobrze naładowany towarami, wyprawia się ze stacyi w zupełnym porządku, spisawszy — jak należy — i ładunki i numery wagonów. Po kilku godzinach jazdy zbacza się na boczny tor, w pobliżu lasów i z całym spokojem obrabowuje się pociąg, który wraca sobie próżny, skąd przyszedł. Teraz trzeba przemalować prędko numery wagonów i pozmieniać napisy przynależności ich do linij kolejowych — i już tego pociągu niema; zginął!

Cała trudność polega na tem, że trzeba do tej sztuczki zmowy całej grupy urzędników, podurzędników, służby i robotników. Ale wśród czynownictwa trudnością to nie jest.

Działo się w tym roku na linii moskiewsko-kazańskiej. Pociąg był wyprawiony z samej Moskwy.

(bk.) *Prześladowanie w zaborze pruskim.*

Słowo warszawskie podaje ciekawą rozmowę jednego ze swych redaktorów z Niemcem z Prus. Prusak ubolewanie nad obecnymi wrogimi stosunkami Niemców do Polaków zakończył zapewnieniem, że rząd nie zamierza wykonywać ustawy o wywłaszczeniu.

Widocznie nie mają potrzebnych do tego kapitałów. Wiadomo, że finanse niemieckie stoją nieszczególnie.

„Der Polekoller“ zbrzydził się już samemu kardynałowi wrocławskiemu:

Przy poświęceniu kościoła OO. Franciszkanów w Panewniku na Górnym Śląsku jeden z wysokich urzędników państwowych wzniósł toast, w którym wyraził nadzieję, że Franciszkanie przy pracy kapłańskiej nie zapomną nigdy o pruskiej myśli państwowej, o kulturze niemieckiej i o starym Frycu, „który podniósł Śląsk z jałowej pustyni na szczebel dzisiejszej kultury“. Przedewszystkiem zaś niech pamiętają o tem, by pielęgnowanie polskiego języka ojczystego w domu i rodzinie „nie przekraczało granic, poza któremi władza państwowa musiałaby energicznie i stanowczo temu zapobiedz“.

Zabrał na to głos ks. kardynał Kopp. Stanął w obronie ludu polskiego i jego odrębności narodowej. Gdy mówił o kulturze szerzonej przez szkołę, teatr, biblioteki i t. p. podniósł odrębność ludu polskiego; gdy o wierności względem państwa, zaznaczył, że lud polski pragnie być lojalnym dla rządu, ale znów tylko odpowiednio do swej odrębności. Zakończył przemowę ks. kardynał ubolewaniem, że rząd pruski nie chce tego zrozumieć i wyraził nadzieję, że ludność polska mimo wszystko potrafi pogodzić swą odrębność narodową z obowiązkami względem państwa.

W Wąbrzeskiem w Prusiech Królewskich zakupiła komisya kolonizacyjna około 71.000 mórg tj. więcej niż $^1/_4$ obszaru powiatu. Dotychczas sprawadzono około 1000 rodzin niemieckich, zbudowano 3 protestanckie zbory, modlitewnię, seminaryum protestanckie, stacyę dyakonisek, 17 szkół wiejskich, 12 innych szkół, 18 domów dla ubogich, 4 mleczarnie, 2 gorzelnie i 9 spółek raiffeisenowskich.

W Mosinie pod przewodnictwem burmistrza Keichla utworzyła się niemiecka spółka budowlana, która zamierza wybudować 40 domów robotniczych. Chodzi o wyparcie robotników polskich, a zastąpienie ich robotnikami niemieckimi.

Parcelacya Dalek pod Gnieznem, nabytych przez komisyę kolonizacyjną, rozpocznie się w przyszłym roku. Założone zostaną osady drobne, w liczbie 50, na których osadzeni będą robotnicy. Dalki graniczą z miastem Gnieznem, chodzi więc o to, by robotnik niemiecki wypierał robotnika polskiego.

W Kunowie przyjmowano uroczyście księdza proboszcza Jezierskiego, gdy wracał z więzienia, w którem przesiedział 3 miesiące. Otóż z powodu przyjęcia kapłana, skazani zostali za przyozdobienie drogi trzej bracia Urbaniakowie, liczący 13, 16 i 17 lat, każdy na 3 dni więzienia.

W Gromadzie, w dekanacie łobżenickim, powrócił z więzienia ks. proboszcz Byczyński, którego mimo 80 lat wieku skazano na dwa miesiące fortecy, z powodu strejku szkolnego. Powracającego kapłana powitał serdecznie w imieniu kolegów i parafian ks. dziekan Tesmer. Po rzewnej odpowiedzi sędziwego proboszcza udano się do kościoła, tam odśpiewano „Te Deum“ i „Witaj Królowo“, a następnie odprowadzili wierni ks. Byczyńskiego na plebanię, gdzie przemówił p. K. Chłapowski z Kopaszewa.

Drzymale, na rozkaz komisarza obwodowego z Rakoniewic, zabrano kuchenkę z nowego wozu i kazano mu się wraz z wozem usunąć w przeciągu 3 dni, inaczej bowiem zostanie wydalonym. Powyższe postępowanie wywołało oburzenie nawet u Niemców, a prześladowanym zajęła się „Straż“. W jej imieniu bowiem mecenas Drwęski wdrożył postępowanie sądowe przeciwko komisarzowi obwodowemu,

jak również poczynił odpowiednie kroki przeciwko usunięciu Drzymały. Sprawa przeprowadzoną zostanie w danym razie przez wszystkie instancye.

35 osób, którym już odmówiono lub które spodziewają się odmowy pozwolenia na budowę domów, zgłosiło się po stary wóz Drzymały. Otrzymał go Wincenty Przymus w Mozdrzu. Podając powyższą wiadomość komitet, który się sprawą wozów mieszkalnych, „drzymałówek“, zajmuje, zwraca zarazem uwagę, że firma A. Dzieciuchowicz w Poznaniu, Rybaki l. 6, wykonuje wozy mieszkalne w cenie 1500 do 2500 marek.

Znowu zamieniono kilka polskich nazw miejscowości na niemieckie. I tak: Wydartowo pod Kcynią przechrzczono „Sachsenhof“; Waterowo w powiecie chełmińskim „Waltersdorf“, Małe Czyste w pow. chełmińskim „Reinau“, Robakowo w pow. chełmińskim „Rebkau“, Linarczek w pow. grudziądzkim „Conradsfelde“, Obodowo w pow. złotowskim „Oberndorf“. Z rozkazu króla, obwód dominialny Małe Cieśle w powiecie wrzesińskim nazywa się teraz „Ostfelde“, a gmina wiejska Zwolno w powiecie śremskim „Waldersee“. Agenturę pocztową w Szczepankowie w powiecie szamotulskim przechrzczono na „Stephanshofen“. Pawłowo w powiecie wągrowieckim przechrzczono na „Paulsfeld“, a Łagiewniki w powiecie gnieźnieńskim na „Langenolingen“.

Landrat Lücke wyrzuca z zarządów szkolnych w Opolskiem tych księży, którzy nie głosowali za nim przy ostatnich wyborach sejmowych.

W Tempelhofie w okolicy Berlina, w kościele katolickim znajdował się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który kazano usunąć, jako niebezpieczny. Po długiej polemice z rządem stanęło wreszcie na tem, że obraz został, ale twarz całą przemalowano i zmieniono.

Zeszłego roku podczas procesyi w parafii Św. Marcina w Poznaniu rozkazał prezydent z balkonu posła Bernarda Chrzanowskiego zerwać draperyę biało-czerwoną, upatrzył w tem bowiem polską demonstracyę. P. Chrzanowski podał skargę do sądu, a przeprowadziwszy ją przez wszystkie instancye bezskutecznie, odwołał się wreszcie do najwyższego sądu administracyjnego. Tam potwierdzono wyroki poprzednie, uzasadniając swój wyrok tem, że: „wobec naprężonych stosunków pomiędzy Polakami a Niemcami demonstracyjna dekoracya mogła zakłócić spokój publiczny“.

Członek zarządu oddziału miejscowego „Zjednoczenia zawodowego polskiego“ p. Jan Pentlikowski w Toruniu, otrzymał od policyi pismo, które brzmi w tłómaczeniu: „Toruń, dnia 22 czerwca 1908.

Wzywamy Pana niniejszem, aby Pan w przeciągu tygodnia doniósł, gdzie i w które dni towarzystwo odbywa swe regularne posiedzenia miesięczne; zechce Pan podać także czas ich rozpoczynania się. Skoroby Pan do niniejszego zawezwania się nie zastósował w oznaczonym czasie, ustanowimy przeciw Panu karę przymusową wysokości 30 mr. lub 3 dni więzienia, którą na mocy § 132[2] prawa o zarządzie kraju niniejszem wyraźnie Panu grozimy. (podp.) Kersten. P. Pentlikowski odwołał się do wyższej instancyi.

W Toruniu policya zażądała od właścicieli sal, w których odbywają się posiedzenia towarzystw, aby donosili o każdym posiedzeniu 24 godzin przed jego rozpoczęciem ze względu na „zdrowie i bezpieczeństwo“. Za niedopełnienie tego nakazu grozi policya grzywną 30 mk.

W Śmiglu właścicielom domów Polakom wypowiedziała kasa miejska pierwsze hipoteki razem na sumę około stu tysięcy marek w bieżącem półroczu, a drugie tyle ma być wypowiedzianych w przyszłem półroczu.

Sędziwy literat p. Józef Chociszewski w Gnieźnie skazany został na 200 m. za wydanie gry pt. „Lech“. Mianowicie w napisie „pracuj, ucz się i oszczędzaj“, prokuratorya pruska dopatrzyła się podburzania do gwałtów. Wyrok uzasadniono ciekawie: „Napomnienie „pracuj, ucz się i oszczędzaj“ niema celów moralnych ani społecznych, lecz jasno i namacalnie dowodzi, że praca, nauka i oszczędność są najlepszemi drogami do osiągnięcia upragnionego celu, to jest do wskrzeszenia państwa polskiego“.

Niedaleko od *Mysłowic*, ale już za granicą pruską, po stronie austryackiej, urządziły sobie towarzystwa gimnastyczne zlot. Wybrało się tam także około 200 górnośląskich Sokołów. W odległości około 200 metrów od granicy urządzono pochód, a kapela zagrała marsz sokoli. Ponieważ nie było na to pozwolenia policyjnego, skazał sąd ławniczy kapelmistrza na 15 mk., a innych muzykantów każdego na 3 mk. kary. Skazani apelowali do Izby karnej w Bytomiu, która uwolniła wszystkich od winy i kary, gdyż podług nowych przepisów tylko ten może być karany, kto pochód urządza.

Zarząd okręgowy zamówił osobny pociąg dla Zjazdu śpiewackiego w Środzie. Administracya kolejowa pociągu nie dała, bo dla polskich towarzystw — jak brzmiało w odpowiedzi Zarządowi okręgowemu — niema żadnych uwzględnień.

Odpowiedzialna redaktorka wychodzącego od kilku miesięcy w Poznaniu *Głosu Wielkopolanek*, p. Emilia Karwowska, stawała przed izbą karną pod zarzutem „podburzania do gwałtów", którego dopatrzono się w artykułach z dnia 5, 12 i 19 kwietnia rb. W artykułach inkryminowanych omawiano historyę Polski, przyczem wspomniano też o bitwie pod Racławicami. Prokurator wniósł za te artykuły o 250 marek grzywny. Sąd zawyrokował 180 mk., oraz zniszczenie płyt drukarskich,

(bk.) Ruska Kronika.

Towarzystwo „Proświta" zakłada zimowe, teoretyczno-praktyczne **szkoły rolnicze,** na wzór duńskich i niemieckich. Kurs trwa 3 miesiące, a zapisywać się wolno tylko gospodarzom i starszym parobkom. Na wiosnę i w lecie zostanie natomiast otwarty kurs sadowniczo-ogrodniczy, gdzie równocześnie będzie wykładana nauka o pszczelnictwie. Możność wykonania tego zamiaru zawdzięcza Proświta przedewszystkiem J. Eks. Metropolicie hr. Szeptyckiemu, który darował jej dwór w Miłowaniu i 10 mórg lasu, a 40 mórg pola odstąpił na bardzo korzystnych warunkach.

W sprawie „żywego pomnika" **Ołeny Siczyńskiej,** matki mordercy ś. p. namiestnika, odbyła się w lokalu tegoż towarzystwa „Proświta" narada delegatów lwowskich towarzystw ukraińskich, politycznych i oświatowych. Postanowiono po wsiach i miastach zakładać szkoły jej imienia, które będą utrzymywane ze składek. Ma to być oczywiście „żywy pomnik" na cześć samego mordercy, tylko dla ostrożności nadaje się fundacyi imię „Ołeny".

Osnowa, pismo poświęcone sprawom gospodarskim, oświaty i polityki, ogłosiło, że przestanie wychodzić na pewien czas, a mianowicie dopóki nie spłaci długów w drukarni. Powodem tego są sami prenumeratorzy, ponieważ są 6000 K. dłużni za prenumeratę.

W Żytomierzu, dzięki staraniom p. Sowińskiego, księgarza, powstała przy jego księgarni druga biblioteka i czytelnia ruska. Pierwsza istnieje w Kijowie.

W szkółkach cerkiewnych na Podolu pozwolił Synod nauczycielom używać języka ruskiego i zezwolił na naukę tego języka w winnickiej szkole cerkiewno-nauczycielskiej.

W Dumie podano wniosek o zaprowadzenie języka ruskiego w szkołach ludowych w guberniach ukraińskich.

Na Węgrzech wprowadzono naukę języka ruskiego (dwie godziny na tydzień) w rządowem seminaryum nauczycielskiem w Sigecie marmaroskim.

Gramatykę madiarsko-ruską wydał Wołoszin, redaktor *Nauki,* jedynego czasopisma Rusinów węgierskich, w Uzgorodzie (Ungwar).

Ks Michał Bałog, jedyny dziś niemal Rusin Rusi węgierskiej, posiadający uświadomienie narodowe, proboszcz w Marmaroszu, obchodził dziesięciolecie swej czynności kapłańskiej i obywatelskiej. Jego staraniem powstały liczne organizacye oświatowe i zarobkowe. Głównym zakładem, zawdzięczającym jemu powstanie, jest przędzalnia, w której w ostatnich pięciu latach wyuczyło się 140 dziewcząt prząść a 186 haftować. W Sigecie założył bursę, w której 30 uczniów dostaje corocznie utrzymanie częścią bez-

płatnie, częścią za minimalnem wynagrodzeniem.

Z Księstwa Cieszyńskiego.

W niedzielę 28 czerwca „krwawa niedziela“ w Cieszynie; 3 lipca rozrzucono paskwile na ks. Londzina; 5 lipca „błazeńska niedziela“, „nadzwyczajne środki ostrożności“, obsadzenie rynku wojskiem bez powodu, żeby Niemcy mogli wobec rządu udawać, że oni są w niebezpieczeństwie; komedya urządzona przez władze miejskie i rządowe, a której Niemcy dali z całą otwartością nazwę „die Entscheidungsschlacht an der Olsa“ i która tylko dzięki taktowi Polaków komedyą pozostała; 12 lipca zakazana wycieczka Sokoła do Skoczowa,— a obok tego wyraźne popieranie przez władze, nawet rządowe, nietylko hakatyzmu, ale wręcz wrogiego Austryi kierunku prusofilskiego, — oto stan polityczny Cieszyńskiego.

Co to wszystko ma znaczyć?

Jestto agitacya prusofilska, prowadzona pod firmą... arcyksięcia austryackiego!!

Księstwem Cieszyńskiem rządzi dyrektor komory arcyksiążęcej, Payer. Starosta cieszyński jest wobec tego potentata drobną figurką, ubogim urzędnikiem, któremu może zależeć na „łasce pańskiej“. Tu trzebaby silnego charakteru, wielkiego poczucia indywidualnego, hartu, przejęcia się godnością i doniosłością urzędu, żeby być siłą wobec siły, i w imię prawa zgnieść bezprawie. Najpospolitszy, w najlepszym razie przeciętny biurokrata, jak obecny starosta cieszyński, Jirasek, jest wobec Payera zerem. Powiadają, że jest jeszcze czemś mniejszem, a *Dziennik Cieszyński* twierdzi, że jest „sługą i zausznikiem dyrektora Payera“. A więc np. zakaże się w Istebnej wszelkich wieców i zgromadzeń publicznych, a w Cieszynie stanie się wyraźnie po stronie niemieckich napastników. Ależ bo p. Payer jest dzierżawcą i dobroczyńcą „Deutsches Haus“ w Cieszynie, siedziby „Nordmarki“.

Trzeba będzie jesienią rozpocząć systematyczną kampanię przeciw Komorze. W tej twierdzy pruskiej na Śląsku austryackim musimy zrobić wyłom, bo inaczej nie wydobędziemy się z błędnego koła.

Poniewiera się nami na Śląsku, podczas gdy prawo jest wyraźnie po naszej stronie.

Trybunał państwa wydał dnia 10 lipca orzeczenie zasadnicze, że wszystkie władze na Śląsku, tak rządowe, jakoteż autonomiczne, mają obowiązek nietylko przyjmować pisma we wszystkich trzech językach „krajowych“ (polski, czeski, niemiecki), ale też odpowiadać na nie w tym samym języku, w jakim je wniesiono.

Orzeczenie Trybunału państwa wywołali nie Polacy (za potulni na to!), ale Czesi, a mianowicie, kilkunastu czeskich obywateli z Opawy.

Opavský Tydennik doniósł, że wśród Czechów Polskiej Ostrawy powstał projekt, żeby za pomocą jakiejś ankiety rozpocząć akcyę do porozumienia z Polakami. Jął się tego nawet najzawziętszy na Polaków *Ostravský dennik*, ale potem sprawa przycichła. Sądzimy, że starać się o porozumienie jest teraz już czeską rzeczą, a nie naszą. Możemy czekać...

Zgody pragniemy, ale jak w stosunku do całej Słowiańszczyzny głosimy od początku „słowianofilstwo bez ustępstw“, podobnież w Cieszyńskiem, cudzego nie pragniemy, ale swego nie dawajmy ani krzty!

Stanowisko *Ostravského Dennika* określił trafnie *Dziennik Cieszyński*:

„W artykule zatytułowanym: „Polaci za své školství“ *Ostr. Dennik* w nr. 148 wskazuje na energiczną działalność Polaków w kierunku uzyskania polskich szkół w Gruszowie, Przywozie, Mor. Ostrawie, Maryańskich Górach—i oświadcza, iż się z temi dążnościami solidaryzuje. Tania to bardzo i nieszkodliwa solidarność, bo rozchodzi się tu o gminy, któremi Niemcy rządzą i w których Czesi na razie nic—lub bardzo niewiele pomódz nam mogą!

„Za to o Polskiej Ostrawie, Kończycach, Radwanicach, Pietwałdzie, Hermanicach, Dziećmorowicach itd., któremi-to gminami Czesi rządzą i gdzie ludność polska liczniejsza nieraz znacznie od Czechów, niemniejsze robi wysiłki, by zdobyć polską szkołę — *Ostr. Dennik* nie wspomina“.

Czeska kronika.

Macierz szkolna w Bernie. Zarząd stolicy Moraw znajduje się jeszcze w ręku niemieckiem i trzeba będzie dużo jeszcze szykan przetrzymać, nim miasto to będzie odzyskane dla czeszczyzny. Na szczęście mają Czesi tę cnotę, że nie ograniczają się do biernego wyrzekania na rząd, ale gdy nie mogą czego uzyskać z funduszów publicznych, robią to sami, za własne pieniądze, czekając, aż się wzmogą na tyle, żeby opanować instytucye, szafujące zamkniętym dla nich na razie groszem publicznym. Obok wielkiej centralnej Macierzy szkolnej istnieje też szereg „Macierzy“ lokalnych, których prywatne szkółki stanowią przednie straże w walce o odzyskanie danego miasta. Powoli przybywa potem czeskich „podatników“, osiedla się intelligencya, zakłada się dziennik, aż stopniowo przechodzi się do części drugiej walki: do zdobywania mandatów do Rady miejskiej i opanowania magistratu. Niejedno z miast prowincyonalnych, dziś zupełnie czeskie, „odniemczało się“ w ten właśnie sposób.

Odniemczanie Berna rozpoczęło się w r. 1877. Dnia 18 marca 1877 r. wniesiono do Rady miejskiej podanie o założenie czeskiej szkoły ludowej, opatrzone podpisami 201 rodziców czeskich, mających 483 dziatwy w wieku szkolnym. Rada miejska odpowiedziała na to po roku, że w Bernie czeskich dzieci całkiem niema, a więc szkoła niepotrzebna, zwłaszcza, że w „szkole ćwiczeń“ przy seminaryum nauczycielskiem są czeskie oddziały. („Szkoły ćwiczeń“, szkoły ludowe, istniejące dla ćwiczenia kandydatów przy seminaryach nauczycielskich są zakładami rządowemi, a więc od gminy i Rady miejskiej niezależnemi i nie obciążają budżetu miasta).

Odpowiedzią na tę rezolucyę było założenie lokalnej Macierzy „Matice školská v Brně“, z inicyatywy śp. Dra B. Hoppa. Nie czekając na oficyalną odpowiedź Rady miejskiej, której treść wiadoma była z góry, otwarto zaraz szkółkę prywatną, w której rozpoczęto naukę dnia 17 października 1877 wobec 33 dzieci. W drugim roku zapisało się już 232 dzieci, tak, że klasę pierwszą trzeba było podzielić na dwa oddziały. W trzecim roku miano uczniów 346, w czwartym 568 i trzeba było zbierać fundusze na drugą szkołę.

Zarząd miasta nie mógł już dłużej twierdzić, iż w Bernie niema czeskich dzieci i gmina była zmuszona założyć w r. 1881 czeską szkołę z funduszów publicznych; na razie dwie tylko klasy. Ale już po roku musiała zakładać dla Czechów drugą szkołę, w r. 1886 trzecią, w r. 1898 czwartą. Każda z nich była prawdziwie „wywalczona“.

Szkoła prywatna Macierzy istniała aż do roku 1889, poczem ją zamknięto, a fundusze skierowano na zakładanie czeskich freblówek i ochronek, żeby zapobiegać niemczeniu dzieci czeskich robotników fabrycznych już od najwcześniejszego wieku w gminnych zakładach tego rodzaju. Działalność w zakresie szkół ludowych nie ustaje atoli: Trzeba dużo starań, zachodów, procesów, podań, interpelacyi etc., żeby gminę zmuszać stopniowo do dzielenia przepełnionych klas czeskich i zakładania oddziałów równorzędnych (paralelek), z czego muszą potem powstać z czasem nowe szkoły czeskie. Jak gmina wykręca się od tego obowiązku, dowodem, że dotychczas jest tylko cztery szkół czeskich, że minęło lat 12 pomiędzy założeniem trzeciej a czwartej szkoły, a od założenia czwartej już znowu lat dziesięć! Dużo też jeszcze dziatwy czeskiej musi uczęszczać do szkół niemieckich, a część jej niemczy się — jakkolwiek coraz mniej, bo wśród rodziców coraz więcej uświadomienia narodowego.

Pierwszą prywatną freblówkę czeską w Bernie założono w r. 1881; dziś jest ich 18 z 26 oddziałami. Ale niemieckich jest 38 z 83 oddziałami, w przeważnej części na koszcie gminy.

Akcya, wszczęta celem założenia szkoły wydziałowej, rozbija się jeszcze ciągle o opór Rady miejskiej.

„Matice“ berneńska zawdzięcza dużo niewiastom czeskim. „Koło Pań“ zbiera po 10.000 koron rocznie, a w jednym roku szczególniej „urodzajnym“, mianowicie w r. 1905,

zebrało przeszło 20.000 kor. Oto ofiarność czeska!

Dochody „Matice“ wynosiły w 1907 roku 63.324 kor.. w czem subwencyi sejmowej 10.773 kor., od centralnej Macierzy w Pradze (Ustřední Matice školská v Praze) 8.0C0 kor., składka cyrylo-metodejska (w dzień św. patronów Moraw — święto uroczyste) 5119 kor., od Koła Pań 10.000 kor., składki członków 5.237 kor., dary 16.657 kor. i t. d. — Wydatki wynosiły 88.242 kor.

Frekwencya czeskich szkół w Bernie (gminnych, prywatnych i „szkół ćwiczeń“ — ogółem) wynosiła w latach:

Rok	Ilość	Rok	Ilość
1877	240	1893	2167
1878	449	1894	1906
1879	606	1895	2202
1880	849	1896	2478
1881	836	1897	2621
1882	1267	1898	2770
1883	1474	1899	2823
1884	1704	1900	2846
1885	1949	1901	2933
1886	2084	1902	2915
1887	2126	1903	3155
1888	1740	1904	3027
1889	1717	1905	3108
1890	1607	1906	3332
1891	1671	1907	3427
1892	1722		

Freblówki liczyły w r. 1881. w pierwszym roku swego istnienia, 197 dzieci, w drugim 703, po dziesięciu latach przeszło tysiąc, w r. 1899 półtora tysiąca, a w 1907 roku 1780 dziatwy. Razem uchroniły one od germanizacyi 30.428 dzieci ubogiej ludności fabrycznej.

Oby wyniki były coraz pomyślniejsze, obyśmy się doczekali jak najprędzej zwycięstwa Czechów przy wyborach do Rady miejskiej w Bernie!

Stosunki, wśród których musi się utrzymywać i rozwijać w Bernie czeskie szkolnictwo, charakteryzuje taki np. fakt z lipca rb.:

Według obowiązującej na Morawach ustawy nie wolno przyjąć dziecka do szkoły takiej, której języka wykładowego ono nie rozumie. Rada miejska sporządziła spis dziatwy według narodowości nadzwyczaj tendencyjnie, a więc czeska rada szkolna okręgowa postanowiła wykonać obok tego osobno spis taki swemi siłami i środkami. Burmistrz Berna, Dr. Wieser, unieważnił tę uchwałę, wobec czego spis, choćby go dokonano, nie może mieć cechy urzędowej, a więc ani znaczenia wobec urzędów.

Ta sama czeska Rada szkolna okręgowa uchwaliła, żeby wpisy do szkół odbywały się według ustanowionych przez nią okręgów miejskich szkolnych. I tę uchwałę zniósł niemiecki burmistrz. Chodziło zaś w tej sprawie o to, żeby dzieci można było zapisywać do szkoły jak najbliższej,— podczas gdy Niemcy tak rzecz urządzili, tak cudacznie oznaczyli owe okręgi, że czeskie dzieci (skupiające się w dzielnicach uboższych) mają do czeskiej szkoły drogę jak najdalszą, ale za to bardzo blisko do niemieckiej.

I takich szykan, obmyślanych z najchytrzejszą pomysłowością, jest całe mnóstwo, a co roku nowe! Mają Czesi szkołę cierpliwości i wytrwałości aż nazbyt dobrą, ale nauka nabyta w tej szkole da się w końcu Niemcom potężnie we znaki.

Mapa etnograficzna Moraw, dająca zarazem obraz pracy narodowej w okolicach czeskich „mniejszości“, wychodzi w Ołomuńcu staraniem p. Chytila. Pierwsza karta przedstawia Morawy północne, druga okolicę Berna i południowo-zachodnią część kraju. Cena 2 kor. 20 h., z opłatą pocztową 2 kor. 40 h. za jedną kartę. Zamówienia na pierwszą przyjmuje Narodni Jednota w Ołomuńcu, na drugą Národni Rada w Bernie (Veselá ul. 39).

Zalesieniem okolic Pragi zajmuje się osobne stowarzyszenie. W tym roku zasadzono przeszło 250.000 sadzonek iglastych, 20.000 olsz i 2.000 drzew wysokopiennych. Stowarzyszenie działa w promieniu 15 klm. od miasta.

Jozef V Myslbek, najsławniejszy rzeźbiarz czeski, obchodził 60-tą rocznicę urodzin. Głównem jego dziełem jest konny posąg św. Wacława. Na moście Palackiego w Pradze można podziwiać jego grupy „Przemyśl i Libusza“ i „Lumir“. Kilka rzeźb znajduje się w zamku cesarskim w Wiedniu.

Odmowa przyjęcia rektoratu. Rektorem czeskiego uniwersytetu na rok najbliższy wybrany Radca nadworny, prof. dr. Albin Braf, nie

przyjął tej godności, a powody odmowy wyłuszczył w piśmie do tegorocznego rektora, dra prof. Golla. Nie chce być rektorem czeskiego uniwersytetu z trzech przyczyn:

a) Pamięta dobrze demonstracye młodzieży przeciw śp. prof. Bohuszowi Riegrowi w r. 1905, o to, że oświadczył się przeciw głosowaniu powszechnemu, skoro takie było jego przekonanie.

b) „Sprawa Wahrmunda" pokazała znowu, że studenci chcieliby stawiać przed swym sądem — swe przełożone władze i mieć władzę karcenia profesorów za przekonania czy to naukowe, czy polityczne. Powolność i łagodność władz akademickich ułatwiła zaszczepienie istnej anarchii w uniwersytecie, co grozi wielkiem obniżeniem poziomu kultury uniwersytetu. „Naszemu życiu akademickiemu nie wolności brak, ale porządku i ducha męskiej karności, bez czego cała wolność akademicka staje się czczym frazesem".

c) Poglądy prof. Brafa są niezgodne z poglądami nietylko większej części młodzieży, ale i znacznej części profesorów — a że nie lubi „być popędzanym", mógłby dać mimowoli powód do demonstracyj przeszkadzających pracom uniwersyteckim.

Profesorowi Brafowi należałby się medal od wszystkich uniwersytetów austryackich, za to, że nazwał anarchię po imieniu. Jeżeli się nie zapobiegnie temu systematycznemu psuciu uniwersytetów, dojdzie się do tego, że dla prawdziwych uczonych nie będzie w nich miejsca i staną się do reszty fabrykami urzędników, zaprawiających się do sztuki rządzenia przez uprawianie nieładu.

(als) **Rozwój czasopiśmiennictwa czeskiego** wykazują następujące liczby: w r. 1850 było 7 pism czeskich, w r. 1875 już 95, w r. 1880-tym 130, w r. 1885-tym 175, w r. 1890-tym 253 i wreszcie w roku 1907-ym 875.

(als) **Zjazd katolików czeskich** ma się odbyć w Pradze od 29 sierpnia do 2 września b. r. Z tego powodu już dnia 11-go maja było w Pradze Czeskiej zebranie przedstawicieli różnych organizacyi katolickich, którzy wybrali z pomiędzy siebie komisyę, mającą się zająć przygotowaniami do zjazdu. Przewodniczącym tej komisyi został hrabia Wojciech Schoenborn. Odezwę wydano dnia 29 czerwca.

(als) **Encyklopedyę teologiczno-apologetyczną** w języku czeskim zacznie wydawać w jesieni b. r. firma wydawnicza V. Kotzba w Pradze. Encyklopedya będzie zawierała nietylko omówienie wszystkich spraw teologicznych i związek z wiarą mających, ale jednocześnie poda dokładny obraz życia religijnego i poziomu wiedzy teologicznej wśród wszystkich narodów słowiańskich. Redaktorami encyklopedyi są dr. Józef Tumpach i dr. A. Podlaha.

(als) **Ks. Dlouhy-Pokorny,** przywódca katolickich modernistów w Austryi, został ekskomunikowany. Według wiadomości gazet codziennych, ma wstąpić wkrótce w związki małżeńskie.

Udział ks. arcybiskupa Bilczewskiego w uroczystości Sokoła w Haliczu (21 czerwca) nie zwrócił uwagi opinii publicznej polskiej — bośmy do dobrego przywykli u ks. Bilczewskiego, a — dzięki Bogu — nie jest on jedynym naszym dobrym biskupem, patryotą, obywatelem. Fakt ten, nie mający dla nas nic szczególnego w sobie, wywołał natomiast komentarze w prasie czeskiej, jakby coś nadzwyczajnego! Episkopat czeski nie celuje bowiem ani miłością Ojczyzny, ani rozległością horyzontu umysłowego ani też zrozumieniem stanowiska Kościoła w społeczeństwie. Panują tam pod tym względem stosunki przykre nad wszelki wyraz, jak najprzykrzejsze — i doprawdy byłoby dobrze, żeby na jakiej czeskiej stolicy biskupiej zasiadł Polak, żeby pokazać, jak można sprawować urząd biskupi ściśle, nie usuwając się od życia narodowego.

Ale jak śmieszne są wobec tego czeskie wygadywania na polski „klerykalizm"!

Pomnik Husa w Pradze wzniesiony będzie według projektu rzeźbiarza Šalouna i architekta Pfeifra. Ma być odsłonięty w r. 1915, w 500-letnią rocznicę nieszczęsnego stosu kostnickiego.

Prezesem towarzystwa, zajmującego się tym pomnikiem, wybrano posła Dra Jana Podlipnego.

Brak urzędników niemieckich. Niemcy w Czechach oburzają się, że w niemieckich okolicach Czech nie obsadza się wszystkich posad urzędowych wyłącznie rodowitymi Niemcami, chociaż sami wiedzą dobrze, że niema dostatecznej na to ilości urzędników narodowości niemieckiej. Przyznają to sami, obmyślając sposoby zaradzenia temu swemu niedostatkowi. Kilka miast niemieckich w Czechach utworzyło osobne fundacye dla młodzieży akademickiej, pragnącej poświęcić się służbie w urzędach państwowych. Fundacye te nie starczą jednak na zwabienie dostatecznej ilości młodzieży. Prezes niemieckiej Rady Narodowej, Dr. Titta, opracował tedy projekt, według którego Niemcy mają płacić osobny podatek dobrowolny narodowy, z którego udzielać się będzie zapomóg niemieckim praktykantom w służbie państwowej. Niemiecka Rada Narodowa (Volksrat) przypuszcza, że tym sposobem wypełni luki w niemieckim stanie urzędniczym w Czechach.

Pospieszne pismo. Wikaryusz w Czeskich Budiejowicach, ksiądz V. Řepa, wydał broszurkę „Rychlé pismo“, którą sprzedaje po 4 halerze, na rzecz więźniów politycznych słowackich. Proponowany przez niego nowy sposób pisania przeznaczony jest dla tych, którzy nie mogą poświęcić kilku lat na nabycie odpowiedniej wprawy w stenografii. Pismem ks. Řepy można pisać do 70 słów na minutę, a nauczyć go można się za jeden wieczór.

(ek) **Stan szkół czeskich ludowych.** Jakkolwiek szkół ludowych Czesi mają daleko więcej od Niemców, to jednak czeska szkoła ludowa przypada na 11.400 ludności, a niemiecka na 10.340. Jeszcze większy brak jest szkół żeńskich ludowych. Jedna czeska szkoła żeńska przypada na 27.800 ludności, a niemiecka na 24.300.

Najlepszego pojęcia o stanie oświaty w Czechach można nabrać z porównawczo-statystycznego wykazu analfabetów, od 6 roku życia począwszy obliczając:

W Czechach jest analfabetów 4·26%, w Niemczech 6·33, we Włoszech 16·44, u Słowieńców 23·98, w Polsce 40·82, u Serbo-Chorwatów 74·14, wśród Rusinów 75·79%.

(ek) **Trzecia czeska szkoła ludowa we Wiedniu** ma być założona w przyszłym roku szkolnym w 5-tym okręgu. Dzieci czeskich jest około 150 tysięcy. Są także starania około założenia czeskiego gimnazyum realnego we Wiedniu.

Wystawa prac terminatorów czeskich w Wiedniu. Czesi organizują się wszędzie na podstawie ekonomicznej i w tem siła ich związków. Odkąd organizacye tego rodzaju rozciągnięto na Wiedeń, żywioł czeski, napływający do stolicy Austryi coraz obficiej, mniej się już niemczy. Jeszcze kilkanaście lat tej pracy, a Wiedeń nabierze cechy miasta czesko-niemieckiego, widocznej nawet dla obcych, nieznających stosunków. (W rzeczywistości już dzisiaj jest Wiedeń miastem bez porównania bardziej czesko-niemieckiem, niż Lwów rusko-polskiem).

Organizacyą rzemieślników czeskich w Wiedniu zajmuje się „Živnostenská Jednota“. Stowarzyszenie to dba o wykształcenie zawodowe czeskiego rękodzielnika, żeby go uczynić zdatnym do konkurencyi. Wśród wielu a wielu prac jego w tym kierunku wyłonił się też projekt wystawy prac czeskich terminatorów. Termin otwarcia oznaczono na niedzielę 12-go b. m. Dzień przedtem, w sobotę, otrzymał komitet pismo od magistratu wiedeńskiego, zakazujące wystawy. Zakaz motywowano względami na bezpieczeństwo życia, pod pozorem, że w ulicy stanowiącej dojazd do wystawy, powstałyby trudności komunikacyjne, że samo miejsce pod wystawę obrane nie nadaje się do tego celu, a drzwi otwierają się na wewnątrz. Ale w tym samym domu jest sala, do której jest to samo wejście, a gdzie odbywają się koncerty, teatry amatorskie i zabawy — nie wzniecając w magistracie wiedeńskim obaw o bezpieczeństwo życia ludzkiego.

Pomimo zakazu otwarto wystawę. Wypowiedziano więc już jawnie wojnę magistratowi wiedeńskiemu. Namiestnictwo prowincyi Dolnoaustryackiej (w której leży Wiedeń), przewidując możliwość przykrych zaburzeń ulicznych (lud miejski w Wie-

dniu składa się już niemal pół na pół z Czechów!), przystało na pospieszne załatwienie formalności, znoszących orzeczenie magistratu, otrzymawszy widocznie ciche polecenie od ministerstwa spraw wewnętrznych.

Czeskie stowarzyszenie w Berlinie — Československý Spolek — istnieje od r. 1861 i jest najstarszem czeskiem towarzystwem za granicą. Obecnie znajduje się przy Oranienstrasse 69, I. piętro i odbywa zebrania co soboty o 9 wiecz

Czesi wołyńscy nie cieszą się na ogół sympatyą „istinnych“ — bo chociaż przyjęli prawosławie, pozostali jednak Czechami. W prasie reakcyjnej rosyjskiej pojawiły się wyrzekania, że Czesi są zamknięci w sobie, nieprzystępni, „samolubni“ i nie przestali być w Rosyi cudzoziemcami. Głosy te spowodowało wychodzące w Kijowie pismo *Ruský Čech* do urządzenia pewnego rodzaju ankiety w tej sprawie pomiędzy prenumeratorami. Jeden z nich, p. V. Zeman z Łucka, pisze, co następuje:

„Jedną z nawyczek nie do darowania u naszych Czechów jest to, że wieśniaków rosyjskich (właściwie ruskich — przyp. Red.), swych sąsiadów nazywają chłopami, a ich kobiety chłopkami i przemawiają do nich przez „ty“, jakby do jakichś istot niższych. Znam Czechów, którzy pod względem moralnym stoją o wiele niżej od tego „chłopa“, ale czują się w swej bucie czemś wyższem od niego. Nie dziwię się prostakom, ale tym, którzy uchodzą w gminach czeskich za przodowników, a ci — z nielicznymi wyjątkami — zachowują się też tak samo względem rosyjskich (sic!) sąsiadów Czesi przejęli tę nieobyczajność od polskich właścicieli dóbr, którym rosyjscy (!) wieśniacy na Wołyniu odrabiali pańszczyznę, ale to nie jest usprawiedliwieniem. Jeżeli choć trochę zbliżymy się do naszych sąsiadów, praobywateli tej ziemi, choćby dobrą radą w gospodarstwie, chowie bydła itp., nie będą nas z pewnością uważali za nieprzyjaciół“.

Charakterystyczne. Stosunki silniejsze są od doktryny! Ale *Ruský Čech* pomylił się — bo wołyńskim reprezentantom Rosyi i korespondentom pism reakcyjnych nie chodzi o stosunek czeskiego osadnika do wołyńskiego „praobywatela“, ale o stosunek do czynownictwa, o podpisy na petycyach, o zniesienie konstytucyi itp., a głównie o „łapówki“, których trzeba dawać więcej, a ustaną „donosy“.

Nawiasem zapytajmy, gdzie była dłużej niewola ludzi, w Polsce, czy w Rosyi i jak przemawia do praobywatela ruskiego rosyjski czynownik? Czy przez „pan“?

(als) **„Hudebni Věstnik“**, dwutygodnik poświęcony muzyce i interesom muzyków czeskich i wogóle słowiańskich, począł wychodzić w Pradze.

(als) **Czeski tygodnik w Zagrzebiu** ma zacząć wychodzić niebawem. Postanowienie założenia pisma powstało niedawno na ogólnem zebraniu „Českiej besedy“. Pismo ma być polityczno-ekonomiczne.

(als) **Po czesku mówią** następujący monarchowie i monarchinie: cesarz austryacki, następca tronu Ferdynand d'Este, królowa-matka Krystyna hiszpańska, królowa wirtemberska, księżna Eleonora bułgarska, książę Mikołaj czarnogórski i król Piotr serbski.

Zwycięstwo Czechów w walce o równouprawnienie językowe.

Sędzia w Czechach musi znać obydwa języki: czeski i niemiecki. Zasada ta jest wobec ustaw austryackich teoretycznie niewątpliwą, toteż „rebelia“ sędziów niemieckich przeciw wszechstronnemu wyzyskaniu praw języka czeskiego nie mogła liczyć na powodzenie i była tylko środkiem agitacyjnym prusofilskiego stronnictwa. Gdziekolwiek Czesi odwołali się do wyższych instancyj, wszędzie postawili na swojem.

Znalazł się sędzia Niemiec, który oświadczył wprost drogą urzędową, że nie zna języka czeskiego. Przypuszczał, że będzie to uważane jako vis major. Wypadek miał znaczenie zasadnicze.

Sędzia powiatowy Prinke w Żaclerzu miał sobie przydzieloną skargę górnika Jindry przeciw firmie „Westböhmischer Bergbau-

actienverein". Pozew wniesiony był po czesku. Sędzia nie wdawał się całkiem w kwestyę, czy jego urząd sądowy ma urzędować po czesku, tylko w piśmie do sądu obwodowego w Jiczynie stwierdził, że on osobiście nie włada dostatecznie językiem czeskim i prosił o wydelegowanie innego sądu do rozpatrzenia sprawy.

Na pozór miał słuszność, boć trudno mu nakazać, żeby się na prędce wyćwiczył w czeskim języku, skoro go dotychczas nie wyuczył się. Pozornie więc zachodziła konieczność pewnego rodzaju, ze względu na niedające się pokonać okoliczności. — Ale wszyscy sędziowie Niemcy złożyliby takie same oświadczenia, a w takim razie Czech skrzywdzony w okolicach „Deutschböhmen" byłby odsyłany po sprawiedliwość do okolic czysto czeskich, bo aż tam trzebaby „delegować" sprawę! Byłoby to szykaną taką, że poszukiwanie sprawiedliwości w okolicach niemieckich byłoby dla Czecha wręcz niemożliwem, bo każdy proces narażałby go na podróż i utratę zarobku, musiałby więc albo zrezygnować z wymiaru sprawiedliwości, albo wnieść pozew po niemiecku i przysłać na prowadzenie rozprawy w języku niemieckim. Pomysł sędziego Prinkego był więc wcale dowcipny.

Ale sąd obwodowy naganił odroczenie sprawy i kazał sędziemu „postąpić według ustawy", nie delegując wcale innego sądu.

A zatem trzeba będzie umieścić w sądzie żaclerskim sędziego, władającego biegle językiem czeskim — i trzeba to będzie zrobić prędko. Konsekwencye z tego rozciągają się na całe „Deutschböhmen" — nigdzie bowiem w Czechach nie może być sądu, któryby nie był zdatny do przeprowadzenia czeskiej rozprawy. Najbardziej „niemczurskie" miasta będą musiały mieć Czechów w sądach i na nic marzenia, że w pewnych stronach kraju będzie się miało na urzędach samych tylko Niemców!

Kto Czechów zna choć trochę, wie, jak wyzyskają w lot orzeczenie sądu jiczyńskiego. Nie zabraknie czeskich pozwów w Żaclerzu, osiedli się tam wkrótce czeski adwokat, rejent tamtejszy będzie musiał przyjąć czeskiego dependenta; garstka czeskiej inteligencyi zajmie się organizowaniem gromadki czeskich robotników, wyrobników, których ilość będzie coraz większa, powstanie po kilku latach czeska freblówka, potem prywatna szkoła czeska, „Matice" lokalna itd.

Rzeczy stoją więc teraz tak, że czeski urzędnik sądowy może piastować posady w całych Czechach, ale Niemiec, o ile nie umie po czesku, tylko w pewnych okręgach, w ograniczonej ilości (bo i tam Czesi potrzebni) i tylko do pewnego czasu. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż zasada, że każdy sąd musi urzędować w obydwóch językach jest tylko przejściową, która z czasem musi zamienić się na zasadę, że obowiązek ten tyczy się każdego sędziego. Palestra niemiecka musi się więc zabrać pilnie do nauki języka czeskiego, jeżeli nie chce oddać Czechom monopolu sądownictwa.

Świadków czeskich nie wolno zmuszać do zeznawania przed sądem w języku niemieckim. Wśród szykan, jakiemi darzyli Czechów niemieccy sędziowie w królestwie czeskiem, zaszedł następujący wypadek:

Rumburski fabrykant, J. Stahala, wezwany do sądu na świadka, nie chciał zeznawać po niemiecku i nie ustąpił, a sędzia Niemiec, powołujący się na to, że to „niemiecki" okręg sądowy, skazał go za to na grzywnę, w razie niezapłacenia na areszt. Czech wniósł zażalenie do sądu obwodowego w Czeskiej Lipie i postawił na swojem. Wyższa instancya nietylko zniosła orzeczenie karne rumburskiego sądu powiatowego, ale nakazała przesłuchać świadka w języku czeskim, a sąd rumburski musiał zawiadomić o tem p. Stahalę i to w języku czeskim! Tylko pieczątka na akcie była wyłącznie niemiecka: „k. k. Bezirksgericht in Rumburg" — co będzie przedmiotem nowego zażalenia.

A więc Austrya jest państwem naprawdę konstytucyjnem, w którem nie wolno urzędnikowi interpretować ustawy samowolnie; ustawa zaś nie zna żadnych osobnych czeskich, a osobnych niemieckich sądów w Czechach, tylko jednakowe uprawnienie przy wszystkich sądach.

Walka językowa na pocztach zawrzała w Czechach z niemniejszą

zaciętością, niż nieukończona jeszcze „rebelia sądownicza“. Zwrócimy uwagę na epizod, jaki się rozegrał w opawskiej Radzie miejskiej:

Radny Baumgartner zawiadamia Radę, że urząd pocztowy w Opawie zaczął wydawać recepisy z czeskim tekstem; żali się, że tego nigdy nie bywało i zapytuje burmistrza, co zamierza czynić, „żeby nie stracono znowu jednego posterunku w życiu publicznem. Burmistrz Kudlich, odpowiadając interpelantowi, podaje do wiadomości Rady, co jemu samemu się zdarzyło. Oto do urzędu burmistrzowskiego nadszedł telegram czeski, a poczta doręczyła go z recepisem dwujęzycznym, wypełniwszy na nim rubryki czeskie. Burmistrz pobiegł zaraz do naczelnika poczty i dowiedział się, że przyszedł „z góry“ rozkaz, żeby wszystkie blankiety były dwujęzyczne, (po czesku i po niemiecku) a wypełniać należy z urzędu rubryki w tym języku, w jakim „strona“ zwraca się do urzędu pocztowego. Skoro więc telegram był czeski, musiał i recepis po czesku być wypełniony. Burmistrz obwieścił rajcom, że oświadczył zaraz naczelnikowi poczty, że „wyprasza sobie raz na zawsze“ takiego postępowania i poszedł na skargę do prezydenta krajowego (zwierzchnicy administracyi państwowej mają tylko w większych „krajach koronnych“ tytuł namiestników, w mniejszych—jak Śląsk—nazywają się prezydentami). Burmistrz radzi każdemu postępować tak samo i chodzić aż do prezydenta o każdy czeski recepis.

To byłoby przykrem tylko dla p. prezydenta, ale nie dla Czechów, którzy śmialiby się w kułak, zasypując Opawę telegramami i listami rekomendowanymi.

Przemówienie p. burmistrza opawskiego ma atoli skądinąd poważniejszą stronę. Mowę swą zakończył bowiem wyrażeniem ubolewania, że niemieccy urzędnicy stosują się do tego nakazu — rzucił więc hasło „rebelii pocztarskiej“, radzi urzędnikom próbować oporu wobec przełożonej władzy, co tem jest znamienniejsze, że sam p. Kudlich jest c. k. radcą sądowym!

Rząd nie zniesie oczywiście oporu urzędników. Jeżeli wynaleziono sposoby na „rebelię“ sędziowską, gdzie wchodziła w grę delikatna sprawa niezawisłości stanu sędziowskiego,— o ileż łatwiej da sobie rząd radę z pocztarzami, z prostymi urzędnikami manipulacyjnymi!

Wszczyna się tedy walkę, skazaną z góry na przegraną, i to daje do myślenia, że chodzi o umyślne jątrzenie umysłów, o rozbudzenie wśród Niemców w Czechach, na Morawach i Śląsku niezadowolenia z rządów austryackich, po prostu o agitacyę prusofilską, której kierunek spoczywa w Berlinie.

Słowacka kronika.

(als) **Scotus Viator,** znany publicysta angielski, który zajmował się już sprawą Słowaków i opisywał ją w pismach angielskich, bawił świeżo na Morawach w celu zebrania nowych materyałów do obszernej pracy o Słowakach.

Honor stanu adwokackiego na Węgrzech. Adwokat rumuński Dr. Maniu miał wytoczone śledztwo przez radę dyscyplinarną Izby adwokackiej w Kołozwarze, ponieważ na drzwiach swej kancelaryi przybił tablicę (szyld), z napisem rumuńskim. Udzielono mu nagany urzędowej, motywując to w ten sposób, że Dr. Maniu naruszył tym czynem honor stanu adwokackiego. Zasądzony odwołał się do sądu najwyższego, t. zw. Kuryi Królewskiej (curia regia) i uzyskał—zatwierdzenie wyroku!

Nowy gmach muzeum słowackiego będzie uroczyście otwarty i poświęcony dnia 5 sierpnia w Św. Marcine, stolicy Słowaczyzny. Budowa kosztowała 85.000 koron, zebranych ze składek. Na uroczystość zjadą wszyscy posłowie słowaccy, a spodziewają się też zjazdu licznych Słowian.

Fundusze Muzeum zostały już raz skonfiskowane przez rząd węgierski. Czy Muzeum utrzyma się długo tym razem?

W Wiedniu przebywa do 40.000 Słowaków, z samej morawskiej Słowaczyzny przeszło 25.000. W kwietniu br. powstało stowarzyszenie „Slovak“, mające na celu uświadamianie narodowe tej masy za pomocą czytelń, zabaw, odczytów itp.,

udzielanie poparcia materyalnego i bezpłatnej porady prawnej. Ubogimi są członkowie stowarzyszenia, płacą zaledwie 20 h. miesięcznej wkładki, zarząd liczy więc na pomoc osób zamożniejszych, żeby się wpisywano na członków założycieli (100 koron jednorazowo). Adres stowarzyszenia: Krajanský spolek slovacký „Slovak“ w Wiedniu XVII, Hernalsergürtel 11 (restauracya p. Bartonia).

Watykan w sprawie księdza Hlinki. Wspominaliśmy już kilka razy o losach patryoty słowackiego, ks. Hlinki, odsiadującego obecnie więzienie w Szegedynie. Nie dość było prześladowania madiarskich urzędów państwowych, zawzięto się jeszcze i na kapłańską godność ks. Hlinki. Szczególniejsze stosunki kościelne na Węgrzech sprawiają, że rząd może obsadzać stolice biskupie swymi manekinami, ludźmi nie tylko bez ogólniejszych zasad w sprawach publicznych, ale nieraz wręcz bez charakteru. Przykrym przykładem takiego „książęcia Kościoła“, który prywatnem swem życiem sieje zgorszenie, a służalstwem wobec rządu deprawuje całe życie publiczne, jest biskup spiski, Parvy, osławiony z rozmaitych nieczystych procesów, ale przez rząd podtrzymywany. Biskup ten suspendował ks. Hlinkę „ab officiis et ordine“, nie zachowawszy nawet formalności. Obecnie otrzymał *Slovenský Tyždennik* wiadomość, że Watykan uwzględnił prośbę ks. Hlinki, żeby sprawa jego była rozpatrzona przez najwyższy sąd przy kuryi papieskiej i kazał biskupowi nadesłać do Rzymu wszystkie akty, tyczące się tej sprawy.

(ek) **Sławne „wyszywki“,** czyli hafty słowackie, powszechną na siebie zwracają uwagę tak doskonałą techniką, jak oryginalnością i żywością barw. W ornamentyce ich i technice znać wpływ wschodni, np. dziś jeszcze wyszywają w komitacie zwoleńskim turecki księżyc z gwiazdą na chustach, ręcznikach, prześcieradłach; chustki również, pięknie kwieciste, które noszą włościanki na głowach, zowią jeszcze dziś „ręcznikami tureckimi“. Wpływ ten wywarli Turcy w XVI. i XVII. w., będąc panami prawie całych Węgier i Słowaczyzny południowej przez 150 lat. Żony tureckich żołnierzy rozrywały sobie bezczynność w haremach wyszywaniem i hafty te sprzedawały słowackim kobietom, które z czasem tę sztukę od nich przejęły. Bardzo wiele pamiątek tureckiej roboty z owych czasów przechowało się na Słowaczyźnie.

Nawet pieśń ludowa wspomina o tym wpływie. (Slovenské Spévy I., seš 4., str. 149): Córka zwoleńskiej wójtowej, uprowadzona do niewoli przez Turków, „v sriebre zlate šila“, zarobiła tyle pieniędzy, że siebie i brata wykupiła, a po powrocie do domu nadal „v sriebre zlate šila“. (Sochàň: Turci v Uhrách a Slovenská ornamentika. *Naše Slovensko,* seš t 7).

(ek) **Ofiarom w Černovej** spodziewają się Słowacy amerykańscy posłać 20 tysięcy koron zapomogi Dowodzi to wielkiego poczucia narodowego. Największe ich towarzystwo „Kat. Slovenska Jednota“ w Clevelandzie liczy około 33.000 członków. Po powrocie do kraju są oni najgorliwszymi propagatorami patryotyzmu i demokratyzmu, przez co ściągają na siebie szczególniejszą złość Madiarów. Ostatnimi czasy minister Andrassy rozkazał odznaki „Slovenskej ligi“ konfiskować, a listów z nalepionymi jej znaczkami nie ekspedyować.

(ek) **„Slovakoj kaj Magiaroj“** (Słowacy a Madiarzy); pod tym tytułem wydali czescy esperantyści broszurę, która ma informować świat o położeniu Słowaków. Tekst jest esperancki i francuski.

(ek) **Emigracya amerykańska** Słowaków zaczęła się przed trzydziestu laty, kiedy nagle wzmógł się rozwój przemysłu amerykańskiego. Pierwsze większe gromady emigrantów udały się w r. 1878 i 1879 ze Spiża, Szarysza, oraz z komitatu zemplińskiego i abanskiego i znalazły tam w Nowym Świecie wcześniejsze, już znaczne kolonie czeskie w Nev-Yorku, Clevelandzie, St. Louis, w Chicago i polskie w Detroit, w Chicago, Milvankee. Słowacy nie szli do farm na daleki zachód, ale cisnęli się bardziej do nadmorskich okręgów przemysłowych, do fabryk, kopalń, ku budowom kolei do miast, szczególnie w stanie Pensylwania. Młodzi ci ludzie wracali do ojczyzny po kilku latach z ciężko zapra-

cowanym groszem. Dopiero około roku 1883 przybywają już całe rodziny z zamiarem stałego osiedlenia się. Wtedy pomyślano o organizacyi, któraby duchowo skupiała rozproszonych po wielkich obszarach. Pierwszym krokiem do tego celu było założenie słowackiego pisma. Założycielem jego był Jan Slovensky. Mała jego gazetka była najpierw ręcznie pisana, potem litografowana, później dopiero, kiedy popyt się zwiększał, wychodziła drukiem od 21 października 1886 r. p. n. *Amerikanszko Szlovenszke Noviny*.

Nie tylko język, ale i duch tego pisma był dziwny. „My szwetloszcz chczeme, nyech czemnoszcz osztava!“ — słowa programowe — „Idzme napredek, Ungare!“ Wskutek tej propagandy „uherszkeho szlovaniszmu“ (!) i ciągłego wychwalania „sztaroszlivej uherszkej vlady“ pismo nie wywarło wpływu na uświadomienie narodowe. Przypisać to trzeba raczej nieświadomości redaktora, jak złym chęciom. Kierunek taki nie mógł pismu zapewnić trwałości. Już w r. 1889 poczęło się chwiać. dopiero postawienie pisma na czystonarodowym stanowisku za redakcyi Rovnianka uchroniło je od upadku.

Pierwszem pismem, od samego początku w duchu narodowem redagowanem była *Nova Vlast*, która od początku marca r. 1888 wykazywała konieczność i nawoływała do organizowania w duchu narodowym towarzystw wzajemnej pomocy, na wzór pomyślnie się rozwijających podobnych towarzystw amerykańskich. Łączono więc cel praktyczny, zabezpieczenie robotnika tu w Ameryce częściej, niż gdzieindziej, narażonego na śmierć, z interesem narodowym.

Przeciw temu planowi walczyli żarliwie tak słowem, jak i pismem, (wydawali *Zastavę*) madiarońscy księża przebywający w Ameryce, ogłaszając ruch narodowy za „pogański, bluźnierczy, niechrześcijański“. — Wszystko napróżno!

W lutym r. 1890 zjechali się w Pittsburgu przedstawiciele pięciu istniejących już towarzystw i postanowili założyć centralne towarzystwo: „Narodny Slovensky Spolok“. Celem było: 1) „Wspierać członków w czasie choroby, a w razie śmierci udzielać rodzinie pomocy“. 2) „Stosownymi środkami szerzyć wśród narodu słowackiego w Ameryce wykształcenie i oświatę; pielęgnować miłość ojczyzny, aby członkowie byli wiernymi synami narodu słowackiego i pożytecznemi obywatelami Stanów Zjednoczonych“ i 3) „pielęgnować ojczysty język; wspierać sklepy słowackie; wydawać pożyteczne książki“ itd. Członkiem może zostać każdy Słowak od 18—45 r. Wsparcie po śmierci członka miało wynosić 200 dolarów.

Towarzystwo liczyło zrazu tylko 250 członkow, należących do 5 oddziałów. Ale z tych małych początków miało dojść do wielkich rozmiarów. Już na drugim zjeździe (w maju 1891) liczyło 1562 członków w 31 oddziałach. Dziś po 17-letniem istnieniu ma „Nar. Slov. Spolok“ 27.519 członków.

Oprócz „Nar. Slov. Spolku“ istnieje jeszcze cały szereg wielkich towarzystw z tym samym celem:

Živena, towarzystwo kobiet słowackich.

Katolicka Slovenska Jednota — w marcu b. r. miała członków 32.650.

Grecko-Kat. Sojedinenije.

Pensylvanska Slov. Rim a Gr.-Kat. Jednota.

Evanjelicka Slov. Jednota.

Telocvična Jednota Sokol.

Clevelandska Slovenska Jednota.

Passaicka Slovenska Jednota.

Neodvisly Nar. Slov. Spolok.

Slovensky Věnec.

Kalvinska Slov. Jednota.

Kat. Slov. Ženska Jednota.

Evanjelicka Slov. Ženska Jednota.

Pensylvanska Slov. Ženska Jednota.

Z przedstawicieli wszystkich tych towarzystw utworzyła się niedawno „Slovenska Liga“, jako centralny wydział, która ma zajmować się kulturalnymi i narodowymi interesami Słowaków, tak w Ameryce, jak i w starym kraju.

(eh) **W Ostrzyhomskiej dyecezyi** jest ogółem 480 parafii. Z tych jest 176 czysto słowackich, 177 madiarskich, 4 niemieckie, 128 mieszanych. — Wzrost słowackich parafii w dwóch ostatnich latach zwiększył się o 4, a ubytek trzech madiarskich przy-

pisują madiarońskie pisma „panslawistycznej“ agitacyi duchowieństwa. *(Ks. Fr. K.)*. **Obywatel amerykański przed madiarskim sądem.** Na zeszłoroczny zlot Sokołów w Pradze przybył jako delegat z Ameryki Słowak, Polakovič, rodem z Orawy, mający obywatelstwo amerykańskie. Po zlocie pojechał odwiedzić rodzinne strony. Tu jednak, śmiało i otwarcie objawiając narodowe słowackie uświadomienie, został aresztowany. „Fiškus“ (oskarżyciel publiczny) z Ružomberku wniósł przeciw niemu skargę, że „śpiewał podburzającą pieśń, że przemawiał do zgromadzonych Słowaków, aby szanowali swą narodowość, aby walczyli za swój język ojczysty i za swoje prawa, przez co podburzał Słowaków przeciw Madiarom“ (l. aktu osk. 4175/1907). Nadto zarzucono mu, że pouczał Słowaków, aby pamiętali, że przy wyborach nie powinni wybierać renegata, lecz dobrego Słowaka, że skoro Madziarzy nie chcą dać Słowakom szkoły słowackiej, pokój z nimi jest niemożliwy. Za to skazano dzielnego Słowaka na 7 miesięcy więzienia i 400 kor. grzywny. Ale Polakovič jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Sądy węgierskie nie miały prawa karać go za tego rodzaju „przestępstwo“ polityczne, lecz w najgorszym razie tylko wydalić. Amerykańscy Słowacy stanęli w jego obronie i zwrócili się z tem do kongresu. Kongres zażądał przesłania aktów w tej sprawie i władza węgierska nolens volens akta wydać musiała, sprawa więc jeszcze nie jest skończona.

(als) Słowieńska kronika.

Organizacya naukowa tworzy się w Lublanie, a znaczenie jej może być wielce doniosłe dla wiedzy. Dnia 24. maja w lokalu „Matice Slovenske“ zebrało się 13 przedstawicieli nauki i naukowych instytucyi słowieńskich i w myśl projektu dr. Fr. Ilešiča oraz ks. dr. Ušeničnika postanowiono utworzyć związek dotychczas istniejących towarzystw naukowych w celu wzajemnego współdziałania na polu krzewienia wiedzy. Do organizacyi tej przystąpią następujące instytucye: „Slovenska Matica“, „Leonova Družba“, „Zgodovinsko (historyczne) društvo“, stowarzyszenie „Pravnik“, „Društvo slovenskih pisateljev“, „Društvo Zdravnikov“ (lekarzy), „Muzejsko Društvo“ i „Društvo slovenskih profesorjev“. Ustawę nowej organizacyi układa dr. Majaron.

Sprawa wyższych szkół słowieńskich, ilekroć wejdzie na porządek dzienny, gazety niemieckie i niemieccy posłowie występują zaraz z argumentami, że Słowieńcy nie mają dostatecznej ilości książek szkolnych, ani sił naukowych. Wobec tego dobrze zrobił *Slovenski Narod*, przypominając, ile to podręczników niemieckich, dotychczas nawet używanych w gimnazyach austryackich, zostało napisanych przez Słowieńców. Tak tedy Słowieniec Klun opracował geografię, Słowieniec Kozenn ułożył atlas (używany do niedawna i w galicyjskich gimnazyach), Słowieniec Močnik wydał arytmetykę, geometryę i logarytmy (jak wyżej — kilkanaście polskich wydań), Słowieniec Simon Šubic napisał logikę, Słowieniec Vega opracował tablice logarytmiczne. Jak na taki niewielki naród, to chyba Słowieńcy aż nadto zasilili niemiecką naukę, z czego widać, iż dotychczasowe przytyki niemieckie są wprost śmieszne.

Dyrektorem finansowym w Lublanie został świeżo mianowany radca Alojzy Kliment, z pochodzenia Czech, ale władający językiem słowieńskim. Nominacyę tę *Slovenec* wita przychylnie, a *Slovenski Narod* niedwuznacznie wyraża swe niezadowolenie z tego powodu, dowodząc, że stanowisko to winien był otrzymać Słowieniec Dobida, który chwilowo pełnił je zastępczo, a teraz z tytułem radcy dworu został powołany do ministeryum finansów, z tego tylko powodu, jakoby nie podobał się stronnictwu ludowemu. Odwieczna historya wzajemnego podejrzewania się o intrygi.

Ślązak zniemczony niejaki Pała, piszący się Palla, a będący inspektorem szkolnym w Karyntyi, poczyna sobie, jak czystej wody hakatysta pruski. Oto w Vogrčah zażądał, aby naukę religii zaprowadzono w języku niemieckim zamiast słowieńskiego. Rozumie się duchowień-

stwo oparło się temu, ale prasa pisząc o tym nowym zamachu na prawa języka słowieńskiego, ze smutkiem zaznacza, że rękę do tego przykłada człowiek pochodzenia polskiego.

Portrety Primoža Trubara w barwnej reprodukcyi wydało „Društvo slovenskih književnikov in časnikarjev“ w Lublanie. Cena portretu oznaczona została na 2 korony.

Żywioł słowieński w Tryeście ciągle robi postępy. Świeżo znowu dnia 27-go czerwca „Trgovsko-obrtna (handlowo - przemysłowa) zadruga“ kupiła dwa domy za 400 tysięcy koron w celu zużytkowania ich na pomieszczenie dla swych biur oraz na lokal dla szkoły słowieńskiej — handlowej lub ludowej.

Nowa miejscowość kąpielowa powstaje w Istryi. Jest nią Baška na wyspie Krk, urządzona stosownie do współczesnych wymagań. Warto, aby Polacy zwrócili uwagę na te nowe kąpiele morskie na pięknym Adryatyku. Wszelkich objaśnień udziela dyrekcya zakładu kąpielowego.

Ks. Stanisław Adamski, redaktor *Ruchu chrześcijańsko - społecznego* z Poznania bawił w Lublanie w pierwszej połowie czerwca w celu zapoznania się ze słowieńską organizacyą ludności wiejskiej i robotniczej.

Dyrektorem teatru w Lublanie został mianowany p. Franciszek Govekar, referent magistratu lublańskiego do spraw szkolnych, literat, hołdujący kierunkowi realistycznemu à la Zola, redaktor miesięcznika *Slovan* i pisma politycznego *Naš list*. Pan Fr. Govekar był już przed dwoma laty intendantem teatru, ale wówczas nie zjednał sobie ogólnego uznania, wobec czego ustąpił. Dziś w nowej roli wraca do spraw teatralnych, a trudno przesądzać, jak się z podjętego zadania wywiąże. Naprzód jednak możemy powiedzieć, że jeżeli w dalszym ciągu będzie prowadzona polityka usuwania miejscowych sił artystycznych, a coroczne tworzenie na nowo całego personalu z coraz innych sił artystycznych obcych, to dotychczasowy deficyt teatru lublańskiego wzrośnie jeszcze więcej i taka gospodarka może doprowadzić do bankructwa.

(k) **Przeciw germanizacyi Istryi** poczynają się łączyć Włosi i Słowianie. Poseł chorwacki Mandić wniósł w parlamencie wiedeńskim interpelacyę — którą podpisali również posłowie włoscy — w sprawie nieusprawiedliwionej przewagi Niemców na austryackiem pomorzu.

Interpelacya zwraca uwagę, że w ziemiach tych jest 355.580 Chorwatów i Słowieńców, 334.152 Włochów, a 19.945 Niemców, z czego bardzo drobna tylko cząstka stale z dawna osiadłych rodzin, lecz niemal wyłącznie urzędnicy i inni przygodni mieszkańcy. Otóż Niemcy posiadają 6 szkół średnich: gimnazyum i szkołę realną w Gorycy, w Tryeście i w Pulju (Pola) z niemieckim językiem wykładowym, a nadto szereg szkół ludowych. Słowieńcy zaś i Chorwaci nie mają tam ani jednej szkoły średniej, chociaż ich jest 16 razy więcej, niż Niemców! Tendencye germanizatorskie są więc widoczne, a dzieje się to z pomocą rządu.

Interpelacya ta jest pożądanym objawem porozumienia włosko-słowiańskiego nad Adryatykiem i pierwszym owocem zgody, jaka zapanowała w sejmie istryjskim, dzięki przeprowadzonej reformie wyborczej, o czem donosiliśmy w swoim czasie.

Trwałe porozumienie Słowian z Włochami byłoby walną klęską prusofilskiego kierunku w Austryi.

(k) **Słowieńcy w sejmie tryesteńskim.** Miasto Tryest z obwodem tworzy oddzielny „kraj koronny“, niezależnie zupełnie od Istryi, i ma swój własny sejm, będący zarazem radą miejską, skoro „kraj“ składa się tylko z miasta i gmin podmiejskich. Ordynacya wyborcza zapewniała Włochom całkowitą wyłączność w sprawowaniu rządów, i w tryesteńskim „sejmie“ nie słyszał nikt słówka po słowieńsku, jakkolwiek żywioł słowieński nietylko liczbą jest znaczny, ale wyrobił sobie już pokaźny zastęp inteligencyi. Po wielu demonstracyach i przykrościach doszła wreszcie do skutku nowa ordynacya wyborcza. Wybory odbywać się będą w czterech kuryach miejskich, z których każda wybiera po 16 posłów, a Izba handlowa wy-

prawia nadto 4 od siebie, razem więc posłów miejskich 68 — i te mandaty pozostaną nadal w ręku Włochów. Ale gminy podmiejskie, skrępowane starą ordynacyą, będą mogły teraz wybierać posłów według własnej woli. Nowa ordynacya przyznaje im posłów 12, a to 8 w kuryi opodatkowanych, a 4 w kuryi powszechnego głosowania. Wszystkich 12 będzie niewątpliwie narodowości słowieńskiej.

12 wobec 68 – stosunek zapewne słaby, ale bądźcobądź lepszy, niż bywało z początkiem okresu odzyskiwania Pragi przez Czechów. A czem jest dziś Praga! Poczyna się doba odzyskiwania Tryestu. Za lat kilkanaście wymuszą sobie Słowieńcy mandat w samem mieście, a na targowicy tryesteńskiej zajęli już i tak wcale pokaźne stanowisko, dzięki poparciu kapitału czeskiego.

Chorwacka kronika.

(als). **Nowy dziennik niemiecki** (już trzeci z rzędu!) powstaje w Sarajewie p. t. *Sarajevoer Tagblatt* z dodatkiem tygodniowym *Beamten- und Eisenbahnerzeitung*. Pismo ma być poświęcone interesom austro-węgierskim na półwyspie Bałkańskim. Wydawcą pisma jest Hermenegild Wagner, dotychczasowy redaktor naczelny *Bosnische Post*.

(als) **Pierwsza wystawa dalmatyńska** otwarta zostanie w połowie sierpnia w Splicie (Spalato). W wystawie wezmą udział artyści chorwaccy i serbscy, pochodzący z Dalmacyi.

(als) **„Prosvjeta“**, chorwackie pismo literackie z dniem 1-go lipca przeszło na własność Związku Piusowego za cenę 20 tysięcy koron. Redaktorem obecnie będzie dawniejszy kierownik *Hrvatstva* O. Szlavik.

(als) **Chorwacka gazeta w Ameryce** Południowej zacznie wychodzić niebawem w miejscowości Rosario do S-ta Fé w Argentynie pod tytułem *Materinska riječ*.

(als) **Pierwsza Dalmatynka** zdobyła świeżo tytuł profesorski na uniwersytecie czeskim w Pradze. Jest nią p. Jelka Perić ze Stona w Dalmacyi.

Język madiarski na kolejach. Minister handlu Kossuth wydał rozporządzenie, że nawet w Chorwacyi można przyjmować na praktykę tylko kandydatów władających językiem madiarskim. Praktykanci i aspiranci, będący już w służbie, otrzymają definitywne dekrety, uprawniające ich do stałych posad, dopiero wtenczas, kiedy zdadzą egzamin z języka madiarskiego. Jestto jaskrawe naruszenie „ugody“ chorwacko-madiarskiej z roku 1868. Chorwaccy urzędnicy kolejowi zwrócili się do bana z wezwaniem, żeby zwrócił uwagę ministra handlu na niewłaściwość rozporządzenia. Na terytoryum Chorwackiem jest zatrudnionych w służbie kolejowej około 10.000 osób, ale z tego Chorwatów zaledwie 2000 i to po większej części prostej służby i robotników; na 200 t. zw. „podurzędników“ jest Chorwatów zaledwie 50. Rozporządzenie Kossutha jest fatalne zwłaszcza dla robotników, którzy nie mogą być uznani za stałych — z prawem do emerytury — chociaż służą po kilkanaście lat, przez to tylko, że nie władają językiem madiarskim.

(als) **„Starčevičanec“**, pod takim nagłówkiem zaczęło wychodzić dnia 20-go maja w Zagrzebiu pismo, przeznaczone dla ludności wiejskiej. Redaktorem został proboszcz z Šestina ks. Matija Miletić.

(als) **„L' Imparziale“**, nowe czasopismo, ma zamiar wydawać redaktor wychodzącej w Tryeście *Slavenska Misao*. Zadaniem pisma będzie obrona interesów słowiańskich wobec włoskiej irredenty.

(als) **Trzecia południowo-słowiańska** wystawa obrazów, urządzona w tym roku w Zagrzebiu, niezbyt się udała, głównie z powodu braku poza chorwackich artystów, a nawet i chorwaccy nie wszyscy się stawili. Z tego powodu stowarzyszenie „Lada“, które się zajmowało urządzeniem tej wystawy, spotykają ze wszystkich stron liczne zarzuty. Następna wystawa południowo-słowiańska ma się odbyć w roku przyszłym w Lublanie.

(als) **Chorwacka drukarnia** w Tryeście ma być założona w niedalekiej przyszłości. Akcya w tym kierunku jest już rozpoczęta. Drukar-

nia służyłaby chorwackim stowarzyszeniom i kupcom, a również z czasem miałby powstać przy niej tygodnik chorwacki. Jest też zamiarem, aby wychodząca w Poli (Pulj) *Naša Sloga* poczęła się ukazywać trzy razy na tydzień w powiększonej objętości.

(als) **„Hrvatska Sloboda“** z dniem 27-ym kwietnia poczęła wychodzić w Zagrzebiu, jako codzienny organ tych, którzy wystąpili z tak zw. czystego stronnictwa prawa, prowadzonego przez Franka. Pierwszy numer podaje odezwę posłów dr. M. Starčevića, dr. A. Pavelića, dr. Davida Starčevića, J. Peršića i L. Starčevića, w której wyjaśniają, dlaczego widzieli się zmuszeni do wystąpienia z dotychczasowego stronnictwa, a czego nie należy uważać za odstąpienie od zasad Starczewiciowej partyi prawa, lecz przeciwnie dla dotrzymania wierności tym zasadom usunąć się musieli. W końcu dowiadujemy się, iż do prezydyum sejmowego klubu stronnictwa Starčevića wybrani zostali: Luko Starčević, jako przewodniczący, Ivan Peršić, jako sekretarz i dr. Ant. Pavelić, jako kasyer.

(als) **„Radikal“**, organ frankowskiej frakcyi starczewićańskiego stronnictwa, przestał wychodzić z powodu braku poparcia. Wydawcą pisma był Mirko Račić.

(als) **Nowe pismo** powstaje w Sarajewie p. t. *Turčin*, które będzie miało na celu obronę interesów ludności muzułmańskiej.

(als) **Publicysta francuski** Paul de Murecourt z Paryża bawił niedawno w Zagrzebiu w celu zapoznania się ze stosunkami chorwackimi.

(als) **„Dalmatinski Težak“** (rolnik), zacznie wychodzić ponownie w Splicie, kosztem związku „Vinarska udružba za Dalmacijo“. Redaktorem będzie Szymon Lovrić z Trogiru.

(als) **„Prava Pučka Sloboda“**, tygodnik dla ludu, począł wychodzić w Šibeniku (Sebenico).

(st) **Rista Proroković**, literat bośniacki, znany pod pseud. Nevesinjac, zmarł w Nevesinju. Prace z historyi powstania w Hercegowinie i z życia hajduków zyskały mu odznaczenia na wielu konkursach literackich.

Serbska kronika.

(als) **Hymn czarnogórski** oraz inne narodowe pieśni serbskie zostały zabronione przez władze krajowe w Bośni i Hercegowinie.

(als) **„Svetlost“**, nowy ilustrowany miesięcznik serbski zaczął wychodzić w Belgradzie, jako organ stowarzyszenia hygieny szkolnej i oświaty ludowej. Redaktorem tego pisma został Dr. Sv. M. Marković.

(als **Przemysł serbski** rozwija się powoli. Świeżo powstała w Belgradzie pierwsza huta szklanna. Huta urządzona została według nowoczesnych wymogów techniki i ma zamiar produkcyę rozwinąć na szerszą skalę, t. j. nietylko na użytek ludności serbskiej, ale również na wywóz do innych krajów bałkańskich.

(als) **O. Simon Milinović**, arcybiskup Baru w Czarnogórze, prymas Serbii, znany pisarz chorwacki, obchodził w Barze 50-cio lecie kapłaństwa.

Reforma sądowa w Serbii. Serbia posiada cztery typy sądów:

a) Sądy gminne, w których sędziami są z reguły analfabeci, rozsądzają spory do wysokości 200 dinarów (franków), przy nieruchomościach i w sprawach wekslowych tylko do 100 dinarów; wszystkie sprawy o służebności polne — bez względu na wysokość pretensyj; ale nie mają żadnej kompetencyi w sprawach spadkowych. Egzekucya wyroków pozostawiona gminie samej.

b) Sądy obwodowe, obejmujące po 3 i 4 powiaty, stanowią wyższą instancyę od gminnych, a pierwszą do spraw wyżej 200 (względnie 100) dinarów. Egzekucyą wyroków zajmują się urzędy policyjne. Do takiego sądu wieśniak ma nieraz kilkanaście godzin drogi.

c) Sądy apelacyjne.

d) Sądy kasacyjne, — jako dwie instancye apelacyjne od wyroków sądów obwodowych. Egzekucyę przeprowadzają urzędy administracyjne.

Obecnie ma powstać nowy typ sądów, a mianowicie sądy powiatowe, tak, żeby nie było nikomu daleko do sądu rządowego, ustano-

wionego w każdym powiecie. Sędziami będą mogli być tylko prawnicy, a egzekucyą wyroków zajmą się władze administracyjne. Zmniejszą się przez to nadużycia sądów gminnych, nad którymi nie było dotychczas kontroli.

Bułgarska kronika.

(als) **„Den"**, niezależny bułgarski dziennik opozycyjny, przestał wychodzić z powodu strat, jakie wydawnictwo poniosło w ostatnich czasach przez szykany konkurencyjne. W ostatnim numerze redakcya zapowiada, że uważa zaprzestanie wychodzenia za czasowe tylko i z chwilą zmiany stosunków, pismo zostanie ponownie powołane do życia.

Nowe projekty kolejowe na Bałkanie.

Kroatische Korrespondenz podaje wiadomość o nowych projektach kolejowych na Bałkanie, a zwłaszcza o nowej kolei, mającej połączyć Bośnię z Czarnogórą. Chodzi o połączenie toru kolei hercegowińskiej z nową linią, która ma dochodzić przez Foćę do granicy czarnogórskiej i dalej przez Nikšić do Virpazaru, ewentualnie aż do Podgoricy. We Virpazarze łączyłaby się ta kolej z koleją czarnogórską, budowaną przez towarzystwo włoskie od tej stacyi do Baru nad Adryatykiem. Kolej barska ma być gotową już w tym roku na jesień.

Linią z Kruševca przez Vardište Foćę i Nikšić otrzymałaby także Serbia bezpośrednie połączenie z Czarnogórą i morzem.

Te projekty austryackie przyjęto w Czarnogórze chętnie, bo Austrya nie zamierza z drugiej strony stawiać żadnych przeszkód projektowanej kolei od Dunaju do Adryatyku. Przy tej ostatniej linii projektuje się atoli pewną zmianę, mianowicie, żeby nie wiodła do S. Giovanni di Medna na terytoryum albańskiem, ale przez Prištinę i powiat guszyński do Podgoricy i dalej przez Virpazar do przystani czarnogórskiej w Barze.

Najpierw ma się wybudować kolej łącząca Bośnię z Czarnogórą, a potem dunajsko-adryatycka.

Kroatische Korrespondenz twierdzi, że projekty te zyskały również aprobatę Petersburga za ostatniego pobytu kniazia Nikoły na dworze rosyjskim i że nowe połączenie bośniacko-czarnogórskie należy uważać za rekompensatę dla Austryi za to, że kolej dunajsko-adryatycka ma się kończyć w Barze, a nie w S. Giovanni di Medna, jak proponowano pierwotnie.

Druk ukończono 5-go sierpnia 1908 r.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.